

15 SIERPNIA ZAGADKA ZDROWEGO ROZSĄDKU | SAFARI BEZ KOŃCA
PIĘKNO SZTAFETY | PUCZ W IMPERIUM | WÓJT NA WIEJSKĄ | PŁEĆ SUDANU
LOSY NASZYCH LASÓW | TATERNICE **MOC CZYTANIA NA ŚRODEK LATA**

TYGODNIK POWSZECHNY

Maria jest kobietą Kto wymyślił niewiastę

Kraków 15 sierpnia 2021 nr 33 (3762)
cena 11 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

W NUMERZE
DODATKI
LITERACKI SOPOT
O FILMIE
„UKOS ŚWIATŁA”

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480109

JUŻ CZAS!

na wschód, zachód czy w Polskę w podróże na bieguny

w reportażach, esejach, bizarach, wywiadach
zabiorą Was autorki i autorzy „Tygodnika”

Kup Tygodnikowy
„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”,
usiądź i podróżuj wygodnie!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

 FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

 **Albatros**

 **LOGOS TRAVEL**
MAREK SŁIWKA

KS. ADAM

Boniecki: Dogmat

NIE MA ŻADNYCH WCZESNYCH ŚLADÓW ZAINTE-resowania śmiercią Matki Pana Jezusa. Najstarsza wzmianka na ten temat pochodzi z 375 r. Wtedy święty Epifaniusz z Salaminy – wczesnochrześcijański pisarz, biskup na Cyprze – przyznaje, że nie jest świadkiem pierwotnej tradycji, która miałaby sięgać Apostołów. Stwierdza też zresztą, że nie posiada wyraźnej odpowiedzi. Nie wie, czy Maryja umarła, czy została pogrzebana: „Pismo Święte zachowało zupełne milczenie z powodu transcendencji cudu (...) co do mnie, nie ośmielam się o tym mówić, obracam tę sprawę w myślach i milczę”.

Sobór efeski (431 r.) i ogłoszenie przezeń Maryi Matką Boga (*Theotokos*) ściąga uwagę na ciało Maryi i daje początek idei uwielbienia jej ciała w niebie. W połowie VI w. święto 15 sierpnia przyjmuje nazwę „zaśnięcia Maryi”. Od końca V stulecia powstają apokryfy o „przejściu Maryi”, a w jednym z nich zostaje opisane zabranie Maryi z jej duszą do nieba, potem zaś także z ciałem. W VIII w. mówi się już wyraźnie o wniebowzięciu. Piszą o nim Albert Wielki i Bonawentura. Św. Tomasz uważa, że za przekonaniem o wniebowzięciu Maryi przemawia dowodzenie racjonalne. Terminy „Wniebowzięta”, „święto Wniebowzięcia” stopniowo zdomawiają się w świadomości Kościoła katolickiego.

1 listopada 1950 r. na wypełnionym po brzegi placu św. Piotra, w obecności ponad 700 kardynałów, biskupów i patriarchów, papież Pius XII – blady z przejęcia, jak zanotował naoczny świadek, kard. Siri – uroczystie ogłosił dogmat wniebowzięcia: „Na chwałę Wszechmocnego Boga (...) powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Świętych Apostołów Piotra i Pawła i Naszą, ogłaszamy, oświadczamy i określamy jako dogmat prawdę przez Boga objawioną, że Niepokalana Bogarodzica zawsze Dziewica Maryja, po dopełnieniu życia ziemskiego z ciałem i duszą została wzięta do chwały niebieskiej...”.

W dokumencie zawierającym ogłoszenie dogmatu – konstytucji apostolskiej „*Munificentissimus Deus*” – papież pisze o roli magisterium Kościoła, którego zadaniem nie jest



nauczanie nowej doktryny, ale zachowanie i wierny wykład objawienia przekazanego przez apostołów, czyli depozytu wiary. Rolą dogmatu nie jest wytwarzanie nowych twierdzeń, ale odślanianie i wyrażanie w inny sposób racjonalnych implikacji przesłania, które ma początek w Piśmie Świętym. Wiara winna pozostać tożsama z samą sobą, aby trwała dziś jako wiara Apostołów, bez dodatków ani ubytków.

Przed ogłoszeniem dogmatu Pius XII zapytał listownie wszystkich biskupów świata o wiarę Kościoła we wniebowzięcie. Bo Pismo Święte nie jest jedynym źródłem Objawienia. Jest nim „żywe słowo Boga” dochodzące do głosu także w Tradycji, choć w konstytucji apostolskiej „*Munificentissimus Deus*” papież, przedstawiając poglądy (i nauczanie) Ojców Kościoła i teologów dowodzi, że wszystkie one ostatecznie opierają się na Piśmie Świętym. Pius XII poszedł w ślady Piusa IX, który dogmat o wolności Matki Boskiej od grzechu pierworodnego (niepokalanym poczęciu) – przywileju, o którym Pismo Święte explicite nie wspomina – ogłosił w roku 1854, przy zastosowaniu takich właśnie procedur.

Opisuję to wszystko, żeby się podzielić pytaniem: jak myślicie, czemu Pius XII właśnie wtedy uznał za konieczne ogłoszenie, w tym niezwykle trybie, dogmatu? Jeszcze otwarte były rany II wojny światowej, już się zaczynał czas zimnej wojny, a w powietrzu wisiało zagrożenie konfliktem nuklearnym. I właśnie w tym momencie papież podejmuje skomplikowane procedury wyjątkowego w dziejach Kościoła sposobu ogłoszenia dogmatu wiary nie na soborze, jak zwykle się to działo, ale powagą swego urzędu. Dlaczego?

Wnikliwy biograf Piusa XII, Andrea Tornielli napisał, być może słusznie, że dlatego, iż był przekonany, że ogłoszenie dogmatu o wniebowzięciu Matki Boskiej wzmocni pobożność maryjną, ukaże w pełnym świetle godność kobiety w życiu Kościoła, podkreśli wartość ludzkiego ciała i – wreszcie – ożywi wiarę w rzeczywistość pozaziemską. Czyli w niebo.

©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Głusi w Polsce Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G” i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym”?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani

32 Tatarnice**ANNA KRÓL**

*o pierwszych
tatarniczkach:
Ówczesna
kobieta miała być
uległa i piękna,
grać na pianinie
i szydełkować – a nie
wspinać się na
niezdobyte szczyty.*

**38 Niewiasta
nieniewieścia****AGNIESZKA
PISKOZUB-
PIWOSZ**

*W sprzecznie
wobec wpisywania
kobiet w ramy
męskich fantazji
i żądań można
odkryć na nowo
także postać
Maryi.*

**58 Chcemy wysłać
dzieci do szkół****NATALIA OJEWSKA**

*W Sudanie
Południowym
– najmłodszym
państwie globu
– ciężar walki
o pokój wzięty
na siebie kobiety
ze zwaśnionych
plemion.*

**78 Imigranci
w krainie
nauki****MARCIN
NAPIÓRKOWSKI**

*Paradoks
zdrowego
rozsądku polega
na tym, że wszyscy
go mają, ale nie
każdy ma taki sam.
Każdemu jego
rozsądek jawi się
za to jako jedyny
prawdziwy.*

**88 Wieczne safari****SEBASTIAN
SMOLIŃSKI**

*Kończy się model kina
przyrodniczego, które
było przede wszystkim
familijną rozrywką.*

**106 Całość większa niż suma****KRZYSZTOF STORY**

*Sztafetę 4x400 można porównać do życia. Zaczyna się po
torach, jak dzieciństwo, gdy trzeba samemu nadawać sobie
tempo. Druga zmiana to już dorosłość, czyli konfrontacja,
gdy po pierwszym łuku zbiega się do krawędzi bieżni. Trzecia –
dorosłość. Utrzymać, może zaatakować. I czwarta – finał.*

6 Ogień z popiołów
BARTEK DOBROCH

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik Czytelników

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

22 Wójt na Wiejską
KAROLINA LEWICKA:
*Jarosław Kaczyński doprowadził
do politycznego przebudzenia
samorządowców*

26 Hierarchie cierpienia
MARIA LIBURA:
*Psychiatria nie budzi społecznej
sympatii, dlatego przegrywa wyścig
o pieniądze z budżetu*

28 Jakby pan na mnie patrzył
MARCIN CHODUŃ

■ **Z ODDECHEM**

32 Tatarnice
ANNA KRÓL, BARTEK DOBROCH

■ **WIARA**

38 Niewiasta nieniewieścia
ANNA PISKOZUB-PIWOSZ

43 Przyjaciółka
NONTANDO HADEBE:
*Gdy sprowadzamy Maryję do
dziewictwa, nie możemy uczcić
w pełni bogactwa jej życia*

46 Sprawdzian
KAROL WILCZYŃSKI:
*Kościół na Litwie mierzy się
z rozgrywanym politycznie kryzysem
migracyjnym*

■ **ŚWIAT**

58 Chcemy wysłać dzieci do szkół
NATALIA OJEWKA

64 Tragedia, która zmieniła kraj
HONORATA ZAPAŚNIK Z MEKSYKU

TEMAT TYGODNIKA

12 Czas lasu

KRZYSZTOF STORY, MARCIN ŻYŁA

Wiek drzew zdradzają słoje.
Ale o mądrości przyrody – a nawet
o tym, jak ograniczyć skutki zmian
klimatycznych – mówią dzieje całych
lasów. Zwłaszcza górskich.



DODATKI

51 O FILMIE „UKOS ŚWIATŁA”

83 10. FESTIWAL „LITERACKI SOPOT”

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA **49** ZUZANNA RADZIK
104 JAN KLATA **110** STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANNA MIKULSKA,
Iracki Kurdystan, listopad 2020 r.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MAREK RABÍJ

67 Lojalni, lecz nie wzorowi
MARTA ZDZIEBIORSKA *o ewakuacji
tłumaczy, którzy pracowali z siłami
pokojuowymi w Afganistanie*

70 Rząd się wyleczy
MAREK RABÍJ:
*W lutym Birma wstrząsnął pucz.
Teraz na kolana rzucił covid*

72 Czy k-pop zbawi świat
ROMAN HUSARSKI

■ **HISTORIA**

74 Podzwonne dla imperium
SŁAWOMIR POPOWSKI *w rozmowie
ze ZBIGNIEWEM ROKITĄ wspomina
pucz Janajewa*

■ **NAUKA**

78 Imigranci w krainie nauki
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

■ **KULTURA**

88 Wieczne safari
SEBASTIAN SMOLIŃSKI

92 Menuet z pogrzebaczem
MONIKA OCHEŃDOWSKA *rozmawia
z pisarzem WALDEMAREM
BAWOŁKIEM*

96 Król Baratarii powraca
JAN BŁASZCZAK: *Ulubione absurdy
Tytusa Szyluka „Belmondawga”*

99 Soc codzienny
PIOTR KOSIEWSKI *o wystawie
„Zimna rewolucja” w warszawskiej
Zachęcie*

102 Czuły pulsometr
ANITA PIOTROWSKA *z festiwalu
Nowe Horyzonty*

104 Niewidzialna redakcja
LEKTOR *o korespondencji Jerzego
Giedroycia ze Stanisławem Vincenzem*

105 Przysmaki z grupy
„TP Smaki”

■ **WAKACIE**

106 Całość większa niż suma
KRZYSZTOF STORY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Kanada: prawda i pojednanie [Podkast Powszechny]**
System szkół z internatem w Kanadzie zaprojektowano,
by zabić Indianina w dziecku. Dzisiaj o tych, którzy przez nie
przeszli, mówią w Kanadzie „ocaleni” – mówi reporterka
JOANNA GIERAK-ONOSZKO powszech.net/podkast

➔ **Rosyjska ruletka**
W Rosji na covid umiera około 800 osób dziennie, a zaszczepionych
jest tylko 18 procent społeczeństwa. Władza szuka rozwiązań
wszędzie – nawet w gwiazdach – pisze ANNA ŁABUSZEWSKA
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](https://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

OGIEŃ Z POPIOŁÓW

XXXII Letnie Igrzyska Olimpijskie w Tokio były pełne zwrotów akcji, niespodziewanych bohaterów i fantastycznych rekordów. Trudno uwierzyć, że dopiero co padały pytania, czy na pewno się odbędą.

BARTEK DOBROCH

NAJBARDZIEJ NIECHCIANE I ZAGROŻONE ostatecznym odwołaniem igrzyska w całej historii nowożytnego olimpizmu nie tylko się odbyły, ale sprawiły, że piękno sportu zatriumfowało nad lękiem, niepewnością, niechęcią, uciążliwościami antycovidowych restrykcji, szaleństwem komercji, chłodem bezludnych stadionów, a nawet całkiem antysportowym w swojej dokuczliwości żarem gorącego i wilgotnego japońskiego lata.

Niespodziewane rozstrzygnięcia przewidywano już przed rozpoczęciem igrzysk w Tokio, które poprzedzało przecież półtora roku pandemii: lockdowny, nierówny w ich trakcie, bo dyktowany krajowymi rozporządzeniami dostęp do obiektów sportowych i centrów treningowych, restrykcje wyjazdowe ograniczające rywalizację na najwyższym poziomie, a także utrudniające oszacowanie aktualnej formy załamanie kalendarzy

Gianmarco Tamberi i Mutaz Essa Barshim cieszą się ze wspólnego zdobycia złotego medalu w skoku wzwyż na Igrzyskach Olimpijskich w Tokio 2020. Japonia, Stadion Olimpijski, 1 sierpnia 2021 r.

zawodów i rozgrywek międzynarodowych. Przesunięcie imprezy o rok dało wielu sportowcom szansę na wzięcie w niej udziału. Igrzyska były bowiem olimpiadą feniksów. Wiele sportowców wracało tu do rywalizacji na najwyższym poziomie po przejściu koronawirusa.

Debiut nowych dyscyplin sportowych w Tokio dla pokolenia, które dorastało w latach 90., i dla jego rodziców, mógł być sentymentalną podróżą do czasów, gdy w koszykówkę 3x3 grywało się pod blokiem, a mecze do jednego kosza trwały aż do zmroku. Gdy młodzież jeździła na deskorolce na parkingach i pod pawilonami świeżo postawionych supermarketów, a na powstających ściankach odbywały się pierwsze zawody wspinaczki ubranych w pstrokatę, świecące stroje z lycry. Im sport kojarzy się raczej z przyjaźnią. Podium było tylko szarawym tłem tego święta.

Najmocniejszym wyrazem tej sportowej przyjaźni była postawa skoczka wzwyż, Mutaza Barshima, Katarczyka sudańskiego pochodzenia. Gdy kolejne skoki nie przyniosły rozstrzygnięcia pomiędzy nim a jego włoskim rywalem i przyjacielem Gianmarkiem Tamberim, jeden z oficjeli zaproponował zawodnikom dogrywkę. Katarczyk zapytał wprost: „Czy nie możemy obaj dostać złotego medalu?”. „To możliwe...” – ledwie odparł sędzia, a skoczkowie wpadli sobie w objęcia. Włoch, kolejny z olimpijskich feniksów, który na stadion przyniósł gips przypominający o wykluczającej go z poprzednich igrzysk w Rio de Janeiro kontuzji, szalał, wraz z nami, z radości.

Igrzyska w Tokio, które same odrodziły się niczym feniks z popiołów pandemii, choć pokiereszowane, puste, rozgrywane trochę z konieczności, trochę z poczucia japońskiego honoru, z pewnością nie były najlepsze w dziejach, jak by tego chcieli fachowcy. Ale czas jest taki, że widzimy historie emocjonujące, nadzwyczajnie czyste, momentami budzące wręcz zachwyt. Ludzkie. Tych było pełno. Niech pozostaną przykładem podnoszenia się z największych przeciwności. Solidarności. ©

Więcej na powszech.net/tokio2020

Rola wiecznego marudy

PAWEŁ BRAVO



OTYM, ŻE ZJEDNOCZONA PRAWICA PRZEStała być zjednoczona, piszemy w różnych wariantach od ponad roku. Normalne w każdej dużej formacji, w istocie niegroźne frakcyjne gry o jak największy udział w podziale łupów, szukanie optymalnej pozycji na przyszłość po hipotetycznej abdykacji Jarosława Kaczyńskiego czy czysto personalne rywalizacje – przeszły w etap „końca ZP” wraz z wyborami kopertowymi, kiedy po raz pierwszy Jarosław Gowin pokazał przynajmniej cień samodzielności, a z jego działań (bo nie słów) wynikało, iż wyobraża sobie swoją przyszłość także w układach bez PiS-u. Wczesną jesienią i pod koniec roku zjednoczenie rozbijała raczej Solidarna Polska, domagając się np. wetowania unijnych umów budżetowych. W tym roku tę rolę częściej pełni znów Porozumienie, rozbijane na zlecenie Nowogrodzkiej przez Adama Bielaną.

Szantażując Kaczyńskiego swoimi legendarnymi „szablami” – czyli odebraniem sejmowej większości – Gowin testuje granice własnej sprawczości, zaznaczając swoją odrębność jako tzw. cywilizowana prawica. Cza-

sem działa jak hamulcowy przy co bardziej szkodliwych dla demokracji pomysłach władzy, takich jak podatek od reklam, a ostatnio tzw. lex TVN, czasem próbuje na wyrost grać rolę ostatniego rzecznika ludzi zamożnych (przedstawianych niezmiennie jako „ciężko pracujący przedsiębiorcy”) i domaga się rewizji słusznych i potrzebnych zmian podatkowych przewidzianych w Polskim Ładzie.

Warunki dalszego udziału w koalicji sformułowane przez gowinowców w niedzielę dotyczą właśnie tych dwóch kwestii naraz, obecnie priorytetowych dla PiS. Czy to więc już ten prawdziwy koniec ZP? Gowin od roku gra asertywnie i ryzykownie, powyżej swej realnej wagi. Ale nigdy tak, by wywołać sytuację, w której Kaczyński uzna, że bardziej opłaca się rozpiąć nowe wybory – bo do tych wicepremier nie jest przygotowany. Rola wiecznego marudy w trwającym niezmiennie mariażu bardziej mu się opłacała. Słowa i gesty czasem jednak wymykają się spod kontroli i może się okazać, że za którymś razem Gowin niechcący wywróci stolik. I to pod pretekstem mniej istotnym niż np. reforma podatków. ©

Minister i szczepionki: o jedno zdanie za daleko

RADA MEDYCZNA przy premierze wydaje opinie korzystne dla producentów szczepionek? Gdyby taką tezę wygłosił poseł Konfederacji lub działacz antyszczepionkowy, rzecz nie byłaby warta wzmianki. Ale gdy posuwa się do tego minister zdrowia, sprawa staje się poważna.

Rzecz dotyczy trzecich dawek szczepionek przeciw COVID-19. Niektóre kraje (np. Izrael) już podjęły decyzję o szczepieniu tzw. boosterem grup najwyższego ryzyka. WHO apeluje, by „pierwszy świat” wstrzymał się z decyzjami o dodatkowych dawkach do momentu, gdy wszystkie kraje zaszczepią minimalny odsetek swoich populacji. W Polsce nad zasadnością podjęcia decyzji o systemowym podawaniu trzecich dawek (np. medykom, najstarszym seniorom, osobom z upośledzoną odpornością) debatują eksperci, w tym członkowie powołanej przez premiera Rady Medycznej.

Komentując wydanie rekomendacji dla podawania trzeciej dawki niektórym grupom (członkowie Rady Medycznej szybko zresztą zdementowali, że została już ona wydana), minister Adam Niedzielski w rozmowie

z RMF FM stwierdził, że ciągle nie ma wyników badań, które potwierdzałyby sensowność podawania boosterów. Mówił przy tym o ogromnych kosztach, jakie wiązałyby się z taką operacją. I podsumował: „Staram się wyważyć, ile jest w tym wartości dodanej dla zdrowia publicznego, a ile jest w tym interesu firm farmaceutycznych, które chcą sprzedać więcej”.

To jeden z kluczowych argumentów antyszczepionkowców: szczepienia przeciw COVID-19 to wymysł przemysłu farmaceutycznego, który jest wręcz oskarżany o rozpętanie „plandemii” w celu uzyskania jak największych korzyści. Minister swoją (trzeba wierzyć) nieprzemyślaną wypowiedzią daje antyszczepionkom potężną broń. Jeśli bowiem lekarze i eksperci podejmują decyzje korzystne dla „BigPharmy” w sprawie trzecich dawek, kto da gwarancję, że tym samym nie kierowali się przy podejmowaniu innych decyzji?

W ostatnich dniach antyszczepionkowcy zaatakowali fizycznie kilka punktów szczepień, jeden podpalamo. Słowa mają taką samą moc destrukcyjną jak pięści czy ogień. A biorąc pod uwagę, kto je wypowiada – siła rażenia jest nieporównywalnie większa.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Pętla autobusowa

PAWEŁ WÓJCIK



PO TRAGICZNYM INCYDENCIE W KATOWICACH, podczas którego kierowca autobusu miejskiego wjechał w grupę osób przepychających się nad ranem na środku ulicy i zabił 19-latkę, komentujący tradycyjnie podzielili się na dwa obozy. Jedni obarczyli winą ofiarę, drudzy sprawcę. Tymczasem w tej tragicznej sprawie kluczowy wydaje się kontekst systemowy.

O problemach kadrowych Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Katowicach głośno jest od dłuższego czasu. Kierowcy zarabiają około 19,5 zł brutto na godzinę, co przy pełnym etacie nie daje nawet 3 tys. na rękę. Żeby uezierać przynajmniej tyle, biorą więc nadgodziny, na które kierownictwo zgadza się bardzo chętnie, gdyż brakuje ludzi do pracy – w firmie jest nawet kilkadziesiąt wakatów. Chętnych nie ma, gdyż skutecznie odstrasza ich niskie pensje oraz wysoki koszt nabycia wszystkich kwalifikacji (prawo jazdy kat. D i kurs kwalifikacji wstępnej).

Dosłownie tydzień przed fatalnym zdarzeniem w centrum miasta portal katowice24.info donosił o skutkach deficytów kadrowych u miejskiego przewoźnika, któremu brakuje personelu potrzebnego do obsadzenia wszystkich połączeń. Tylko między 14 a 21 lipca autobusy PKM Katowice nie zrealizowały 350 kursów. Pod tym względem katowickie Przedsiębiorstwo przoduje wśród wszystkich przewoźników należących do Zarządu Transportu Metropolitalnego.

W takiej sytuacji pracownikom grozi stres i przepracowanie. A w stresie łatwo podjąć błędną i fatalną w skutkach decyzję. Na przykład spanikować i wjechać w grupę kłębiących się osób, która wczesnym rankiem niespodziewanie otoczyła pojazd na środku ulicy.

Czas wreszcie zdać sobie sprawę, że wielu pracowników usług publicznych wykonuje niezwykle odpowiedzialne zadania, niejednokrotnie obsługując tak zwaną infrastrukturę krytyczną. Należy więc zapewnić im odpowiednie warunki – także płacowe – by mogli w pełni skupić się na wykonywaniu swoich obowiązków. Tymczasem w ostatnich latach nastąpiła pauperyzacja pracowników budżetówki, co w szczególności dotknęło zatrudnionych w samorządach oraz instytucjach i firmach im podległych. Co gorsza, trudno oczekiwać poprawy w kolejnych latach, skoro na przygotowywanej właśnie reformie podatkowej samorządy stracą ponad 13 miliardów złotych rocznie. ©

KRAJ W SKRÓCIE

CO SIĘ MÓWI

Urodzenie dziecka to „demograficznie fajna rzecz, ale dla kobiety, jakże często, to jest udręka na najbliższe 20 lat życia” – stwierdził Donald Tusk. Podczas wizyty w Nakle nad Notecią szef PO mówił o samotności oraz braku wsparcia matek przez państwo i zaapelował o działania, które pozwolą im odczuć, że są „równoprawne”.

CO SIĘ SŁYSZY

Równoprawny, zwłaszcza przy Woronicza, na pewno nie jest sam Tusk – dla telewizji publicznej jego słowa były kolejnym dowodem na to, że z Brukseli przybył z tajną misją depopulacji Polski. W ciągu miesiąca od powrotu Tuska do krajowej polityki TVP Info poświęciło mu 75 materiałów o wydźwięku negatywnym oraz 3 neutralne. Pozytywnych nie było.



JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

CO JEST WAŻNE

Jak zawsze spontaniczny i promowany przy okazji przez TVP hasztag #NiejestemUdręką nie zdobył jednak internetu. Inaczej niż hasztag #kryzysklimatyczny, którym w tygodniu ogłoszenia przez międzynarodowy panel IPCC „czerwonego alertu” dla planety oznaczano w sieci newsy o kolejnych intensywnych burzach. W Krakowie Wilga, rzeka, którą przesunięto po to, aby przy jej dawnym korycie zbudować trasę szybkiego ruchu, zalała jej budowę.

CZEMU SIĘ MILCZY

Rząd wciąż pracuje nad projektami ustaw mającymi wzmocnić w Polsce ekologiczny wymiar polityki miejskiej, jednak żaden z najważniejszych polityków nie wspominał w minionym tygodniu o kryzysie klimatycznym.

Harry Potter i technologia mRNA

MINIONY TYDZIEŃ przyniósł informacje, które – choć pozornie niepowiązane – warto czytać jako fragmenty tej samej opowieści. Najpierw Pfizer i Moderna ogłosiły podwyżkę cen szczepionek. Tuż potem serwis Politico opublikował wyliczenia, z których wynika, że UE dostarczyła dotychczas tylko 7,9 mln z obiecanych 200 mln dawek dla ubogich krajów, co stawia ją daleko za USA (59,8 mln), jak i Chinami (24,2 mln). W tym kontekście dane o 48,9 i 48,6 proc. wyszczepionej populacji Starego Kontynentu i USA trudno nazwać inaczej niż powodem do wstydu na tle identycznych informacji z Afryki (3,5 proc.) czy nawet Azji (28,5 proc.). Globalny program szczepień nie istnieje.

A przecież zamożnemu światu nie brakuje szczepionek. Przeciwnie, ostatni raport renomowanego brytyjskiego think tanku Chatham House, który poddał analizie przyczyny rynkowej klęski preparatu AstraZeneca, pokazuje, że tę klęskę fundujemy sobie sami, przedkładając myślenie magiczne nad dane naukowe.

Szczepionka AZ – tańsza w produkcji i łatwiejsza w przechowywaniu od preparatów mRNA – miała być najważniejszym narzędziem w walce z pandemią w krajach Globalnego Południa. To, co było jej atutem, konkurencja przedstawiła jednak opinii publicznej jako wadę i w efekcie skutecznie zniechęciła rządy do zakupu szczepionek Astry jako tych rzekomo „mniej nowoczesnych”. Teraz preparaty mRNA drożeją. Szczepionek AZ – pomimo badań wskazujących na bezpieczeństwo ich stosowania – boją się już także mieszkańcy ubogich krajów, co stawia pod znakiem zapytania ich zakup. Tymczasem czwarta fala pandemii, wywołana wariantem wykrytym w Indiach, narasta już w Europie i nie będzie raczej ostatnią. © P. MAREK RABII



BEATA ZAWRZEL / REPORTER



MARCUS YAM / EAST NEWS

MINĄŁ ROK, JEST GORZEJ. Wybuch magazynu saletry amonowej – do którego doszło w sierpniu 2020 r. w bejruckim porcie – zabił ponad dwieście osób. Wśród umęczonych kryzysem Libańczyków wywołał też bunt i krytykę władz. Przez ostatni rok sytuacja tylko się pogorszyła. Liban doświadczył największej zapaści gospodarczej w swojej historii, drastycznego spadku wartości waluty oraz paraliżu instytucji. W tym kluczowym dla Bliskiego Wschodu państwie w praktyce nie funkcjonuje nawet rząd. Na zdjęciu: oddziały szturmowe policji wyprowadzone na ulice Bejrutu po tym, gdy manifestacja zorganizowana w pierwszą rocznicę wybuchu przerodziła się w zamieszki pod parlamentem, 4 sierpnia 2021 r. © P. ŻYM

Białoruś: prześladowania bez granic

PAWEŁ PIENIAŻEK



TAK JAK CO DZIEŃ WYSZEDŁ NA PORANNĄ przebieżkę – tym razem jednak 26-letni Wital Szyszou, szef organizacji Białoruski Dom na Ukrainie, z niej nie wrócił. Ktoś dzwonił z jego telefonu do znajomych, ale gdy odbierali, komórka się rozłączała. Gdy oddzwanił, był „poza zasięgiem”. Bliscy szukali go w okolicy, gdzie zazwyczaj biegał. Zgłosili sprawę policji. 3 sierpnia, niemal dobę po zaginięciu, znaleziono jego ciało wiszące w jednym z kijowskich parków. Miał otarcia na ciele. Na miejscu znaleziono jego telefon i osobiste rzeczy. Śledztwo rozpatruje dwie wersje: samobójstwo lub pozorujące je morderstwo.

Szyszou, informatyk, wyjechał do Kijowa jesienią ubiegłego roku. Powodem były masowe represje na Białorusi wymierzone w uczestników akcji protestów przeciwko sfałszowanemu wyborom prezydenckim. Wkrótce po jego przyjeździe powstał Białoruski Dom na Ukrainie, który m.in. pomagał Białorusinom wyjechać z kraju i udzielał wsparcia na miejscu. Organizacja budziła kontrowersje wśród białoruskich

aktywistów ze względu na powiązania ze skrajną prawicą.

Bliscy Szyszoua nie wierzą w samobójstwo. Część z nich twierdzi, że był śledzony i otrzymywał pogroźki. Podejrzewają o morderstwo białoruskie lub rosyjskie służby.

Choć wciąż niewyjaśniona, śmierć Szyszoua – po zmuszeniu samolotu linii Ryanair z blogerem Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie do lądowania w Mińsku czy próbie wywiezienia z igrzysk biegaczki Krysciny Cimanouskiej – stała się kolejnym powodem do obaw białoruskich aktywistów ukrywających się za granicami kraju. „Biorąc pod uwagę wydarzenia w Kijowie, chcę oświadczyć, że nie mam żadnych myśli samobójczych”, napisał na Facebooku mieszkający w Wilnie aktywista Andrej Stryżak.

Polska, Litwa i Ukraina to państwa najczęściej wybierane przez krytyków prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Szukają oni schronienia przed brutalnymi represjami, których mogą spodziewać się na Białorusi. Ale reżim Łukaszenki daje do zrozumienia swoim przeciwnikom, że nawet za granicą nie są bezpieczni. ©

Jumbo jetem w środek wojny

JAMES BOND desantuje się na teren wroga na spadochronie, prawdziwi agenci MI6 kupują bilety na samolot. Właśnie wyszły na jaw nowe fakty dotyczące jednego z najbardziej zagadkowych lotów pasażerskich ostatnich dekad. Nad ranem 2 sierpnia 1990 r., gdy od kilku godzin trwała inwazja Iraku na Kuwejt i zachodnie towarzystwa lotnicze omijały region, na lotnisku w Kuwait City wylądował, jak gdyby nigdy nic, pełen pasażerów boeing 747 linii British Airways. Wystartować w dalszą drogę do Madrasu już nie mógł, bo lotnisko zdobyli Irakijczycy. Pasażerów zatrzymano, wielu z nich było potem używanych przez reżim Saddama Husajna jako tzw. żywe tarcze. Samolot zniszczono. Ostatni pasażerowie lotu BA-149 opuścili Irak w grudniu 1990 r., niedługo przed początkiem amerykańskich nalotów.

Ówczesna premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher dowiedziała się o ataku wojsk irackich, gdy samolot był jeszcze w drodze do Kuwejtu, jednak załoga nie otrzymała informacji o rozpoczętej inwazji. Ona i jej następca John Major konsekwentnie zaprzeczali, że lotem BA-146 podróżowało również dziesięcioro agentów wywiadu wojskowego, których zadaniem miało być dostarczanie informacji z Kuwejtu i Iraku. Teraz, w wywiadzie dla BBC, były oficer MI6 Anthony Paice przyznał, że służby wykorzystały cywilny samolot do misji wojskowej – przygotowując w pośpiechu plan, o którym nie wiedział nawet brytyjski ambasador w Kuwejcie.

To wciąż mało, aby pasażerowie feralnego lotu oraz ich bliscy mogli starać się o odszkodowania przed brytyjskimi sądami – choć w zakończonych polubownie sprawach, w których stroną były British Airways, przyznawano im rację. We Francji liniom nakazano wypłatę 3 mln funtów dla pasażerów z tego kraju. Dla wielu pozostałych istotne byłoby samo przyznanie przez rząd w Londynie, że lot BA-149 – wbrew prawu – wykorzystano do celów militarnych, narażając ich zdrowie i życie.

© P. MARCIN ŻYŁA

Konfrontacja na nokaut

JACEK PRUSAK SJ



BYŁY DUŻE OCZEKIWANIA SPOŁECZNE, DUŻO szumu medialnego wokół Raportu Państwowej Komisji ds. Pedofilii, a teraz jesteśmy świadkami upadku jej wiarygodności. Gdyby chodziło tylko o to, że wywołała ona panikę moralną, sugerując błędnie, że 30 proc. duchownych w Polsce to sprawcy pedofilii, można byłoby sprawę merytorycznie „wyprostować”. Sęk w tym, że nie o sam dokument tu chodzi.

Problematyczne od samego początku jest zachowanie przewodniczącego tej komisji Błażeja Kmiecika, chcącego służyć dwóm panom: partii, która dała mu to stanowisko i która nie ruszy Kościoła, oraz Kościołowi skupionemu wokół Torunia i jego „episkopatu”, który tylko pozoruje, że zmienił swój stosunek do kwestii pedofilii wśród duchownych. To dlatego Komisja jest zarządzana z zewnątrz, gdyż od samego początku za jej powołaniem nie stoi dobro ofiar, tylko utrzymanie poprawnych stosunków między rządem a Kościołem.

To stąd biorą się chaotyczne ruchy jej przewodniczącego, ponieważ chcąc się uwiarygodnić jako samodzielna, Komisja uzurpuje sobie uprawnienia, których realnie nie posiada, i chyba nie otrzyma, a wchodzi z Kościołem w konfrontację na nokaut, nie mając w swoim narożniku wsparcia po stronie rządu.

Nie jest to jednak walka z cieniem. Przedstawiciele Kościoła również instrumentalnie traktują działalność Komisji Państwowej, skarżąc się na jej funkcjonowanie dopiero wtedy, kiedy depcze im po piętach. Na dodatek strona kościelna dała się zepchnąć do narożnika, który sama stworzyła wieloletnimi zaniedbaniami, i liczy na to, że opinia publiczna zmęczy się oglądaniem jednostronnej walki, toczony teraz po jej myśli. Niestety, takiego komfortu Kościół już nie ma, bo w jego narożniku nie brakuje ofiar. Ale jak widzimy, po raz kolejny walka nie toczy się o dobro pokrzywdzonych.

Obie strony reagują na zadawane sobie ciosy, a nie ciosy zadane ofiarom, próbując się uwolnić z klinczu z jak najmniejszą liczbą siniaków. Obie preją muskuły, żeby nam pokazać, że są profesjonalne. Werdykt niezależnych sędziów jest jednoznaczny. Tylko komisja niezależna od władzy rządowo-kościelnych bukmacherów jest w stanie zmienić cokolwiek na dobre. My jednak lubimy polsko-polskie wojenki i trochę krwi, żeby pokazać, jak waleczni jesteśmy, stojąc po słusznej stronie.

©

WIARA W SKRÓCIE

ZACHĘTA

„Osobiście nie miałem żadnej wątpliwości, jeśli chodzi o szczepienia. Przyjąłem dwie dawki i zachęcam do tego innych” – poinformował bp Krzysztof Nitkiewicz. By pomóc akcji szczepień, biskup sandomierski zapowiedział, że w siedzibie diecezjalnego Caritasu będzie zorganizowany specjalny punkt.

EKSKOMUNIKA

„Kto popełnia takie przestępstwo, stawia się poza wspólnotą Kościoła, ponieważ dopuścił się zbrodni przeciwko Stwórcy, zagrażając życiu ludzi i środowisku naturalnemu” – mówił o sprawcach pożarów, które pustoszą w ostatnim czasie Sycylię, ordynariusz diecezji Cefalù bp Giuseppe Marcianite. Sycylijski hierarcha zasugerował, że „wywołane rękami zbrodniarzy” pożary działają na korzyść „brudnych interesów gospodarczych” organizacji mafijnych.

NOMINACJA

Papież zaprosił do Papieskiej Akademii Nauk profesor astrofizyki molekularnej w Obserwatorium w Lejdzie Ewine van Dishoeck (na zdjęciu). 66-letnia Holenderka jest jedną z pionierek astrochemii, a jej badania mają na celu określenie struktury chemicznej obiektów kosmicznych z wykorzystaniem ich widm molekularnych. Przewodniczy Międzynarodowej Unii Astronomicznej i jest najczęściej cytowanym astrofizykiem.



MAREK RABJ

opowie Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM o koronawirusie w Birmie (tekst na s. 70), w środę 11 sierpnia o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Powrót pielgrzymowania

JASNA GÓRA ponownie przeżywa boom pielgrzymkowy. W ostatnim tygodniu przed uroczystością Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny do częstochowskiego sanktuarium codziennie przychodzi po kilkanaście pieszych pielgrzymek.

Rok 2019 był pod tym względem rekordowy: na Jasną Górę przyszło 300 pieszych pielgrzymek, a w nich 133 tys. osób – o 45 pielgrzymek i 9 tys. pątników więcej niż rok wcześniej. W 2020 r. z powodu pandemii nastąpiło załamanie. Wyruszała albo sami księża, albo tworzone sztafety niewielkich grup przedstawicieli. W tym roku większość pielgrzymek powróciła do tradycyjnej formy, dostosowując się do zaleceń sanitarnych. Organizatorzy tworzą mniejsze grupy, zmieniają trasy, by rzadziej spotykać się w drodze, noclegi organizowane są tylko w namiotach. Niektóre grupy i tym razem idą w tzw. sztafecie, czyli poszczególne odcinki pokonują inne osoby.

© P ASK

Następne konklawe do pilnej reformy

HABEMUS PAPAM – kardynał protodiakon ogłasza po konklawe imię następcy Franciszka. W ciągu kilku godzin na amerykańskim Twitterze rozpułte się burza, a światowe media wkrótce informują: nowy papież jako biskup diecezjalny nie zgłosił do Watykanu przestępstw pedofilskich podległych sobie księżom.

Włoski historyk i publicysta Alberto Melloni na łamach „Il Mulino” radzi, co powinien uczynić Franciszek, żeby zminimalizować zagrożenie ziszczenia się takiego scenariusza. Według niego procedurę konklawe należy pilnie (biorąc pod uwagę wiek papieża) zreformować. Możliwością zablokowania decyzji kardynałów – pisze Melloni – dysponują dziś już nie monarchowie, ale sieci społecznościowe. Wybrany kandydat nie może mieć żadnego „trupa w szafie”, więc elektorom należy dać czas na spokojne obrady. Powinni przebywać pod klauzurą od momentu przybycia do Rzymu, mieć możliwość wielu formalnych i nieformalnych porad, a po rozpoczęciu konklawe głosować raz dziennie. Zwycięzca musi zaś przed przyjęciem mitry dostać sporo czasu na modlitwę, rachunek sumienia i ocenę, czy nie ma w swojej biografii czarnych plam.

© P MAM

KULTURA W SKRÓCIE

HELLER I SŁOWA

Książd profesor Michał Heller, kosmolog, filozof, dyrektor programowy Festiwalu Copernicus, został „Człowiekiem Słowa” Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczecinie. Nagrodę przyznano jako wyraz uznania dla kunsztu jego słowa oraz wdzięczności za pielęgnowanie i kreatywne wykorzystywanie potencjału polszczyzny.

SZYDŁOWSKI Z YORICKIEM

Nagrodę Złotego Yoricka za najlepszą polską inscenizację dzieł dramatycznych Williama Szekspira przyznano w tym roku Teatrowi im. Juliusza Słowackiego w Krakowie za spektakl „Hamlet” w reżyserii Bartosza Szydłowskiego.



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM NARODOWEGO W POZNANIU

ABAKANOWICZ W POZNANIU

Wystawę poświęconą twórczości Magdaleny Abakanowicz „Jesteśmy strukturami włóknistymi” można zwiedzać w Muzeum Narodowym w Poznaniu (na zdjęciu). Ekspozycja przybliży najważniejsze prace artystki oraz inauguruje oficjalne obchody związane z nadaniem Uniwersytetowi Artystycznemu w Poznaniu jej imienia. Główne uroczystości zaplanowano na 8 października.

CZAPSKI Z KUROZWĘK

Tymczasem w krakowskim Pawilonie Józefa Czapskiego obejrzeć można ponad dwadzieścia barwnych obrazów artysty z lat 50., 60. i 70., a także jego dzienniki, fotografie oraz rysunki.



ŁUKASZ GAGULSKI / PAP

Jan-Krzysztof Duda zagra o tron

Z ROZGRYWANEGO W SOCZI Pucharu Świata w szachach klasycznych Jan-Krzysztof Duda (na zdjęciu) wrócił nie tylko z trofeum – również z kwalifikacją do Turnieju Pretendentów, a pewnie także z przekonaniem, że właśnie nadszedł przełomowy moment jego kariery. 23-letni Polak grał perfekcyjnie: w drodze po puchar musiał pokonać siedmiu rywali, w tym samego mistrza świata, 30-letniego Magnusa Carlsena. W całym turnieju nie przegrał żadnej partii, we wszystkich wielogodzinnych pojedynkach łącznie tylko przez kilkadziesiąt sekund znajdował się w tarapatach. Było to w dogrywce 1/8 finału, kiedy w pewnym momencie pozycja Dudy była przegrana – przynajmniej tak widział to komputer. Polakowi jednak udało się tak bardzo skomplikować sytuację na szachownicy, że pod presją czasu jego bardziej doświadczony rywal, Aleksander Grischuk, kompletnie się

pogubił. W finale Duda nie dał szans innemu utytułowanemu reprezentantowi Rosji – Sergiejowi Kariakinowi. Nazywany „ministrem obrony” Kariakin, były wicemistrz świata w kluczowej partii wytrzymał zaledwie 30 posunięć.

W przyszlórocznym Turnieju Pretendentów Duda z siedmioma innymi graczami wyłonionymi w wieloetapowych kwalifikacjach powalczy o prawo do gry w meczu o tytuł mistrza świata. Ostatnim Polakiem, który występował w tym turnieju, był w latach 50. Mieczysław Najdorf – choć wtedy używał już imienia Miguel i reprezentował Argentynę.

Turniej Pretendentów będzie dla Dudy życiową szansą. Większość jego najgroźniejszych rywali albo zbliży się do trzydziestki, albo jest jeszcze starszych, a to granica, po przekroczeniu której zazwyczaj gra się słabiej. Polak miał już na koncie poważne sukcesy – m.in. wicemistrzostwo świata w szachach błyskawicznych – jednak nie było dotąd zawodów, w których tak dobitnie dałby do zrozumienia, że może kiedyś zostać numerem jeden.

© ŁUKASZ KWIATEK

Opóźnić menopauzę

DZIEWCZYNI rodzą się z kompletem oocytów, z których w cyklu menstruacyjnym powstają komórki jajowe. Gdy zaczyna ich brakować, następuje menopauza. Zachodzi ona zwykle w wieku 45-55 lat, a na to zróżnicowanie wpływają zarówno czynniki środowiskowe, jak i genetyczne. Te ostatnie postanowił zbadać zespół Johna Perry’ego z Uniwersytetu w Cambridge.

Uczeni przeanalizowali genomy 200 tys. kobiet i zidentyfikowali 290 genów, które mają związek z czasem wystąpienia menopauzy. Wiele z nich reguluje procesy naprawiania DNA w oocytach, które z wiekiem się pogarszają, co prowadzi do usuwania

z organizmu wadliwych komórek – i szybszego wyczerpania ich zapasów. Najsilniejszy efekt okazał się mieć gen CHEK2, produkujący białko, które uruchamia w komórce z uszkodzonym DNA procesy samozniszczenia. U kobiet, które utraciły funkcję tego genu, menopauza następowała średnio 3,5 roku później. Badacze potwierdzili także, że myszy, które nie posiadały aktywnego genu CHEK2, miały zwiększone możliwości reprodukcyjne, a ich zapas oocytów wystarczał na dłużej.

„W idealnym świecie bylibyśmy w stanie przewidzieć, które kobiety mają krótsze naturalne okno płodności, aby umożliwić im podejmowanie bardziej świadomych decyzji reprodukcyjnych” – mówił w „Nature” Perry.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK



CZAS LASU

Wiek drzew zdradzają słoje.
Ale o mądrości przyrody – a nawet o tym, jak ograniczyć skutki zmian
klimatycznych – mówią dzieje całych lasów.
Zwłaszcza górskich.

KRZYSZTOF STORY, MARCIN ŻYŁA

KIEDYŚ WSZYSTKO WYGLĄDAŁO INACZEJ. Bieszczady nie były takie dzikie – przed II wojną światową należały do najgęściej zaludnionych regionów Polski. Sto lat wcześniej las pokrywał tylko jedną trzecią gór, które teraz uznajemy za królestwo przyrody, naszą małą Alaskę.

Hale i polany rozciągały się na wielkich obszarach, więc gdy po przejściu frontu I wojny światowej Austro-Węgry przystąpiły do budowy karpaccich cmentarzy, stawiano je często na odkrytych szczytach, gdzie dziś gęsto rosną buki.

„W reglu dolnym lasy liściaste i mieszanne, w górnym iglaste, wyżej piętro alpejskie. Temperatura powietrza spada o pół stopnia na każde sto metrów wzrostu wysokości” – nawet świat, którego jeszcze niedawno uczyliśmy się z podręczników do biologii czy środowiska, miał niezmiennie zasady.

Teraz jednak górskie lasy południowej Polski zmieniają się na wielką skalę. W zmianach tych zaś, jak w soczewce,

skupiają się problemy, od których uciec się nie da: ekstremalne zjawiska pogodowe i kryzys klimatyczny. A do rozpalającego emocje ekologów i leśników pytania o to, jak gospodarować lasami, dojdzie wkrótce – czy w ogóle trzeba.

Spadek w świerku

Lista zasług lasów górskich dla człowieka jest długa. Przede wszystkim pełnią one rolę osłony przeciwpowodziowej dla terenów położonych niżej. Góry to naturalne zbiorniki retencyjne. W gęstym lesie o kilku piętrach roślinności dotarcie na ziemię może zająć kropli deszczu nawet kilka godzin. Drzewa działają też jak gigantyczne pompy – przytrzymują i wyciągają z ziemi wilgoć, po czym oddają wodę z powrotem do atmosfery.

Karpaccie lasy są więc bezcenne, choć z punktu widzenia gospodarki leśnej mniej zyskowne niż np. sosnowe monokultury północno-zachodniej Polski (najwięcej drewna w kraju pozyskuje się w Zachodniopomorskiem, najmniej w Małopolsce). I zupełnie inaczej się nimi zarządza.

– Są narażone na surowsze warunki klimatyczne. Leśnicy o tym wiedzą i w górach chętniej niż w lasach nizinnych „współpracują” z przyrodą. Np. częściej korzystają z tzw. odnowień naturalnych

– tłumaczy prof. Tomasz Szymura, biolog z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Kłopot w tym, że polskie lasy górskie nie zawsze wyglądają tak, jak powinny. Charakterystyczne dla Karpat i Sudetów zbocza porośnięte świerkami dostaliśmy w spadku po leśnikach z XIX wieku. Dziś już wiemy, że sadząc ten gatunek, popełnili błąd.

– Monokultury świerkowe są bardzo podatne na zmiany klimatyczne, w szczególności na suszę. Świerk lubi wodę – mówi prof. Szymura. – Osłabione drzewa w jednogatunkowym lesie stają się łatwym łupem dla korników. W górach powinny dominować lasy bukowe i mieszane, z udziałem jodły. W niektórych miejscach już kilkadziesiąt lat temu próbowano w ten sposób przebudowywać drzewostan, wprowadzać gatunki liściaste, ale nie były to działania na wielką skalę. Na pytanie dlaczego, usłyszałem od leśnika: „Nie możemy zalać rynku taką ilością drewna świerkowego”. Obecne zamieranie świerka przyspieszyło ten proces – tłumaczy biolog.

Inne miejsce

Większość – 78 proc. – lasów w polskich Karpatach, czyli pasie rozciągającym się od Cieszyna po Ustrzyki, to własność państwa. Dwoma trzecimi administrują Lasy →

→ Państwowe, pozostałe 12 proc. jest zarządzane przez sześć parków narodowych: Babiogórski, Tatrzański, Gorczański, Pieniński, Magurski i Bieszczadzki. Karpaty to również lasy prywatne – należące do indywidualnych właścicieli lub wspólnot leśnych.

To specyficzny teren: przecięty gęstą siecią dróg prowadzonych dolinami i przez przełęcze, latem i w weekendy masowo odwiedzany przez turystów, zimą poddawany gigantycznej presji związanej z ekspansją infrastruktury narciarskiej. Oraz, wbrew stereotypom, gęsto zabudowany. Naprawdę ustronne miejsca, z których do najbliższej miejscowości idzie się dłużej niż dwie godziny, ostały się już tylko w Beskidzie Niskim i Bieszczadach.

Niewiele jest miejsc, gdzie własnościowa mozaika oraz różne – czasem zbieżne, czasem sprzeczne – interesy obszarów ochrony przyrody, lokalnych samorządów, prywatnych właścicieli oraz nadleśnictw pokazują tak wiele, jak na południowych stokach Babiej Góry, najwyższego (1725 m n.p.m.) w Polsce szczytu położonego poza Tatrami.

Potoki prowadzą stąd wody do Dunaju i Morza Czarnego. Dopiero 101 lat temu – jako część Orawy, regionu rozciągającego się stąd aż po Tatry – tereny te znalazły się pierwszy raz w granicach Polski. Wcześniej były tu Węgry. Dziś masyw przedzielony jest granicą ze Słowacją, ale linii podziałów jest więcej.

Na szczyt Babiej Góry, oblegany przez turystów od strony północnej, od Zawoi i Polany Krowiarki, prowadzi stąd tylko jeden szlak. Rzadko można spotkać ludzi. Wiedzie przez las, zrazu łagodnie, drogami leśnymi, wyżej przekracza potok. Niebawem na okolicę rozciąga się stąd widok, którego jeszcze kilka lat temu nie było. Olbrzymi obszar powalonych i w większości ściętych już drzew wygląda jak rana na ciele góry. Kilkaset

Lasy górskie pełnią rolę osłony przeciwpowodziowej dla terenów położonych niżej. Drzewa działają jak gigantyczne pompy – przytrzymują i wyciągają z ziemi wilgoć, po czym oddają wodę z powrotem do atmosfery.

metrów wyżej przebiega granica parku narodowego – tam jednak las stoi.

Przyroda powiedziała leśnikom: „sprawdzam” pamiętnego 19 listopada 2004 r., gdy przemieszczający się nad środkową Europą front atmosferyczny wywołał gwałtowny spadek temperatury i powstanie katastrofalnego w skutkach wiatru, nazwanego przez Słowaków Wielką Kalamitą. W Tatrach, wając przez trzy godziny z prędkością nawet powyżej 200 km na godzinę, przewracał drzewa i na wiele dekad zmienił krajobraz słowackich miejscowości wypoczynkowych. Kolejne wiatry – w 2005, 2009 i 2014 r. – uderzyły także w rejon Babiej Góry, tworząc takie jak to wylesienia.

Po wietrze – kornik

– Ta część lasu, która na pierwszy rzut oka wydaje się wręcz wycięta, należy do Parku Narodowego w jednej trzeciej, pozostałym terenem zarządzają Lasy Państwowe – mówi Paweł Hotała, leśniczy z Obwodu Ochronnego „Orawa”. Obwód ten jest od 1997 r., czyli od momentu poszerzenia granic Babiogórskiego Parku Narodowego, odpowiedzialny za część południowych stoków Babiej Góry.

Paweł Hotała mówi, że martwe drewno, które czasem kole w oczy mieszkańców okolicznych wsi czy turystów, z punktu widzenia przyrodnika jest bezcenne: – Bez tego nie będzie przecież nowego lasu. Na wysokości regła górnego, pomimo notorycznego obumierania drzew, las stoi non stop. Ale niżej każda forma ataku na niego, czy przez grzyby, przez wiatr czy owady – powoduje, że

świerk zamiera, i to na ogromnych powierzchniach.

– Tam, gdzie wiatr położył nam drzewa stosunkowo młode, wykorzystaliśmy to do przebudowy lasu na te gatunki, które rosły tu kiedyś, czyli jodłę i buka z domieszką świerku – dodaje Paweł Hotała.

Niedaleko, na terenach administrowanych przez Lasy Państwowe, rozpoczęły się tzw. cięcia sanitarne. Podczas spotkania w dyrekcji Parku Narodowego często pada zastrzeżenie, że inne są cele Lasów Państwowych, inne zaś Parków (te pierwsze działają gospodarczo, zadaniem drugich jest zachowanie, a czasem wspomnienie naturalnych procesów przyrodniczych). Co więcej, choć drewna z lasów zwoziło się w ostatnich latach bardzo dużo, nawet ekolodzy nie zarzucają tu nadleśnictwu działania na szkodę przyrody.

Pytanie jednak: co stanie się z tym lasem w przyszłości?

Zmianę widać

Mateusz Lichosyt, od trzech lat wójt gminy Lipnica Wielka, pamięta, jak po stronie słowackiej, wcześniej niż w Polsce, intensywnie cięto i sadzono nowy las na Babiej Górze. – Pytanie, czy nie powinniśmy byli zrobić tego wcześniej, i w ten sposób powstrzymać kornika? – zastanawia się.

30-letni wójt niedawno otrzymał wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie dla najlepszych włodarzy „Perły Samorządu”. Położona nieco na uboczu, wzdłuż granicy ze Słowacją, Lipnica Wielka dokończyła ostatnio budowę dwóch ścieżek rowerowych, we wsi organizowane jest kino letnie, a w niedawno zbudowanym amfiteatrze – koncerty i transmisje meczów. Gmina chce postawić na zrównoważoną turystykę – w tym na lasy.

– Kiedyś nie byłem tego świadomy, teraz już wiem, że kornik mocno zaatakował także tereny położone w parku narodowym – mówi Mateusz Lichosyt. – Teren jest tam o tyle piękny, że naturalny, nie są prowadzone żadne prace. Ale także na terenie Lasów Państwowych wycinka już się powoli kończy. Nie wygląda to może pięknie, jest dużo pustych przestrzeni. Ale sadzone są nowe drzewa.

Dla przyrodników zmiany, które zaszły na południowych stokach Babiej Góry, były jednak nie do uniknięcia.



ARTUR SPORNIAK
będzie gościem Grzegorza
Chlasty w środę 11 sierpnia
o godzinie 7.30 w Polskim

Radiu RDC. Audycję można odsłuchać też w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Tomasz Pasierbek: – Na terenie regla dolnego świerki wcześniej nie rządziły. Zaczęto je masowo sadzić prawdopodobnie w latach 60. XIX w. Kiedy w 2010 r. prowadziliśmy opis tych lasów, najstarsze drzewostany miały po 145 lat. Średni wiek świerka wynosił 125–130 lat. Skoro sadzono je na tak dużym obszarze, wcze-

śniej musiały występować intensywne cięcia.

Cena po latach

Z czasów, gdy na zlecenie węgierskich właścicieli lasami administrowali leśnicy sprowadzani z Niemiec, zachowało się niewiele dokumentów. Ale czas nasadzeń

pokrywa się z okresem intensywnego przemysłu, który potrzebował drewna.

– Świerk był wtedy traktowany niczym leśne zboże – tłumaczy Tomasz Pasierbek. – W reglu dolnym gatunek ten dobrze się czuje i szybko przyrasta. Ale nikt nie zadawał sobie pytania, dlaczego nie było go tu wcześniej. Dolnoregłowy las babiogórski wyglądał inaczej: dominowały jodla i buk. Tymczasem pod koniec XIX w. pojawiły się drzewostany, które nie miały prawa tutaj przetrwać.

Wielka Kalamita, która największe spustoszenia poczyniła po słowackiej stronie Tatr, pokazała, że świerk nie radzi sobie na tym terenie. – Ma płaski system korzeniowy, jest mało odporny na działanie wiatru. Patrząc na pojedyncze drzewa, które pozostały po Wielkiej Kalamicie na Słowacji, od razu zauważymy, że to nie są świerki – mówi dyrektor.

Na Babiej Górze w teren osłabiony przez wiatr przyszedł kornik drukarz. Czuł się tu świetnie: w reglu dolnym okres wegetacyjny jest dłuższy. Tak lasy zapłaciły za decyzje leśników z XIX w. Tomasz Pasierbek: – To wszystko pokazuje, że myśląc o tym, jak gospodarować, zwłaszcza w tak specyficznym miejscu jak lasy górskie, musimy patrzeć na wzorce, które wymusza przyroda. Teren sam podpowiada, co i jak powinno tu rosnąć.

Jak tniamiemy

Nieco inne od przyrody plany mają Lasy Państwowe, które w 2020 r. na terenie całej Polski pozyskały prawie 40 mln metrów sześciennych drewna. Takim urobkiem można by 40 razy wypełnić warszawski Stadion Narodowy. 120-letni świerk rosnący na wilgotnej i żyznej glebie to ok. 1,3 metra sześciennego tzw. grubizny, czyli surowca drzewnego; najbardziej rozpowszechniona sosna daje jej ok. metra sześciennego – ubiegłoroczne „pozyskanie” przekłada się więc w praktyce na ok. 30 mln ściętych drzew.

Brzmi to niemal apokaliptycznie – a głośne ostatnio spory o Białowieżę czy Puszcze Karpacką sprzyjają powstaniu wrażenia, że w ciągu ostatnich paru lat polskie lasy zdominował hałas pił i harwesterów. Tego jednak nie potwierdzają statystyki: w rekordowym pod względem ściniek 2018 r. wywieźliśmy z lasów o 5,5 mln metrów sześciennych drewna więcej niż w roku ubiegłym.

Niepokoju jednak statystyka w dłuższej perspektywie.



RAFAŁ JABŁOŃSKI / EAST NEWS

Wszystkie lasy nasze są

„LAS, którego głównym celem jest produkcja drewna” – czytamy w słowniku na stronie Lasów Państwowych pod hasłem „Las produkcyjny, użytkowy”. Niestety, nie dodano: „dla człowieka” – gdyż sam dla siebie las drewna nie produkuje. Ten złożony i trwały ekosystem składa się z tysięcy współzależności, nie tylko między roślinami i zwierzętami, ale także między poszczególnymi piętrami, od drzew przez krzewy, zioła i krzewinki po mchy i porosty.

PIERWOTNYCH LASÓW – czyli ukształtowanych na zasadach doboru naturalnego i rozwijających się bez ingerencji człowieka – zachowało się już w polskich Karpatach niewiele. Przeważająca większość to lasy naturalne, powstałe bez udziału człowieka i trwa-

jące w wyniku naturalnych procesów przyrodniczych: odnowienia, dojrzewania, starzenia i rozpadu. Niektóre elementy ich życia – jak opieńka, huby czy kornik – są szkodliwe z punktu widzenia gospodarki, często jednak wskazują na miejsca, gdzie w wyniku wcześniejszych błędów człowieka las jest słaby.

W TYCH NIEOBJĘTYCH OCHRONĄ prowadzi się zwykle gospodarkę leśną, choć w warunkach górskich – ze względu na trudną dostępność terenu, krótszy okres wegetacji, ryzyko erozji i powstawania osuwisk – ma ona nieco inny charakter. W górach częściej niż na nizinach do lasu wjeżdża ciężki sprzęt. Poszczególne wydzielone są wolne od cięć przez stosunkowo krótki czas, drewno z reguły pozy-

skuje się na całym obszarze poszczególnych nadleśnictw.

W KARPATACH leśnicy także posługują się pojęciem „odnowienie lasu”, które oznacza wprowadzenie kolejnego jego pokolenia na miejsce drzewostanu wyciętego lub zniszczonego przez klęski żywiołowe, choroby lub owady. Odnowienie naturalne postępuje w zasadzie samo, może być jednak – jak to ma często miejsce w parkach narodowych – wspomagane przez człowieka. W lasach dokonuje się również tzw. cięć sanitarnych, czyli usuwa się drzewa chore, obumierające i obumarłe. Jednym z celów jest minimalizowanie ryzyka pożaru – choć akurat w lasach górskich, ze względu na dużą wilgotność i chłodniejszy klimat, pożary właściwie nie występują. ©

→ – W ciągu ostatnich 20 lat pozyskanie drewna w całym kraju wzrosło o ok. 45 proc. W 2000 r. wycięto ok. 27,5 mln metrów sześciennych drewna, w 2020 już prawie 40 mln – wylicza prof. Tomasz Szymura.

Ten wzrost coraz trudniej usprawiedliwiać rosnącą powierzchnią lasów. W ostatnich dekadach przybywa ich już niewiele, bo brakuje gruntów, które można zalesiać, a po drugie, przeliczając ilość drewna na powierzchnię, dostaniemy podobne wyniki: w 1990 r. na każde 100 hektarów lasu uzyskaliśmy 202 metry sześciennie drewna, w 2020 r. – dwukrotnie więcej. Czy to oznacza, że prowadzimy gospodarkę rabunkową? Odpowiedź nie jest prosta.

– Oceniając ten wzrost tylko i wyłącznie z perspektywy leśnictwa produkcyjnego można stwierdzić: „wycinamy, bo mamy co wycinać” – mówi prof. Szymura. – W całej Polsce dominują drzewa zasadzone niedługo po wojnie, które obecnie osiągają kulminację przyrostu. Drugim czynnikiem jest duża ilość azotu w glebie, pochodzącego z zanieczyszczeń atmosferycznych, która przyczynia się do wzrostu produkcji tzw. biomasy.

W modelu, o którym mówi biolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, drzewo ściąga się w bardzo młodym wieku. Dla większości drzew iglastych – od 70 do 120 lat. Wtedy sosna czy świerk wchodzi w dorosłość, a przyrost masy spowalnia. Leśnikom w lasach gospodar-

czych czekanie się nie opłaca: na miejscu ściętych nastolatków lepiej posadzić szybko rosnące młodziki i nie ryzykować, że starsze drzewo zachoruje lub powali je wiatr.

– Dąb może dożyć 800 lat. Powiedzmy, że to odpowiednik 80 lat u człowieka – tłumaczy prof. Szymura. – W Polsce dęby wycina się w wieku 140–180 lat. Dzisiejsze lasy gospodarcze to król Maciuś w praktyce – same dzieci, bez dorosłych. Nazywamy to „zrównoważoną gospodarką leśną”, ale jeśli sosna żyje ok. 300 lat, a wycina się ją w wieku 120, to tak jakby eksterminować ludzi, którzy przekroczyli czterdziestkę, bo już nie produkują tak wydajnie.

Tymczasem, dodaje biolog, drzewa w średnim wieku oraz stare są kluczowe dla zachowania różnorodności biologicznej, a akumulacja węgla jest największa właśnie w starych drzewostanach – w glebie, próchnicy, martwych i żywych drzewach.

W rękach państwa

Sądząc po liczbach, polska gospodarka leśna wcale nie jest bardziej drapieżna niż europejski standard. Nieco większe Niemcy wycięły w 2020 r. ponad 80 mln metrów sześciennych drewna, dwa razy więcej niż my, większość ze względu na szkodniki (np. kornika). Wyjątkowy jest natomiast polski model zarządzania. Inaczej niż w większości państw Europy, Lasy Państwowe zatrudniają kilka-

dziesiąt tysięcy ludzi i mają pod „opieką” prawie jedną trzecią terytorium kraju. To państwo w państwie.

Ma to swoje zalety. Dla prawie wszystkich lasów w Polsce – wyjątkiem jest właśnie wiele lasów w górach – można łatwo wprowadzić odpowiednie procedury, by stworzyć spójny model gospodarki leśnej. Próżno szukać u nas np. wielkoobszarowych wycinek po kilka kilometrów kwadratowych. W ramach rębni zupełnej można naraz wyciąć maksymalnie cztery hektary, a każdy zabieg wykonany w lesie musi być wcześniej zapisany w Planie Urządzenia Lasu. Plany te uchwała się raz na 10 lat.

Ale centralizacja rodzi też problemy, zwłaszcza gdy organizacja zarządzająca ogromnym wspólnym dobrem przestaje być transparentna. Łatwo poddające się wpływom politycznym – zwłaszcza na poziomie krajowej i regionalnych dyrekcji – Lasy Państwowe nie zdają tego egzaminu. Pierwszy przykład z brzegu: pomimo wielokrotnych wezwań Komisji Europejskiej, nadal nie istnieje żadna procedura zaskarżenia czy odwołania się od Planów Urządzania Lasu.

Co z tą wodą

Do wyzwań związanych z powalonym przez wiatr lasem na Babiej Górze doszły te, z którymi boryka się już cała Polska: w glebie jest coraz mniej wody.

Zmiany w warunkach atmosferycznych zauważyć można choćby obser-



wując gryzonie. – Okazało się, że ich rozmieszczenie jest inne, niż się spodziewaliśmy, ponieważ gatunki wcześniej obecne w dolnych partiach dziś zasiedlają już praktycznie cały maszyn. Co pokazuje, że zmieniły się warunki, z ich punktu widzenia na korzystniejsze – tłumaczy dyrektor Tomasz Pasierbek.

I dodaje: – Rokiem, który jest podawany za przykład, jeżeli chodzi o obniżenie poziomu wód gruntowych, czyli rokiem suszy, był 2015. U nas nałożyło się to na wiatr z 2014 r., który wyłamał spore obszary lasu. Zaczęło się nieco intensywniejsze zamieranie.

Czy obniżenie poziomu wód gruntowych to zjawisko stałe? Trudno stwierdzić. Poziom wody jest uzależniony od warunków panujących w danym roku. W tym na razie nie jest źle – zima była długa, wiosna chłodna, a w ostatnim czasie spadło dużo deszczu. Ale pytanie brzmi, czy wody w ziemi jest dostatecznie wiele, aby jej nie zabrakło, nawet jeżeli przyjdzie kolejny suchy rok.

Przyrodnicy mówią, że trend istnieje – widzą to po strumieniach, które kiedyś płynęły sezonowo, a teraz w ich miejscu są suche koryta – ale potwierdzą to i odwołają dopiero nasze dzieci.

Cele lasów

Na południowych stokach Babiej Góry Lasy Państwowe i Park Narodowy operują na drzewostanach, których wiek w niektórych miejscach dochodzi do 140 lat. Tak długo udało się je zachować, choć pochodziły ze sztucznego odnowienia. W lasach prywatnych świerki nie dorastają do stu lat. Wszędzie jednak ostateczne słowo należy do przyrody.

– Przejeżdżaliśmy drzewostany o niewłaściwym składzie gatunkowym i siedlisku – mówi Paweł Hotała. – Przyroda pokazała, jak to zmienić: pojawił się wiatr, a za nim inne czynniki, m.in. kornik. Odsłoniły się wtedy tereny, gdzie pod spodem była już jodła, gatunek docelowy. Teraz, po kilkunastu latach zabiegów, mamy już w tym miejscu naturalny las.

– Naturalny, czyli taki, który jest wielogatunkową mozaiką – dopowiada dyrektor Pasierbek. – Ale nie tylko. Chodzi również o różnice w wieku drzew. Sadzenia i uprawy sprawiają, że mamy do czynienia

W ciągu ostatnich 20 lat pozyskanie drewna w całym kraju wzrosło o ok. 45 proc. W 2000 r. wycięto ok. 27,5 mln metrów sześciennych drewna, w 2020 r. już prawie 40 mln.

nia z drzewostanem jednowiekowym. A gdy drzewa są jednego gatunku i w tym samym wieku, reprezentują taką samą odporność na czynniki środowiskowe. Wiatr kładzie ogromne obszary takiego lasu. Gdy natomiast mamy drzewa różnych gatunków, różniące się między sobą systemami korzeniowymi, wymaganiami dotyczącymi wody i światła – ich odporność jest dużo wyższa. Tego też uczy nas przyroda.

Dyrektor powtarza: – Cele lasów gospodarczych i parków narodowych są zupełnie inne, ale to przyroda podpowiada, jak powinniśmy postępować.

Więcej dróg

Wycinki i inne prace leśne to nie tylko ubytek drzew. Aby dotrzeć w trudno dostępne miejsca lasu, utrzymuje się i wciąż buduje w górach sieć dróg leśnych. Powstają też tzw. szlaki zrywkowe, nazywane czasem „operacyjnymi” – pasy terenu, po których odbywa się zrywka, czyli transport drewna z miejsca ścięcia drzewa do składnic, gdzie z kolei jest ono ładowane na ciągniki i samochody i wywożone z lasu.

Jest to sieć wyjątkowo gęsta. Gdy Andrzej Norbert Affek, Alina Gerlée, Agnieszka Sosnowska i Maria Zachwatowicz, autorzy opracowania opublikowanego przed dwoma laty w „Przeglądzie Geograficznym”, przebadali 120 oddziały leśne znajdujące się pod zarządem Lasów Państwowych w Bieszczadach oraz okolicach Gorlic, okazało się, że na kilometr kwadratowy górskiego lasu przypada tu średnio 12,48 km dróg zrywkowych. To prawie piętnastokrotnie więcej niż gęstość sieci dróg publicznych w Polsce.

Ujmując to inaczej: gdyby wybrać dowolne miejsce w tych lasach na chybił trafił, prawdopodobieństwo, że znajdziemy się w odległości mniejszej niż

50 metrów od jakiegokolwiek drogi leśnej czy szlaku zwózki, wynosi 2 do 1. W zasięgu tzw. efektu brzegowego – czyli przerywania ciągłości siedlisk i tworzenia nowych, sztucznych granic – jest od 38 do 86 proc. powierzchni analizowanych lasów.

W wielu miejscach, nawet wbrew wewnętrznym instrukcjom Lasów Państwowych, buduje się równoległe do siebie drogi leśne. Zdaniem badaczy ich gęsta sieć ma wpływ na powstawanie osuwisk i może przyczyniać się do zwiększenia natężenia tzw. powodzi błyskawicznych nawet o kilkanaście procent.

A gdyby tak...

Zapytany o przyszłość górskich lasów w Polsce prof. Tomasz Szymura proponuje rewolucję: – Z uwagi na ich znaczenie dla ochrony przyrody oraz fakt, że w trudnych warunkach terenowych pozyskanie drewna jest kosztowne, najlepiej skupić się na ochronie biernej. Czyli dać im święty spokój – mówi.

Ochrona lasów – poza ewentualną koniecznością naprawy błędów człowieka – jest prosta: wystarczy nic nie robić. W naszej strefie klimatycznej las jest najbardziej naturalnym stanem przyrody. Oczywiście nie będzie to las produkujący wiele drewna w krótkim czasie, a zupełnie zatrzymanie gospodarki leśnej jest mało realne. Dlatego ważniejsze pytanie brzmi: które lasy powinniśmy chronić?

Prof. Szymura proponuje, by były to przede wszystkim siedliska Natura 2000 – typy ekosystemów, które odgrywają ważną rolę w bioróżnorodności i są zagrożone przez człowieka. To ponad 30 proc. naszych lasów.

– Dlaczego chronić akurat te obszary? Ze względu na prostotę rozwiązania. Możemy wykorzystać gigantyczną, już wykonaną pracę badawczą. Tworzenie map tych siedlisk w lasach rozpoczęło się w 2006 r. Jeżeli jakieś siedlisko zostało zaklasyfikowane jako Natura 2000, to dlatego, że obszar ten ma szczególną wartość dla zachowania różnorodności biologicznej. Nawet jeżeli znajduje się w złym stanie, to ciągle ma ponadprzeciętną wartość przyrodniczą.

Perspektywa wyłączenia z użytkowania jednej trzeciej polskich lasów brzmi radykalnie. Same Lasy Państwowe w 2021 r. uzyskały z handlu drewnem 8,6 mld zł przychodów i 500 mln zysku. Według danych Polskiej Izby Gospodarczej Przemysłu

→ Drzewnego sektor drzewny wypracowuje ok. 2,5 proc. krajowego PKB.

Prof. Tomasz Szymura: – Otaczają nas zabetonowane miasta, które latem nagrzewają się jak patelnie, a kiedy spadnie deszcz, dochodzi do podtopień, bo woda nie ma gdzie wsiąkać. Pola uprawne zalewamy tysiącami litrów pestycydów, fungicydów i herbicydów. Lasy przecinamy drogami, których zwierzęta nie mogą bezpiecznie przekraczać.

Zdaniem biologa z perspektywy zachowania różnorodności biologicznej nie mamy już nadmiaru lasów, które możemy sobie bezpiecznie niszczyć: – Żyjemy w świecie, który się ostatnio bardzo zmienił. Być może w takim, w którym bardziej jest nam potrzebny las niż fabryka desek.

Start do światła

Dyrektor Tomasz Pasierbek: – Oglądanie zamierającego drzewostanu wydaje nam się nienaturalne. Ale przecież każde drzewo rodzi się i umiera. To, co obserwujemy teraz na terenie regla górnego na Babiej Górze, a co wygląda jak masowe zamieranie świerka, wynika z tego, że osiągnął on kres swojego życia. A odnowienie świerczyny, czyli całego zbiorowiska, wymaga tzw. rozpadu wielkopowierzchniowego. Musi być większy obszar, gdzie młode świerki dostaną dużo światła, ale też gdzie jest obfitość martwego drewna. Na takiej wysokości wykielkowania nowego pokolenia lasu.

Jednym słowem stan lasu nie zawsze jest świadectwem czasów – bardziej kapsułą czasu z przeszłości. Dla przyrodników obserwowanie takich zmian, jak na Babiej Górze, jest tym, czym dla astronomów obserwowanie przelotu komety Halleya – zdarza się wyjątkowo rzadko.

– Za 20-30 lat ten las będzie wyglądał zupełnie inaczej. W miejscach, gdzie dziś stoją suche świerki, będzie przepiękny zielony las – mówi Tomasz Pasierbek. – Już teraz trudno tamtędy przejść, tak gęste jest to odnowienie. Tylko czeka, żeby wystartować do światła.

Dyrektor dodaje: – Pojawiają się głosy, że na terenie Parku Narodowego jest dużo kornika. To dlatego na dole lasu nie ma, a na górze, już na terenie Parku, las jest? Przecież nie dlatego, że świerki poza Parkiem są dla kornika smaczniejsze.



RAFAŁ JABLONSKI / EAST NEWS

Zdaniem badaczy gęsta sieć leśnych dróg zrywkowych ma wpływ na powstawanie osuwisk i może przyczyniać się do zwiększenia natężenia tzw. powodzi błyskawicznych nawet o kilkanaście procent.

Zdaniem przyrodników lasy górskie w Polsce można porównywać z lasami borealnymi – tajgą, lasami północnej Skandynawii czy Kanady. Tam naturalnym bodźcem do odnawiania się lasu są wielkie pożary. – Gasi się je w chwili, gdy zaczynają zagrażać człowiekowi. Ale tak długo, jak płonie sam las, jest to pozostawione jako element naturalny. W warunkach górskich w Polsce odpowiednikiem tego jest wiatr, wspomagany później przez opieńkę, hubę i kornika – tłumaczy Tomasz Pasierbek.

Chcemy sadzić

Wójt Lipnicy Wielkiej również widzi, jak zmiany w lasach przyspieszają w ostatnich latach. Jako dziecko pomagał rodzicom w pielęgnacji i sprzątaniu lasu. Teraz prywatni właściciele coraz rzadziej wchodzą między swoje drzewa.

– Powszechne, zwłaszcza tu, w górach, jest jeszcze palenie drewnem. Ale dziś od tego już się odchodzi. Dopóki można było palić drewnem, prywatne lasy były wy-

sprzątane. Teraz jest z tym nieco gorzej – mówi Mateusz Lichosyt. I powtarza, że las ma dla niego wartość strategiczną, może pomóc w rozwoju turystyki: – Cieszy mnie, że Lasy Państwowe zaczynają udostępniać bezpłatne miejsca do biwakowania, tworzą nowe pola namiotowe. Teraz czas na zmianę świadomości. Żeby wszyscy wiedzieli, że gdy wytniemy jedno drzewo, trzeba posadzić ich dziecię – mówi wójt. Chciałbym, aby każdy czwartoklasista z Lipnicy dostał pod opiekę jedno drzewo. I aby kilka lat później, gdy będzie kończył szkołę, przekazał je młodszemu.

Idzie nowe

Spór o lasy będzie narastał, bo w dobie katastrofy klimatycznej będziemy potrzebowali mniejszej, a nie bardziej intensywnej gospodarki leśnej. Pierwsze duże zmiany może przynieść Strategia Leśna Unii Europejskiej, będąca częścią tzw. Zielonego Ładu. Planuje się m.in. ustanowienie obszarów chronionych na co najmniej 30 proc. powierzchni lądowej i 30 proc. powierzchni morskiej Europy oraz objęcie ścisłą ochroną jednej trzeciej tych terenów, w tym wszystkich pozostałych w Unii lasów pierwotnych i starodrzewów.

W Polsce ochroną ścisłą zostaną objęte przede wszystkim lasy – bo niewiele innych terenów do ochrony nam zostało. – Z użytku gospodarczego może będzie trzeba wyłączyć około 2,7 mln hektarów, co stanowi około 30 proc. powierzchni naszych lasów. Dokładny efekt zależy w dużej mierze od przyjętej w prawie definicji ochrony ścisłej czy „starodrzewu” – mówi Tomasz Szymura.

„Stary las” niekoniecznie oznacza stare drzewa. Prof. Szymura odwołuje się do angielskiego terminu *ancient forests*. To lasy, które przetrwały największą falę wyłesień w Europie w XVII i XVIII w., czyli z perspektywy ludzkości miejsca, w których las był zawsze. Nawet jeśli drzewa położył huragan, to pozostało ukryte w glebie bogactwo mikroorganizmów, grzybów, połączeń mikoryzowych. Niezależnie od tego, że rosną nad nimi zaledwie 120-letnie świerki.

Podobnie jak pozornie zniszczony przez wiatr las na Babiej Górze, właśnie takie tereny są bezcenne dla zachowania bioróżnorodności.

Dopóki w ogóle istnieją.

© KRZYSZTOF STORY, MARCIN ŻYŁA



„TP” 26/2021

Pójdźmy dłuższą drogą

Cieszę się publikacją „Tygodnika” redukującą stereotypy historyczne. Artykuł Macieja Jakubowiaka „Historie wstydu” był nie tylko omówieniem „Chamstwa” Kacpra Pobłockiego, ale i niezłym kompendium opracowań o podobnej tematyce. Postulat zmiany punktu widzenia w opisach wydarzeń historycznych uważam za istotny element „terapii dla Polski”, leczący nas – nawiązując do zamieszczonego w tym samym numerze artykułu Tomasza Stawiszyńskiego – z chronicznego poczucia krzywdy historycznej i odgrywania się za nią na otoczeniu „w trybie koluzji”. Świadomość krzywdy bywa u nas też głównym szkieletem

utrzymującym rodzinną pamięć międzypokoleniową. Proponuję uzupełnienie: zamiast skupiać się na punktowych wydarzeniach historycznych, warto byłoby więcej uwagi poświęcać procesom zachodzącym pomiędzy nimi. Powody są równie istotne jak te, które dotyczą wzbogacenia historiografii o jej „ludowy” wymiar. Po pierwsze, w procesach uczestniczą różne grupy (klasy) społeczne i ich opis może oddawać sprawiedliwy w nich udział – równowagę rolę inicjatorów oraz aktywnej rzeszy jego uczestników, choćby i nie zawsze dobrowolnych. Po drugie, procesy bywają konstruktywne w większym stopniu niż zdarzenia, dotyczą „nudnych” zjawisk budowania, gromadzenia, hodowania, wzrastania, współistnienia. Poznanie logiki procesów historycznych jest potrzebne do wypracowania etosu wysiłków zbiorowych, odbudowywania zaufania, zmniejszania nieufności. Wreszcie, myślenie logiką procesu historycznego pozwala skutecznie rozpisywać zadania na różnych jej uczestników, zgodnie z ich interesami. To może przełamać fałszywą alternatywę: państwo

liberalno-minimalistyczne kontra państwo centralistyczno-omnipotentne. Obie te wersje są wygodne dla polityków i specjalistów od marketingu politycznego. Realistycznie-optimistyczna wizja rozwoju może być jeszcze jednym pożytkiem z opisu procesów historycznych, pod warunkiem, że jej opisanie pozwoli większości grup społecznych znaleźć swoje miejsce i rolę w jej realizacji, bez nadmiernego uzależniania od zewnętrznych „zbawców”. To jednak wymaga pokory od jej inicjatorów. Na początku transformacji była to wizja wychodzenia z „dziadostwa PRL-u” i otwarcie drogi do bogacenia się. Okazało się, że na dłuższą metę to nie wystarcza, i że wprawdzie nauczyliśmy się zarabiać, ale nie bardzo umiemy satysfakcjonująco korzystać z naszych pieniędzy, a w szale zarabiania utraciliśmy cały szereg walorów niematerialnych. Zamiast analiz

Autorzy
opublikowanych
listów dostaną
od nas notes
KS. BONIECKIEGO.



marketingowych warto byłoby pójść śladem konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” w oparciu o stan rzeczywistości, a nie stan emocji społecznych. To tylko trochę dłuższa droga, ale znacznie bardziej godna zaufania.

EWA KIPTA

„TP” 29/2021

Miedzy meczami

Serdecznie dziękuję Michałowi Okońskiemu za jego felietony i komentarze podczas Euro 2020. Nie jestem dobry w wyrażaniu myśli słowem piętym, ale czytając jego teksty miałem wrażenie, że robi to jakby za mnie, potrafiąc uchwycić piękno, magię i klimat piłki nożnej oraz sportu. Lektura jego komentarzy była obowiązkowym punktem każdego dnia mistrzostw, a zarazem idealnym ich dopełnieniem. A kiedy czytałem dziś podsumowanie mistrzostw, łzy zakręciły mi się w oczach. Czapki z głów! Mam gorącą nadzieję, że Michał Okoński ma w planach komentowanie mistrzostw świata w przyszłym roku, których – m.in. dzięki niemu – już nie mogę się doczekać.

SZYMON CUDNY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiatkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzińska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosłowski, Dorota Kosińska,
Ryszard Kosiółek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Nowicka Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Usprawiedliwienia



MOJŻESZ DŁUGO BŁAGAŁ NAJWYŻSZEGO O WYBACZENIE Izraelitom grzechu złotego cielca (zob. Pwt 9, 18). Relacja biblijna z tego czasu jest nader skromna, ale midraszy wiele. Oto jeden z nich. Gdy Mojżesz powstał, aby udobruchać Boga, rzekł: „Panie Wszechświata,

oni dali Ci pomocnika, a Ty się na nich gniewasz? Cielec, którego zrobili, będzie Twoim pomocnikiem: Ty sprawisz, że będzie wschodzić słońce, on – że księżyc. Ty sprawisz, że spłynie rosa, on – że powieją wiatry. Ty sprawisz, że spadną deszcze, a on dopilnuje wzrostu roślin”. Odrzekł Bóg: „Mojżeszu, bądźzisz tak samo jak oni! Przecież on nie jest w stanie niczego zrobić”. Na to Mojżesz: „Skoro tak, to dlaczego gniewasz się z powodu takiego nic?”.

Przywódca szukał też okoliczności łagodzących: nie można wymagać zbyt wiele od ludu, który przez paręset lat przesiąkł niepożądanym światopoglądem. Midrasz porównuje tę sytuację do ojca, który powierzył synowi prowadzenie perfumerii znajdującej się w dzielnicy czerwonych latarni. Zarówno lokalizacja sklepu, jak i rodzaj klientów, z którymi miał do czynienia, w połączeniu ze słabością charakteru syna doprowadziły do jego zepsucia. Kiedy wściekły ojciec groził synowi śmiercią, zainterweniował przyjaciel ojca, mówiąc: „Straciłeś go, ponieważ nie udało ci się nauczyć go zawodu, który umożliwiłby mu kontakt z ludźmi z wyższych sfer. Poza tym sam sprawiłeś, że zamieszkał wśród prostytutek. Jak możesz się dziwić temu, co się stało?”.

W trzecim midraszu uwypuklona jest niedojrzałość Izraelitów. Traktuje on o królu, który miał leżące odłogiem pole. Powiedział do dzierzawiącego je robotnika: „Idź, popracuj nad tym polem i zamień je w winnicę”. Robotnik poszedł, by doglądać pola, i zasadził tam winnicę. Winorośl wyrosła, ale winogrona dały wino, które skwaśniało. Gdy król zobaczył, że wino stało się kwaśne, rzekł do robotnika: „Idź i wykarczuj to wszystko! Jaki pożytek z winnicy, która daje ocet?”. Jednak robotnik argumentował: „Panie mój i królu, rozważ, jakie nakłady poniosłeś, zanim winnica została zasadzona – a teraz chcesz ją wyciąć?! Nie mów mi w odpowiedzi: »Ale jej wino robi się kwaśne«, bo to dlatego, że winnica jest nowa. Świeżo zasadzona winnica nie może dać dobrego wina”.

Podobnie, gdy Izrael uczynił złotego cielca, Bóg zamierzał ich wygubić, ale Mojżesz błagał: „Panie Wszechświata, czyż nie wyprowadziłeś ich z Egiptu – miejsca czcicieli bałwanów? Są jeszcze młodzi, jak napisano w Oz 11, 1: »Gdy Izrael był dzieckiem, wtedy go umiłowalem, a z Egiptu powołałem mego syna«. Bądź dla nich przez pewien czas cierpliwy i pozostan przy nich, a jeszcze będą postępować właściwie”. Ostatecznie Mojżesz wybłagał przebaczenie, ale trwało to... 40 dni i nocy.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Letnia Wielkanoc



WNIEBOWZİĘCIE, DZIĘKI FOLKLORYSTYCZNEJ obudowie związanej z przemijającą kulturą rolniczą, dla wielu z nas jest miłym wspomnieniem z dzieciństwa. W tym dniu świętuje się też dożynki i rocznicę bitwy warszawskiej. A kaznodzieje przypominają, że

Bogurodzica „po zakończeniu ziemskiego życia, z duszą i ciałem została wzięta do chwały niebieskiej”.

15 sierpnia według kalendarza gregoriańskiego, a 28 według juliańskiego (Cerkiew obchodzi święto Zaśnięcia Bogurodzicy), to ostatnie z dwunastu największych świąt, nazywane również Letnią Paschą. Wschodni chrześcijanie wspominają śmierć-zaśnięcie Matki Bożej, jej zmartwychwstanie i wniebowzięcie. Wspólnym mianownikiem tych wschodnio-zachodnich obchodów jest zatem śmierć Matki Chrystusa.

Biblista ks. prof. Mariusz Rosik w Komentarzu do 1 Listu do Koryntian pisze, że „współcześni chrześcijanie nie mieliby kłopotu z wiarą w zmartwychwstanie Chrystusa nawet wówczas, gdyby odkryto Jego doczesne szczątki”, gdyż zmartwychwstanie „nie jest uwarunkowane przez ziemskie i historyczne ciało Jezusa”. Ale „Dla Żydów z I stulecia zmartwychwstanie musiało wiązać się z nieobecnością ciała zmarłego w grobie, dlatego pusty grób był najpotężniejszym (choć i tak niewystarczającym) argumentem za zmartwychwstaniem”. Dla nas jednak „pusty grób nie jest dowodem ani źródłem wiary w zmartwychwstanie Chrystusa, lecz jednym z argumentów za zmartwychwstaniem i potwierdzeniem wiary w nie”. Dlatego zanim zaczniemy cokolwiek mówić o śmierci i o tym, co w niej i po niej się dzieje, w odniesieniu do Jezusa, Maryi, jak i każdego innego człowieka, pamiętajmy o słowach Jezusa skierowanych do Tomasza: „Unieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce, podnieś też swoją rękę i włóż w mój bok. I przestań być niedowiarkiem, a bądź wierzącym”.

We wschodniej tradycji Kościoła mamy trzy Paschy: Wiosenną, Letnią i Zimową, oraz kolędę-modlitwę Szymona Muchy i Zbigniewa Preisnera pt. „Kolęda dla nieobecnych”.

*Daj nam wiarę, że to ma sens.
Że nie trzeba żałować przyjaciół.
Że gdziekolwiek są – dobrze im jest,
Bo są z nami, choć w innej postaci.
I przekonaj, że tak ma być,
Że po głosach tych wciąż drży powietrze.
Że odeszli po to, by żyć,
I tym razem będą żyć wiecznie.*

W dożynkowych wieńcach spletają się wszystkie pory roku. Na zboże zebrane z pól czeka w młynach i piekarniach śmierć, ale nie koniec istnienia, lecz chleb, znak obecności człowieka i Boga.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Syn Człowieczy

*We wszystkim, co robisz,
zachowaj jedno i to samo
usposobienie serca.*

MISTRZ ECKHART



*Jeśli będziesz
szukał Mnie naprawdę,
ujrzesz mnie natychmiast.
Będę w mgnieniu oka.*

KABIR



DRUGI ROZDZIAŁ Ewangelii św. Marka otwiera scena uzdrowienia paralytyka (Mk 2, 1-12). Marek podkreśla, że rozgrywa się ona w „domu”: „[Jezus] wrócił do Kafarnaum; [ludzie] posłyszeli, że jest w domu”. Znamy tę historię. Czterech ludzi niesie na noszach chorego. Nie mogąc przebić się przez tłum, odkrywają dach nad Jezusem i opuszczają łoże wprost przed Pana. Jezus mówi: „Synu, odpuszczają ci się twoje grzechy” (w. 5).

Uczonym w Piśmie – którym te słowa wydają się bluźnierstwem – odpowiada: „Żebyście wiedzieli, iż Syn Człowieczy ma na ziemi władzę odpuszczania grzechów – rzekł do paralytyka: »Mówię ci: Wstań, weź swoje łoże i idź do domu«” (w. 10-11).

Czytałem tę perykopę setki razy, ale dopiero ostatnio zauważyłem, że Jezus nazywa się w niej „Synem Człowieczym”. Więcej: w zapisie św. Marka – podobnie zresztą jak w Ewangelii św. Łukasza (zob. Łk 5, 24) – czyni to po raz pierwszy. (U Mateusza – po raz drugi: Mt 8, 20; 9, 6).

Właśnie tak: rozgrzeszając paralytyka (i na dowód tego uzdrawiając go), nie tylko oznajmia, co czyni, ale również jako kto to czyni. Objawia, kim jest: „Synem Człowieczym”, i jako Syn Człowieczy ma prawo odpuścić grzechy.

Słuchający tej deklaracji ludzie mogli mieć tylko jedno skojarzenie – z siód-

mym rozdziałem Księgi Proroka Daniela: „Patrzyłem, aż postawiono trony, a Przedwieczny zajął miejsce (...). Sąd zasiadł i otwarto księgi (...). Patrzyłem w nocnych widzeniach: a oto na obłokach nieba przybywa jakby Syn Człowieczy. Podchodzi do Przedwiecznego i wprowadzają Go przed Niego. Powierzono Mu panowanie, chwałę i władzę królewską, a służyły Mu wszystkie narody, ludy i języki. Panowanie Jego jest wiecznym panowaniem, które nie przeminie, a Jego królestwo nie ulegnie zagładzie” (Dn 7, 9-14).

Oto „Syn Człowieczy” – tajemnicza Postać, której Przedwieczny Bóg – w czasie ostatecznym – przekazuje królewską władzę sądenia. Jezus mówi: To Ja. Jezus mówi: To Teraz. W Piotrowym domu w Kafarnaum odbywa się sąd Wiecznego Króla nad przyniesionym doń człowiekiem. Wyrok? „Odpuszczają ci się twoje grzechy”. Oto Sędzia, który używa swej władzy do wybaczenia. I trudno się dziwić, skoro ma (i objawia) świadomość, iż sądzi swoje własne dziecko. Mówi: „Synu”. A właściwie: „Dziecko” (bo takie jest pierwsze znaczenie użytego tutaj greckiego słowa: *téknon*). Sąd w rodzinie, sąd nad własnym dzieckiem – czy nie dlatego rzecz cała dzieje się w „domu”?

Oto, jak wypełnia się proroctwo Daniela.

Oto, jak cudownie zaskakujący jest Bóg. ©

CYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 VIII)

Niedziela, uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej

Maryi Panny: Ap 11, 19a. 12, 1.

3-6a. 10ab; Ps 45; 1 Kor 15,

20-267; Łk 1, 39-56;

Poniedziałek: Sdz 2, 11-19; Ps: 106; Mt 19, 16-22;

Wtorek: Sdz 6, 11-24a; Ps 85; Mt 19, 23-30;

Środa: Sdz 9, 6-15; Ps 21; Mt 20, 1-16;

Czwartek: Sdz 11, 29-39a; Ps 40; Mt 22, 1-14;

Piątek: Rt 1, 1. 3-6. 14b-16. 22; Ps 146;

Mt 22, 34-40;

Sobota: Rt 2, 1-3. 8-11. 4, 13-17; Ps 128;

Mt 23, 1-12;

21. niedziela zwykła: Joz 24, 1-2a. 15-17. 18b;

Ps 34; Ef 5, 21-32; J 6, 55. 60-69.

Wybrał PIOTR SIKORA

WÓJT NA WIEJSKĄ

Jarosław Kaczyński jest ojcem politycznego przebudzenia samorządowców.

Poczuli, że muszą się przed nim bronić.

KAROLINA LEWICKA

PROCESAMI POLITYCZNYMI TAKŻE RZĄDZĄ prawa fizyki. Np. trzecia zasada dynamiki Newtona. Im bardziej Jarosław Kaczyński chce scentralizować kraj, tym silniejszy opór stawia samorząd – akcja rodzi reakcję. Lokalni władze nie zamierzają skończyć w roli ubezwłasnowolnionych wykonawców polityki Warszawy w terenie. „Chcą nam zabrać pieniądze, chcą zabierać prerogatywy, dlatego jesteśmy razem” – mówił Rafał Trzaskowski podczas niedawnej inauguracji stowarzyszenia samorządowców Wspólna Polska. To jedna z wielu powstałych ostatnio organizacji, swoje stowarzyszenia mają też prezydenci Wrocławia i Poznania, a od dwóch lat działają Samorządy dla Polski Jacka Karnowskiego z Sopotu. „Nasz głos może być postrzegany jako polityczny tylko w tym sensie, że będziemy chcieli reprezentować interesy całego samorządu” – przekonywała wówczas Aleksandra Dulikiewicz z Gdańska.

Ale dziś widać wyraźnie, że zwłaszcza prezydenci metropolii nie chcą się skupiać wyłącznie na zadaniach lokalnych

i zrzeszać tylko w apolitycznych korporacjach, takich jak np. Związek Miast Polskich. Przynajmniej niektórzy z nich poczuli, że są już gotowi, by rozdawać karty także na szczeblu centralnym i stworzyć poważną siłę polityczną na wybory parlamentarne w 2023 r. Są też przekonani,

że bez nich nie uda się odsunąć PiS-u od władzy.

Nie jest to nic nowego. Podczas ostatniej dekady potrzebę i chęć zaangażowania lokalnych polityków w politykę na szczeblu centralnym podnoszono co najmniej kilkukrotnie. Odbyla się dyskusja





PIOTR SKORNIKI / AGENCJA GAZETA

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak i prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podczas spotkania w ramach programu Campus Polska Przyszłości. W Poznaniu Rafał Trzaskowski ogłosił start ruchu Wspólna Polska. Poznań, 28 czerwca 2021 r.

o przekształceniu Senatu w izbę samorządową (teraz ten pomysł wraca w programie Porozumienia Jarosława Gowina), pojawiły się też inicjatywy o charakterze regionalnym, choćby dolnośląskie: Polska XXI czy Obywatele do Senatu, jednakże spełzły na niczym. Aż wreszcie

władzę wziął PiS i stało się jasne, że będzie chciał ją maksymalizować kosztem wszystkich innych podmiotów życia publicznego. Także samorządów, które od początku były kamieniem w bucie Jarosława Kaczyńskiego. Wprowadzie w wyborach w 2018 r. PiS znacząco poszerzył

obszar swego lokalnego posiadania, ale duże miasta nadal pozostają poza jego zasięgiem: na 107 miast prezydenckich rządzi w pięciu, największym jest 65-tyśięczny Zamość, gdzie wygrał Andrzej Wnuk, nienależący do PiS-u, ale mający jego poparcie.



PiS chce wziąć głodem

→ Stąd działania Zjednoczonej Prawicy zwane przez jej przeciwników taktyką salami – odcinanie samorządom kolejnych plasterków kompetencji. Ostatnim pomysłem tego typu jest nowela ustawy o prawie oświatowym, która *de facto* oddałaby wybór dyrektorów szkół w ręce kuratorów, wskazywanych przez ministra edukacji. „Wprowadzenie tak sformułowanych rozwiązań – pisze prof. Hubert Izdebski w analizie przygotowanej dla Fundacji Batorego – oznaczałoby sprowadzenie samorządów do roli biernych sponsorów realizacji rządowych wizji”. Rozwiązanie oprotestował już m.in. Związek Powiatów Polskich, a Unia Metropolii Polskich zaapelowała do parlamentarzystów, by odrzucili „skrajnie szkodliwe dla polskiej oświaty zmiany”.

Jednocześnie samorząd sukcesywnie biednieje, bo rządzący skutecznie ograniczają mu tzw. dochody własne w tej części, która pochodzi z podatków. Uderzyła w nie np. Piątka Kaczyńskiego: na obniżeniu pierwszej stawki PIT oraz wyłączeniu spod podatku osób do 26. roku życia samorządy tracą łącznie kilka miliardów rocznie.

Kolejnym zagrożeniem dla samorządów jest Polski Ład, który znów odbiera im pieniądze, mając jednocześnie obietnicą „subwencji”, które owe ubytki rzekomo zrekompensują. Z czym to się je, samorządowcy doskonale wiedzą po przykrych doświadczeniach z Rządowym Funduszem Inwestycji Lokalnych. W jego drugiej i trzeciej transzy pieniądze były rozdzielane według klucza partyjnego. Jak wykazali prof. Jarosław Flis i prof. Paweł Świaniewicz, niemal wszystkie gminy rządzone przez PiS zostały dofinansowane, połowa z nich nawet dwukrotnie, natomiast gminy z włodarzami z partii opozycyjnych w większości pominięto.

PiS daje tylko swoim, co zresztą *express verbis* wybrzmiewało w kampanii samorządowej, np. Patryk Jaki obiecywał, że jeśli to właśnie on zostanie prezydentem Warszawy, znajdą się środki na budowę trzeciej i czwartej linii metra. Zaś w tym roku z budżetu państwa nadwyzczaj hojnie wspomagano kampanię prezydencką kandydatów PiS-u i Solidarnej Polski w Rzeszowie. Czek na prawie milion złotych dla rzeszowskiego szpitala osobiście przywiózł wojewodzie podkar-

packiej Mateusz Morawiecki, kandydującego tam Marcina Warchoła zasilano z Funduszu Sprawiedliwości, a on w świetle kamer przekazywał pieniądze ochotniczym strażom pożarnym.

Gdy pod koniec maja obchodziliśmy Dzień Samorządu Terytorialnego, Mateusz Morawiecki apelował do władz lokalnych, by „nie słuchały tych, którzy mówią, że my chcemy Polskę dzielić”. Ale doświadczenia samorządowców są zgoła odmienne, a przyszłość niepewna. Traf chciał, że tego samego dnia opublikowano stanowisko zespołu ekspertów samorządowych Fundacji Batorego, w którym wskazywano na zagrożenia ukryte w Krajowym Planie Odbudowy. Pisano, że „celem jest zastąpienie samorządowego modelu dostarczania usług publicznych, inwestycji oraz prowadzenia polityki modelem scentralizowanym”. Wciąż też nie wiadomo, jak rząd ostatecznie rozdzieli środki z Funduszu Odbudowy i co dostaną samorządy: bezzwrotne granty czy głównie pożyczki? Nic dziwnego, że samorządowcy, którzy za PiS-u mają pod górkę, nie chcą czekać bezczynnie na dalszy rozwój wypadków.

Trzaskowski idzie na pobocze

Ojcem politycznego przebudzenia samorządowców stał się więc Jarosław Kaczyński. Kiedy w połowie czerwca podpisano w Senacie porozumienie o współpracy „na rzecz rozwoju i obrony Polski lokalnej”, jego sygnatariusze – senatorowie z zespołu samorządowego oraz cztery regionalne stowarzyszenia – nie ukrywali, że ich intencją jest budowa reprezentacji sił demokratycznych i samorządowych na najbliższe wybory. „Szanowni rządzący, idziemy po was. Idziemy po władzę” – zapowiadał senator i były prezydent Nowej Soli Wadim Tyszkiewicz.

Warto w tym miejscu przypomnieć kolejne rozwiązanie, które PiS wprowadził trzy lata temu. Wójtowie, burmistrzowie i prezydenci mogą od tej pory sprawować te funkcje tylko przez dwie kadencje. Niektórzy z obecnych włodarzy, choć zostaną wypchnięci z samorządu dopiero za kilka lat, już projektują własną polityczną przyszłość, tę po 2028 r.

Najpierw są jednak wybory w 2023 r. Rafał Trzaskowski już zadeklarował, że będzie się ubiegać o drugą kadencję, z kolei Jacek Jaśkowski nie wyklucza żadnego scenariusza. Bo samorządowcy poczuli

swoją polityczną wagę. Mają świetne wyniki wyborcze, cieszą się dużym zaufaniem społecznym oraz są rozpoznawalni w skali kraju. Ich popularności nie zagroziła pandemia, w tym trudnym czasie radzili sobie zresztą lepiej niż rząd, który uparczywie nie dostrzegał w nich partnera do wspólnej walki z wirusem. W dodatku samorządowcy są partnerem pożądanym przez wiele sił politycznych, pytanie zatem, w jakiej konfiguracji będą chcieli ostatecznie zaistnieć.

Na razie wygląda na to, że historia zatoczyła koło. Dwa lata temu honorowym gościem uroczystych obchodów 30. rocznicy wyborów czerwcowych w Gdańsku był Donald Tusk. Spekulowano wówczas, że były premier ogłosi powstanie nowego projektu politycznego, w który mieliby być zaangażowani samorządowcy z całej Polski, a który miałby wzmocnić przed wyborami parlamentarnymi obóz anty-PiS. W medialnych doniesieniach pojawiła się nawet robocza nazwa przedsięwzięcia: Ruch 4 Czerwca. I choć ostatecznie ówczesny szef Rady Europejskiej ograniczył się do wygłoszenia na Długim Targu motywacyjnej przemowy, koncept nie umarł i po roku został przejęty przez prezydenta Warszawy właściwie jeden do jednego.

Czym innym bowiem miała być Wspólna Polska, jeśli nie zgrupowaniem pod jednym sztandarem popularnych samorządowców? Zmieniał się tylko chorągwy. Tyle że Rafał Trzaskowski zbyt długo zwlekał z realnymi działaniami (o co zresztą wielu samorządowych polityków miało do niego pretensje), na powrót zdecydował się Donald Tusk i bez pardonu przejął drzewiec z rąk prezydenta stolicy.

– Miał szansę, by zostać samorządowym *primus inter pares*, ale ją zmarnował – ubolewa polityk PO i przewiduje, że teraz wśród prezydentów metropolii Trzaskowski nie będzie odgrywał wiodącej roli, nikt też nie będzie się na niego w najbliższym czasie orientował, bo zaparkował na poboczu polityki. – Przecież prezydentura stolicy to jedno z kilku najważniejszych politycznie stanowisk w kraju – kontruje Cezary Tomczyk, przyjaciel i współpracownik Trzaskowskiego, zmuszony przez Tuska i Borysa Budkę do „dobrowolnego” odejścia ze stanowiska szefa klubu parlamentarnego KO. – Rafał Trzaskowski ma swoją polityczną wagę i olbrzymią popularność, jest jednym z lide-

rów rankingu zaufania i będzie dalej aktywny na poziomie centralnym. Na razie trwa przegrupowanie wojsk, więc jak to będzie dalej wyglądało, czas pokaże.

W planach jest Campus Polska Przyszłości (pod koniec sierpnia), ale co potem, i jak konkretnie będzie wyglądała działalność Wspólnej Polski, nie sposób się już dowiedzieć. Zresztą wśród samorządowców zdania są też podzielone. Np. prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, który od miesiący bezpardonowo atakował kierownictwo własnej partii i sugerował, że wespół z innymi prezydentami wykuwa konkurencyjny wobec Platformy projekt polityczny, teraz przekonuje, że powrót Tuska zdjął z nich odpowiedzialność za poprowadzenie opozycji do boju z Kaczyńskim.

– Nasze dotychczasowe zaangażowanie na poziomie krajowym było rezultatem trzeźwej oceny siły, a właściwie słabości opozycji. Ale powrót Tuska, polityka światowego formatu, naprawdę wiele zmienił. Teraz stoi przed nami inne zadanie, musimy próbować łączyć siły i potencjały. Tym bardziej że nam tu, na dole, łatwiej jest przełamywać plemienne podziały – dowodzi Jaśkowiak. Kluczowe według niego jest nawiązanie współpracy prezydentów metropolii z władzami mniejszych miejscowości, także tymi związanymi z obecną władzą, którym dewastacja samorządu niekoniecznie musi się podobać.

Ta koncepcja jest zbieżna z tym, o czym myśli nowo-stare kierownictwo PO. Powszeczne jest przekonanie, że Jacek Karnowski, Tadeusz Truskolaski czy Konrad Fijołek tak czy owak są po stronie opozycji, z Trzaskowskim aktywnym czy biernym. Wyzwaniem są właśnie mniejsze miejscowości. – Chcemy aktywizować burmistrzów i wójtów – mówi mi polityk PO. – To jest ten wielki zasób, którego do tej pory nie próbowaliśmy uruchomić.

Gowin i Hołownia wietrzą szansę

Ale do samorządowców mruga też Szymon Hołownia, skutecznie budujący swoją markę właśnie w miastach małych i średniej wielkości. Setkę miejscowości burmistrzowskich, co pokazała lipcowa prognoza wyborcza Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, podzieliłyby między sobą dwa ugrupowania: Polska 2050 oraz PiS, dla KO zostałyby resztki. Pobudować się na Polskę lokal-

Wciąż nie wiadomo, jak rząd rozdzieli środki z Funduszu Odbudowy.

Nic dziwnego, że samorządowcy nie chcą czekać beczynnie.

nej chciałby też Jarosław Gowin. Na konwencji Porozumienia wicepremier i jego przybocznicy zapewniali, że w przeciwieństwie do formacji Kaczyńskiego, oni „wierzą mocno w państwo zdecentralizowane, działające jak najbliższe obywateli”. Nie obeszło się bez finansowych obietnic, na razie bez pokrycia: zwiększenia udziału samorządów w dochodach z podatków CIT i PIT.

Z lokalnymi władzami sojusz chętnie zawarłby Władysław Kosiniak-Kamysz, a ludowcy od kilku lat lansują hasło „Rzeczpospolita Samorządowa”. Szeroko ramiona otwiera Lewica, a na zachętę złożyła w Sejmie projekt ustawy zakładający, że aż 70 proc. wpływów z podatku dochodowego od osób fizycznych trafiałoby do lokalnej kasy. Tusk ma zatem potężną konkurencję do serca Polski powiatowej, a i PiS nie zasypia gruszek w popiele: w teren ruszył Jarosław Kaczyński i jego parlamentarzyści, reklamując rozwiązania Polskiego Ładu (choć dla samorządów są to akurat wieści hiobowe).

Jest też grupa samorządowców, która z chwilą powrotu do polityki krajowej byłego premiera wcale nie zaprzestała marszu ku Warszawie. – Platforma sama tej walki nie wygra – przekonuje Jacek Karnowski, pomysłodawca Samorządów dla Polski. – Samorządowcy muszą ją wesprzeć, jak i inne partie opozycyjne. Jesteśmy poważną siłą, mającą duże poparcie swoich mieszkańców, z problemami których jesteśmy na co dzień. Siłą, która nie chce się zgubić, za to ma wolę współdziałania z opozycją.

Plan, który kreśli prezydent Sopotu, jest następujący: pierwszym krokiem byłoby stworzenie wspólnych, opozycyjno-samorządowych list na wybory do sejmików, co wedle rachub pozwoliłoby

odbić część województw słabnącemu PiS-owi. W wyborach parlamentarnych, które zresztą odbędą się w tym samym roku, co samorządowe, i też na jesieni, samorządowcy również mają wystartować. To akurat nic nowego. Już w tej kadencji niemal co siódmy wybrany poseł był wcześniej samorządowcem: radnym, starostą, wiceprezydentem. Zaś do Senatu dostali się m.in. prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz czy wspomniany już, czterokrotnie wybierany na prezydenta Nowej Soli Wadim Tyszkiewicz. Samorządowy rodowód ma bezpośredniego sześcioro senatorów, a większość z nich w przeszłości brała mniejszy lub większy udział w sprawowaniu lokalnej władzy.

Samorządowcy nie będą statystami

Jeśli samorządowcy zechcą jeszcze szerszą ławą kroczyć na Wiejską, to według prof. Flisa oznacza to poważne kłopoty już na poziomie układania list wyborczych. – Popularny burmistrz miasta powiatowego jest największym zagrożeniem dla powiatowego posła z tej samej partii czy koalicji, bo ma duże szanse zebrać od niego więcej głosów i tym samym wydrzeć mu mandat – uważa znany z łamów „TP” badacz i ekspert.

Dodatkowo Jacek Karnowski mówi o konieczności stworzenia jednej listy opozycyjnej. Bitwa o miejsca na liście szykuje się zatem sroga. „Podstawą są partie – przekonywał ostatnio Tomasz Siemoniak, wiceszef PO. – To partie startują w wyborach, są w parlamencie, tworzą rządy. Jeśli partie budują sobie jakieś zaplecza, to tym lepiej”.

Samorządowcy nie planują własnej partii, ale nie chcą być wyłącznie „zapleczem”, które napędzi partyjnym kandydatom głosów. W 2019 r. wsparli porozumienie opozycji w wyborach do Senatu, rok później mocno zaangażowali się w kampanię Rafała Trzaskowskiego, tej wiosny można ich było zobaczyć w Rzeszowie. Wielomiesięczna słabość opozycji, niedająca nadziei na zmianę władzy, była ich momentem formacyjnym, próżnią, w którą weszli. Raczej nie cofną się już na dawne pozycje. I niewykluczone, że za dwa lata będą chcieli grać może nie pierwsze, ale przynajmniej drugie skrzypce.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia TOK FM.

Hierarchie cierpienia

MARIA LIBURA, EKSPERTKA DO SPRAW SYSTEMÓW ZDROWOTNYCH:

Psychiatria nie budzi sympatii społecznej, dlatego przegrywa w rywalizacji o krótką kołdrę budżetową.

ANNA KIEDRZYNEK: Kogo należy winić za stan polskiej psychiatrii?

MARIA LIBURA: Jeśli pyta pani o odpowiedzialność polityków, to każda ekipa, która zwleka ze zmianami, bierze na siebie ciężar tej winy. Doszliśmy już do punktu, który bez przesady można nazwać zapaścią. Jest to jednak „cicha katastrofa”, bo zainteresowanie opinii publicznej pozostaje relatywnie niskie, mimo dramatycznych doniesień w mediach.

Na Kongresie Zdrowia Psychicznego mówiła Pani o specyficznej pozycji zaburzeń psychicznych w rankingu „prestżu cierpienia”. Co to oznacza?

W latach 40. w socjologii medycyny pojawiła się koncepcja chorób mniej i bardziej prestiżowych. Możemy udawać, że takie zjawisko nie istnieje, bo przecież z założenia wszyscy chorzy są równi, ale w praktyce istnieją nieformalne hierarchie, które mają wyraźny wpływ na to, w jaki sposób finansowane są poszczególne dziedziny systemów ochrony zdrowia. Dlaczego tak jest – próbowali odpowiedzieć m.in. badacze norwescy. Z ich ustaleń wynika, że o prestiżu danej dziedziny – a w konsekwencji także o poziomie jej finansowania – decydują czynniki takie jak: płeć pacjentów, prestiż naukowy związany z wyborem danej specjalizacji czy też postrzeganie danej choroby jako „zawinionej” (lub nie) przez pacjenta. Dobrym przykładem gałęzi medycyny o wysokim prestiżu jest kardiologia, która nawet w Polsce nieźle funkcjonuje. Bo kto najczęściej choruje na serce?

Mężczyźni w sile wieku.

Choroby mężczyzn cieszą się generalnie większym prestiżem niż schorzenia kobiet, a w przypadku chorób kardiologicznych istotne jest to, że dotyczą one również przedstawicieli elit w szczytu kariery – grupy zdolnej skutecznie wywierać naciski na tych, którzy rozdzie-

lają środki w ochronie zdrowia. Do tego choroby serca są postrzegane przez społeczeństwo jako warte leczenia, bo spotykają ciężko pracujących ludzi, których serce „nie wytrzymało”. Konstruuje to z postrzeganiem zaburzeń zdrowia psychicznego.

Co spycha pacjentów psychiatrycznych na dół tej hierarchii?

Podstawowy problem to ich stygmatyzacja, wynikająca z zawilej i trudnej historii psychiatrii. Stereotypy są tak silne, że utrudniają pacjentom głośne domaganie się swoich praw. Przykładowo, wstyd odczuwany przez chorych powstrzymuje ich przed zakładaniem organizacji pacjenckich. Do tego dochodzi kwestia uwarunkowań społeczno-ekonomicznych. Mniejsza siła przebicia tych pacjentów wynika także z braku zasobów społecznych i kulturowych – raport unijny „Mental Health at a Glance” sprzed trzech lat zwraca uwagę na to, że w krajach Unii osoby o najniższych dochodach skarżą się na chroniczną depresję ponad dwukrotnie częściej niż osoby zarabiające najwięcej.

Im słabszy pacjent, tym mniejsze ma szanse na przebicie się do decydentów. A to z kolei osłabia jego pozycję jeszcze bardziej. To błędne koło.

Właśnie dlatego tak potrzebna jest aktywna polityka publiczna zwalczająca nierówności w zdrowiu. Ze stygmatyzacją można sobie poradzić. Znamy przecież przypadki chorób, które z czasem awansowały w tym nieformalnym rankingu. Dobrym przykładem jest AIDS, które pomimo bardzo silnej stygmatyzacji ostatecznie doczekało się zainteresowania polityków oraz ogromnych nakładów na badania i leczenie. Dlaczego? Bo wśród pacjentów znalazły się osoby o wysokim statusie społecznym, między



innymi artyści z pierwszych stron gazet. Z kolei z naukowego punktu widzenia było to interesujące wyzwanie.

Kolejny przykład to nowotwory. Dziś już pacjenci onkologiczni są w zupełnie innej sytuacji niż jeszcze 30 lat temu, kiedy dominowało potoczne przekonanie, że diagnoza choroby nowotworowej oznacza śmierć. Zawdzięczamy to nie tylko ogromnym postępom w medycynie, ale też ruchom pacjentów. Szczególnym tabu objęte były np. nowotwory narządów płciowych, a w przypadku kobiet także rak piersi, dotyczący kulturowego „atrybutu kobiecości”. Pokonanie wstydu związanego z mastektomią dokonało się w dużej mierze dzięki emancypacji pacjentek, gotowych te stereotypy zakwestionować.

Jeśli chodzi o zaburzenia psychiczne, to na awans w rankingu cierpienia może chyba liczyć tylko depresja. Dziś już nikt nie śmiałby się z wyznania Marii Peszek o chorowaniu na dalekich zagranicznych wakacjach w hamaku.

Depresja stała się chorobą osób wykształconych z dużych miast, zaczęto ją też kojarzyć z przepracowaniem. To wszystko sprawia, że powoli znika przekonanie o „winie” pacjenta. Przebiło się przekonanie, że depresja nie jest lenistwem, a jej przyczyny są skomplikowane. Inaczej też podchodzimy do emocji, jakich doświadczamy w obliczu trudności w życiu osobistym – model „zagry-



KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI / FORUM

Pikieta pod Ministerstwem Zdrowia w imię solidarności z osobami doświadczającymi kryzysu psychicznego. Warszawa, 21 czerwca 2021 r.

Przecież to się nie opłaca. Trzeba ścinać koszty, optymalizować, oszczędzać.

Czy na pewno się nie opłaca? Wedle różnych wyliczeń koszty pośrednie zaburzeń zdrowia psychicznego w Polsce liczone są w miliardach złotych. To są renty przyznawane osobom, które nie są w stanie wrócić do pracy po hospitalizacji; koszty zwolnień lekarskich, nie tylko zresztą osób chorych, ale też ich bliskich, którzy wypalają się jako opiekunowie; to są ekonomiczne i społeczne koszty samobójstw, bo przecież każda taka tragiczna śmierć pośrednio lub bezpośrednio dotyka osób z otoczenia samobójcy. Dodajmy koszty wynikające z uzależnień od alkoholu i innych substancji psychoaktywnych. Gdyby opieka psychiatry i terapeuty była dostępna dla pacjentów także z mniejszych miejscowości, ludzie nie wypadaliby z obiegu zawodowego i rodzinnego. Cieszyliby się wyższą jakością życia, a z ekonomicznego punktu widzenia: dalej pracowali, konsumowali, generowali PKB. Trzymanie się kurczowo starego systemu powoduje wyciekanie z budżetu ogromnych sum.

Skoro to takie oczywiste, to dlaczego resort zdrowia wciąż zwleka z reformą?

Reformy zawsze oznaczają ryzyko polityczne. A w przypadku zaniedbanych dziedzin, takich jak psychiatria, na przeszkodzie stoi też powszechne niezrozumienie tego, że nierówności w ochronie zdrowia szkodzą nie tylko najsłabszym. W obszarze zdrowia solidarność opłaca się znakomitej większości ludzi, także tym zamożniejszym. Chociażby dlatego, że systemy zapewniające równy dostęp do ochrony zdrowia ograniczają zjawisko inflacji kosztów medycznych. Im więcej nierówności, tym jest drożej – co pokazuje choćby przykład USA, gdzie poszczególne usługi medyczne kosztują średnio więcej niż w Europie. W Polsce prawie w ogóle się o tym nie mówi. Zamiast tego od czasu transformacji utrzymuje się moda na swoisty darwinizm społeczny.

To może być jedna z głównych przyczyn. A inne?

Przekształcenie modelu opartego na szpitalach w model opieki środowiskowej będzie ogromnym wyzwaniem organizacyjnym. Pilotaż jedynie sygnalizuje skalę tego wyzwania, bo na razie zdecydowana większość Centrów Zdrowia Psychicznego jest prowadzona przez pasjonatów, ludzi oddanych swojej misji. Upowszechnienie tego modelu będzie wymagało nie tylko odpowiednich środków, ale także współpracy międzysektorowej – a to w polskich warunkach jest szczególnie trudne. System usług publicznych jest zbudowany tak, że zniechęca do współpracy różne jego podmioty. Dr Michał Zabdyr-Jamróż nazywa to „strukturalnym egoizmem”. Tymczasem reforma psychiatrii nie może się powieść bez zaangażowania jednostek podległych resortowi oświaty (w przypadku psychiatrii dzieci i młodzieży) oraz placówek pomocy społecznej.

Czyli psychiatria nie poradzi sobie sama.

Jest to mało prawdopodobne. Jeżeli np. dziecko przeżywa problemy w środowisku szkolnym, to bez ich rozwiązania wysiłki terapeutów są skazane na ograniczoną skuteczność. Potrzebne są systemowe zachęty do współpracy i jasny sygnał ze strony rządzących, że celem tej reformy nie jest – ukochana w Polsce – optymalizacja rozumiana jako cięcie kosztów, tylko rzeczywista zmiana zasad funkcjonowania systemu. Inaczej znowu pojawi się podejrzenie, że chodzi tylko o to, żeby na czymś zaoszczędzić, pojawiają się konflikty kompetencyjne czy konkurowanie o lekarzy, terapeutów i środki finansowe. Jeśli na tym się skończy, to cały dotychczasowy wysiłek włożony w pilotaż pójdzie na marne. A przecież na tym etapie jest już jasne, że dobrze zaprojektowana opieka środowiskowa działa.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK



ARCHIWUM PRYWATNE

MARIA LIBURA jest kierowniczką Zakładu Dydaktyki i Symulacji Medycznej Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie,

wiceprezeską Polskiego Towarzystwa Komunikacji Medycznej. Ekspertka Klubu Jagiellońskiego ds. zdrowia.

zania zębów” przestaje obowiązywać. Swoiste „coming outy” osób znanych i rozpoznawalnych, które mówią o swoich kryzysach, też na pewno mają na to wpływ. Powolutku kruszeje też tabu wokół choroby afektywnej dwubiegunowej, choć tu, podobnie jak w przypadku schizofrenii, jest wiele do zrobienia.

„Walka o reformę psychiatrii nie jest walką o samą psychiatrię, ale o przywrócenie elementarnych zasad sprawiedliwości w systemie ochrony zdrowia” – mówiła Pani na kongresie. Co to oznacza?

Wizja, która przyświecała tworzonemu po wojnie systemom ochrony zdrowia w Europie, zawierała dążenie do ich powszechności i eliminacji wykluczenia. Realizacja tego ideału wymaga jednak aktywnej polityki władz publicznych. W Polsce, gdzie nakłady na zdrowie pozostają na niskim poziomie, dominuje model reaktywny, a psychiatria jest niejako jego ofiarą. Przegrywa rywalizację o krótką koldrę. Dlatego gdyby rząd Zjednoczonej Prawicy poszedł za ciosem i przekształcił pilotaż Centrów Zdrowia Psychicznego w całościową reformę systemu opieki, byłby to swoisty powrót do korzeni, czyli takiej organizacji opieki zdrowotnej, która obejmuje wszystkich w potrzebie. O to walczyły pierwsze organizacje pacjentów od początku XX wieku i to pomimo upływu czasu pozostaje najważniejszym zadaniem polityki zdrowotnej.



JACEK TARAN

Helena Suchan, aktorka Integracyjnego Teatru Aktora Niewidomego, na balkonie swojego mieszkania. Kraków, 25 maja 2021 r.

Jakby pan na mnie patrzył

MARCIN CHODUŃ

Przed każdym przedstawieniem jest próba sytuacyjna – z której strony wejście na scenę, z której zejście.

Aktorzy niedowidzący obchodzą scenę z aktorami niewidomymi: tu jest widownia, tu schodzimy po schodach.

ZA MOMENT BĘDZIE KAWA! – HELENA Zwita mnie w progu, po czym sprężystym krokiem podchodzi do kuchni. Śmieje się głośno, zaraźliwie. Od tego jej śmiechu pokój jaśnieje. Kwiaty pod oknem, przy ścianie półki na książki, sofa, dwa fotele, stół – całe mieszkanie w bloku na jednym z krakowskich osiedli lśni czystością.

Co w tym dziwnego? Otóż dużo. Dla Heleny Suchan taki porządek to wyzwanie: od wielu lat bowiem, obojętnie, dzień czy noc, jedyne co widzi, to czarna dziura.

Zrobić aktora

O chorobie Helena jednak nie chciałaby dziś mówić. Chętnie za to opowie o teatrze. To teraz całe jej życie, tłumaczy. Gdy przeszła na emeryturę, trafiła do za-

łożonej przez aktora Artura Dziurmana Sceny Moliera, na ulicę Szewską w Krakowie. A potem, gdy ze Sceny Moliera powstał Integracyjny Teatr Aktora Niewidomego (w skrócie ITAN), który znalazł siedzibę przy kościele św. Stanisława Kostki na krakowskich Dębnikach, Helena została jedną z jego głównych aktorek.

Dębники miały być tylko na pewien czas. Raczej krótszy niż dłuższy. Jak to jednak często bywa, życie napisało własny scenariusz. – I tak jesteśmy już tu tymczasowo... od ośmiu lat – śmieje się Artur Dziurman, pokazując dwa skromne pomieszczenia w kościelnej piwnicy.

Wszyscy, których tam spotykam, czyli Danuta Damek (jednocześnie aktorka z dysfunkcją narządu wzroku i osoba koordynująca działania teatru) oraz ak-

torzy (wszyscy niedowidzący): Adam Łysek, Ela Sielawa i Janusz Bąk – są zgodni: tylko pozytywnie zakręcony wariat jak Artur mógł zrobić coś takiego. Któż inny spośród znanych polskich aktorów (był przez wiele lat aktorem krakowskiego Teatru Bagatela i Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej, grał też w licznych filmach) chciałby robić teatr ze ślepych? Komu by się chciało?

Wszystko zaczęło się w 2005 r. Pomysł teatru niewidomego aktora pojawił się w głowie Artura, jak mówi, znienacka, w dziwny sposób. – Zaczęły się wtedy unijne granty i przyszła do mnie kobieta: „Napiszę grant, a pan zrobi przedstawienie”. Ja na to: „To pani pisze!”. „Dobrze, ale jest taki wymóg, że to muszą być aktorzy niewidomi”. „Znajdę niewidomych i zrobię z nich aktorów!”.

Znalazł. Jednak nie tylko osoby całkowicie niewidome – także w znacznym stopniu niedowidzące (tak jest zresztą w teatrze ITAN do dzisiaj – obecnie na 24 aktorów w podstawowym składzie, w tym trzech aktorów zawodowych, zupełnie niewidzących jest czterech).

Wkrótce powstało pierwsze przedstawienie: „Dzikie łabędzie” według Hansa Christiana Andersena, wystawiane głównie w szkołach. Potem dla dzieci był „Koziołek Matołek”, a dla dorosłych „Brat naszego Boga”.

Po zmianie siedziby (przy Szewskiej były problemy lokalowe) i nazwy na ITAN teatr wystawił dziewięć dużych przedstawień (w szkołach, domach kultury, teatrach, np. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie) i zrealizował dwa filmy oraz trzynastoodcinkowy, emitowany w TVP, serial „Pasjonaci” (każdy odcinek opowiada historię i codzienność jednego z aktorów). Spektakl „Legenda Starszych Panów” znalazł się w pierwszej dziesiątce najlepszych krakowskich przedstawień w 2018 r. A „Brat naszego Boga” zajął w 2010 r. drugie miejsce na festiwalu teatrów aktora niewidomego w Zagrzebiu.

Wyważanie drzwi

Wraz z aktorami teatru ITAN grają zawodowi aktorzy, m.in. Jacek Fedorowicz, Aldona Jankowska, Marek Litewka, Anna Korcz, Tadeusz Huk, Dorota Pomykała, Bohdan Łazuka, Andrzej Beja-Zaborski, Maciej Jackowski, Marcin Kobierski i Beata Paluch-Zarycka.

Artur: – Takiego teatru społecznego, integracyjnego, w którym ludzie niewidomi i słabowidzący grają z zawodowymi aktorami teatralnymi i telewizyjnymi z pierwszych stron gazet, po prostu w Polsce nie ma. Naszym aktorom mówiłem to od samego początku: robimy coś nowego, wyważamy drzwi.

Danusia: – Jesteśmy też prekurSORami w tym, że nasze spektakle są multimedialne – zawierają sekwencje filmowe, które są połączone z żywą akcją na scenie. Zamiast scenografii też mamy ekran, bo to nas nie ogranicza – i to też był pomysł Artura.

Artur: – Przed każdym przedstawieniem robimy przez kilka dni sekwencje filmowe, potem je montujemy, tak jak kino albo teatr telewizji, i wplatamy w całość.

Forma prawna? ITAN to fundacja. – A biuro fundacji mieści się w laptopie Danki – śmieje się Artur.

Źródła finansowania? Głównie granty – m.in. z PFRON-u, Urzędu Marszałkowskiego, Ministerstwa Pracy, Ministerstwa Kultury i innych instytucji. Działalność teatru wspierają też prywatni darczyńcy.

Zespół ma od lat dwa te same marzenia – żeby ITAN stał się pewnego dnia instytucją kultury (wtedy otrzymywałaby stałe finansowanie z budżetu miasta albo województwa i nie byłoby już zdani

na granty) i żeby miał siedzibę z prawdziwego zdarzenia.

Drugie z tych marzeń ma szansę niedługo się ziszczyć: po kilkuletnich staraniach przekonali marszałka województwa, żeby przekazał im budynek na terenie szpitala im. Babińskiego – starą wozownię i stajnię. Mają umowę użyczenia tego obiektu na dziesięć lat. Dyrekcja szpitala dała zgodę na jego rewitalizację.

Niewidzialny magnes

O tym, że Artur szuka osób z dysfunkcją wzroku, 43-letni Adam Łysek dowiedział się w krakowskim Związku Niewidomych. Do pójścia na casting na Szewską namówiła go koleżanka. Przeszli go oboje – koleżanka jednak zrezygnowała, a Adam zagrał w „Dzikich łabędziach”.

Wspomina: – Po dwóch latach zadzwonił telefon: jest nowy projekt. Spektakl „Brat naszego Boga” według Karola Wojtyły. Pomyślałem jednak: „To jest poważna sprawa, nie żadna bajka – czy ja się, kurczę, nadaję?”. Bo zawsze byłem nieśmiały. Poszedłem jednak. I tak jestem do dzisiaj. Który spektakl wspominał najbardziej? Raz występowaliśmy w Teatrze Słowackiego, przy pełnej widowni, która klaskała chyba z dziesięć minut. Nogi mi się tak trzęsły, że masakra.

Na Szewską podobnie trafił też 54-letni Janusz Bąk. Gdy w Związku Niewidomych w Wadowicach dowiedział się o teatrze, pomyślał, że skoro od wielu lat występuje na konkursach recytatorskich, to mogą mu się przydać profesjonalne wskazówki. Poszedł, został przyjęty. Na próby w Krakowie dojeżdża autobusem z rodzinnego Gorzenia Dolnego – wioski nieopodal Wadowic. Do przystanku ma pięć kilometrów – przemierza je, idąc głównie przez las, często w ciemnościach, z latarką w ręku. Pytam go, jak sobie radzi? – Znam drogę jak własną kieszeń. Poza tym idąc przez ten las, powtarzam sobie teksty do spektakli.

A Ela Sielawa? To było, można powiedzieć, zwykłe nieporozumienie, choć ostatecznie może jednak – zrzędnienie losu? Dziewięć lat temu koleżanka, która pracuje w związku niewidomych, powiedziała jej, że jest nabór na warsztaty literackie: „Ty piszesz te swoje limeriki, masz lekkie pióro, to może...”. Poszła. Przed kościołem na Dębniakach widzi Artura Dziurmana. Podchodzi, chce spytać, gdzie te warsztaty literackie. Ar-

tur jednak jest szybszy: „A to pani na casting do sztuki teatralnej?”. I już prowadzi ją do właściwej sali w kościelnych podziemiach. – Byłam tak zaskoczona, że nawet słowem nie wspomniałam o tych warsztatach literackich. Po prostu głupio się było wycofać.

Najważniejsze przedstawienie? Mówią zgodnie: „Brat naszego Boga”. To ich sztandarowy spektakl: najdłużej i najczęściej grany. Pierwotnie zaplanowane były tylko cztery przedstawienia i na tym miał być koniec. – Ale tak dobrze to poszło – opowiada Adam – że zaczęły nas zapraszać domy kultury z całej Polski i zaczęły się wyjazdy.

Do dziś ITAN wystawił tę sztukę około 150 razy (dokładnej liczby nikt już nie jest w stanie nawet powiedzieć).

Adam: – W 2008 r. byliśmy totalnymi amatorami. Z wykładowcami ze szkoły teatralnej i zawodowymi aktorami ćwiczyliśmy dykcję, uczyliśmy się poruszać na scenie, ustawiać się odpowiednio do światła.

Ela: – Każda próba to ciężka praca, także do spektakli wznawieniowych. Ale to jest ten niewidzialny magnes. Tego nie da się wytłumaczyć słowami. Jak raz staniesz na scenie, to już nie chcesz z niej zejść.

Z fabryki do teatru

– Gdzie ten dyplom? – Helena grzebie w stercie papierów. – Proszę sprawdzić – czy to jest to?

Dyplom ukończenia Szkoły Aktorskiej, którą zorganizowała w 2011 r. Scena Moliera. Czy czuje się aktorką? Zdecydowanie tak. Choć tak naprawdę ona przecież z zupełnie innego świata. Studia na AGH, potem 40 lat pracy w przemyśle. Charakter ma konkretny i na temat. Zawsze pracowała z mężczyznami, więc nie można było owijać w bawełnę. Gdy przeszła na emeryturę, zaczęły się jej problemy ze wzrokiem. Gdy w 2005 r. dołączyła do teatru, była jeszcze osobą widzącą na jedno oko.

– Teraz – mówi – gdy widzę zupełną ciemność, może jest trochę ze mną problemów. Ale kluczowy jest Artur. On nas wszystkich traktuje normalnie. Nie ma uzalania się, że jestem biedna niewidoma.

Danusia: – Artur, jak robi próbę, od wszystkich wymaga dyscypliny i skupienia. Potrafi to wyegzekwować. Czasami na próbach trzeba towarzystwo przekrzykiwać i stawiać do pionu.



BARTŁOMIEJ DĄBEK / MATERIAŁY PRASOWE ITAN

Próba do spektaklu „Promieniowanie ojcostwa”. Kraków, październik 2019 r.

→ Ela: – Nie ma z nami lekko. Jak mieliśmy próby do musicalu „Legenda Starszych Panów”, to ja, osoba zdyscyplinowana, myślałam, że z tych nerwów nie wytrzymam. Już nawet z sali wyszłam. Podczas prób do „Kota w butach” musiałam wskakiwać na scenę przez ławkę. A powtórek na próbie było kilka. Chciałam mieć siłę, mam w końcu 63 lata, żeby na spektaklu też na tę scenę móc wskoczyć. Dlatego powiedziałam, że nie będę tak skakać... No i dostałam reprimendę, po której przestałam już być zmęczona.

Często grają dwie sztuki dziennie – rano bajka, a po południu coś dla dorosłych.

Danusia: – Często jeździmy do małych miejscowości, w których nie ma teatru instytucjonalnego. Wszędzie sobie radzimy i absolutnie nie chcemy epatować niewiedzeniem, żeby żaden widz nie czuł się rozczarowany.

Ela: – Artur, który jest reżyserem i scenarzystą większości spektakli, ma już takie doświadczenie z tą grupą, że wie, jak zrobić, żeby było naturalnie, wie, kto w jakiej roli sobie poradzi. Jeśli chodzi o ruch sceniczny, tak go ustawia, żeby nie było dysproporcji. Żeby ktoś, kto jest zupełnie niewidomy, nie błąkał się po scenie.

Przed każdym przedstawieniem odbywa się próba sytuacyjna: z której strony jest wejście na scenę, z której zejście. Aktorzy niedowidzący obchodzą scenę z aktorami niewidomymi, wskazują: tu idziemy dotąd, tu jest widownia, tu się zatrzymamy, tu schodzimy po schodach. Niektórzy niewidomi liczą kroki.

Nie wszystko jednak da się przewidzieć i zaplanować.

– Czasami ktoś spadnie ze sceny – mówi Artur. – Jeden z aktorów zleciał kiedyś na spektaklu w Zabierzowie.

– Na szczęście spadł na zapleczu – dopowiada Danka, cicho chichocząc. – Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś spadł na widownię.

To państwo naprawdę nie widzą?

– Tak, to ja wtedy spadłem – wita mnie Krzysiek, gdy go odwiedzam w Jaworznie.

Nie widzi od urodzenia. Retinopatia wcześniacza. Zwykły pech: jako wcześniak trafił do inkubatora, gdzie dostawał za dużo tlenu. Na szczęście ma poczucie światła – wie, kiedy jest dzień, a kiedy noc. To pomaga mu w codziennym poruszaniu się.

A jak się porusza na scenie? Jak wszyscy aktorzy niewidomi reaguje odpowiednimi gestami na słowo i na muzykę. A kroki? Owszem, czasami je liczy. Z reguły jednak jak rękami czy nogami dotknienie sceny, to ma już w głowie taką jej topografię, że jest ją sobie w stanie doskonale wyobrazić.

Zanim trafił do teatru, nie chodził nawet z laską. Kiedy zaczynał grać trzynastu lat temu, rodzina go przyprowadzała na próby. Dopiero teatr dał mu kopa, żeby się usamodzielniał. To była najlepsza szkoła życia.

Aktorstwo traktuje jak zawód. Podobnie Renata Szczepaniak-Pajor, która w teatrze Artura jest od samego początku. W dzieciństwie zresztą chciała zostać aktorką. Ale w liceum tak jej się pogorszył wzrok, że musiała porzucić marzenia. Jak stała się niewidoma? Otóż w szkole podstawowej na wycieczce szkolnej ude-

rzyła się w prawą brew i doznała wylewu wewnątrzgałkowego. Prawe oko bardzo osłabło. Żeby zabezpieczyć niejako na przyszłość drugie, zdrowe oko, poddała się operacji wzmocnienia siatkówki. Niestety, udało się zakażenie – gdy Renatę wybudzono z narkozy, już nic na to lewe oko nie widziała. Z prawym, bardzo słabym okiem udało się jej jeszcze skończyć studia muzyczne. Jednak oko słabło nadal. Gdy siedemnastu lat temu urodziła syna, już go nie zobaczyła.

Renata: – Na scenie jesteśmy tak dopracowani, że wzajemnie sobie pomagamy. Chwytałyśmy się za ręce, jak ktoś się przekręci w bok, to inny go przesunie.

Helena: – Ja liczę kroki: ile do przodu, ile do tyłu, ile w bok. Ale podczas spektaklu zawsze musi być ktoś obok, żeby go choć musnąć lub słyszeć blisko. Taki wyznacznik, żebym nie stanęła bokiem albo tyłem do widowni.

Renata: – Jak przyjeżdżamy gdzieś ze spektaklem, to wszystko trzeba migiem przelecieć – nową scenę, nowe schody. I Artur bierze wtedy za ręce: „Renata, dwa, trzy kroki do przodu!”.

Artur: – Staram się pokazać, że nasi aktorzy są zdolni, że mają wycucie słowa, poczucie humoru – że są aktorami po prostu. To, że słabo widzą lub są niewidomi, nie przeszkadza im w sztuce aktorskiej. Ludzie z widowni często podchodzą po spektaklach: „Te osoby naprawdę są niewidome?”.

Krzysiek: – Po jednym ze spektakli podeszła do mnie pewna pani: „Grał pan tak, jakby pan na mnie patrzył”.

Kawa gotowa. Helena jednak opowie, jak to było z jej oczami.

Najpierw straciła wzrok w oku, które już było słabe od lat. Gdy w drugim nastąpiło odklejenie siatkówki, poddała się w 2014 r. kilku operacjom: laser, potem gaz, potem opaska silikonowa po każdym zabiegu – wszystko to trwało rok. Niestety nie udało się. Od tej chwili Helena nie ma nawet poczucia światła.

Załamano się zupełnie, miała myśli samobójcze. Aż pewnego dnia odwiedził ją Artur z Danusią. Przynieśli zebrane dla niej na przedstawieniach pieniądze. Bo ona za te operacje płaćla przecież z własnej kieszeni. Tak ją to wzruszyło, że stanęła na nogi. Przez cały czas czuła wsparcie całego zespołu. Powie nawet, że to było coś więcej niż wsparcie: miłość.

© MARCIN CHODUŃ

DOROTA

Masłowska: Patelnia (I)



MIASTO BEZ CENTRUM WYKSZTAŁCA w lecie tymczasowe, mimowolne centrum w okolicach Pałacu Kultury. Samozwańcze i bezkształtne, emanuje ono magnetyczną aurą, charakterystyczną dla miejsc od dawna skierowanych do remontu, ale niemogących się go nigdy doczekać. Dawne struktury już nie działają, zaś nowe nie mogą się wciąż wyroić – to zawieszenie tworzy optymalne środowisko dla ludzi, spraw i rzeczy zbyt dziwnych, by mogły ucieleścić się gdzie indziej. Atmosfera jest egalitarna i nieporządkana; tętni nieprzerwanie bałaganem i inercją. Nie ma tu selekcji, *dress code'u* ani godzin otwarcia. To przepływ, rzeka. Od rana do wieczora płyną ludzie. Czasem ledwie ciurkają, w innych znów porach – walą w gromkich falach, wezbraniach, powodziach. Jest tu zarazem przyjemnie i nieprzyjemnie, a przede wszystkim nieprzewidywalnie. Zaułki, zakamarki, bujna tegoroczna roślinność, wezbrane kwiatami łączki sprzyjają outdoorowym drzemkom, pieszczotom, pobiciom i defekacjom. Swobodną atmosferę potęgują dyskobolki i kariatydy, same rozgogolone, nieme i obłądnie silne. Mogłyby interweniować, ale cały czas muszą trzymać rękami Pałac.

Można tu zanurzyć się w rzadką obecnie jakość „wszyscy”. Błądzą tu turyści, przejezdni, gromadzą się pracownicy Pyszne.pl; stacjonują maolaty w kosmicznych stylizacjach i błędni załoganci z twarzami jak obite jabłka. Różni outcaści, fanatycy polityczni, zawsze też jacyś kombinatorzy, aferzyści, jednostki szukające zwady, wściekłości i wrzasku. Różni błędni obrońcy życia. Tu jednak nie trzeba go specjalnie bronić. Życie tu żyje z rozpędu albo przeciwnie – z bezwładu. Krąży między dworcem, metrem a centrum, zbierając się w dziwnej, niewydarzonej nieccie Patelni i tworząc tam zawieszistą sadzawkę.

Antycypacja remontu, który może zamienić to miejsce w elegancką pustynię, jeszcze chyba tylko wzmacnia jej istnienie, nasycia je szczególną zacieklnością. Choć wzmoczenie jest naturalnym stanem Patelni. Muzyka jest tu zawsze zbyt fałszywa i głośna, a zapach też nie bierze jeńców. Miazmaty z przejścia podziemnego łączą nutę kadzidla ze spalonym serem kanapek Oscar w niepowtarzalny, mdlący fetorek. Jest to kompletne nemezis pobliskich Złotych Tarasów. To Złote Chaoty, choć złote są tu przeważnie tylko dwa albo trzy, o które nagabuje ktoś na każdym kroku. Miejsce wszelkich ustawek, randek tinderowców i zamieszek obyczajowych; bójek i agitacji politycznych. Salon sprzedaży niedrogich sukien, ścieriek i szali jedwabnych, rejon działania karteli drożdżówkowych i nielegalny handel ośmiornicami pluszowymi na

baterie. Trudno powiedzieć, co to za organ Warszawy. Na pewno jakiś kluczowy; świadczy o tym niesamowite pulsowanie, tętnienie, bezustanne przelewanie się strumieni ludzi we wszystkie strony! Wydaje się, że jest to kilka rzeczy naraz: pokątne serce, nerki i kloaka.

Panuje tu smutek, wściekłość, wolność i szaleństwo. Akurat wyszło słońce. Jest dopiero koło piątej, więc tutejsi załoganci – prawowici obywatele Patelni, trochę obsługa, a trochę jej zespół aktorski, wstępnie się zbierają, chodzą, naradzają lub po prostu się patrzą. Wyróżniają ich w tłumie ogorzałe twarze, niekorzystne stylizacje, różne kontuzje, utyknięcia, asymetrie kończyn, ale też niespieszne tempo poruszania się. Stacjonarność. Ponieważ tak niewiele mają, bardzo szybko wchodzą w posiadanie czegokolwiek prostą metodą patrzenia. Tyle rzeczy można objąć własnością tylko poprzez ich zauważenie. Wszystko, co znieruchomije na chwilę, każdy, kto na chwilę przystanie, już zaraz znajduje właścicieli, dzierżawców, stróżów, petentów... Tak wiele tu jest o gapieniu się – o wyglądaniu i byciu oglądanym. Myślę tu o żebrakach prezentujących przechodniom kolekcje swych chorób i ran. Ale i młodych, co zwęszywszy panującą tu aurę oglądarki, przychodzą zaprezentować się w swoich najśmielszych stylizacjach, spowici w sieci rybackie i folie bąbelkowe, podczas gdy z tęczy włosów wystają im uszy i rogi. O dziewczynach, co wystają tu w parach. Mają pieczołowicie zatuszowane niedoskonałości i wytuszowane rzęsy; przyszły tu dziś wyglądać drogo, jednak przez to właśnie staranie wyglądają niedrogo. W kłębach i-coosowych dymów spod ciężkich rzęs cały czas monitorują sytuację. Wyczekują. Niepoderwane na czas przez nikogo gasną i flaczeją, a wreszcie zaczynają działać sobie na nerwy, obwiniać jedna drugą, znacząco unosić brwi i rozchodzą się na zawsze skłócone.

Tyle tu mgnień, tyle historii, nie sposób nadążyć. Gęsta tkanka mikrozdążeń cały czas plecie się i pruje, cały czas coś w niej przepada. Naprzeciw wejść do metra już szykuje się do występu jakiś dziadek. W kraciastej torbie na kółkach przywiozł charczący głośnik, w ręce ma mikrofon z efektem „sprzed lat”. Sprawia on, że jego głos zdaje się dobiegać zza wielu warstw czasu i przestrzeni, słaby i odrealniony. Również repertuarem, który odtwarza, posiłkując się zeszytem w kratkę, przywołuje kwiaty z tamtych lat. Białe róże i czerwone maki spod Monte Cassino. Asystuje mu z ociąganiem młoda, rozgoryczona, stojąca w asekuracyjnej odległości dziewczyna, chyba wnuczka. Gdy piosenka dobiega końca, podchodzi i smartfonem zmienia podkład, po czym usuwa się w cień z wyniosłością hostessy i, mocno patrząc w ekran, czeka na koniec piosenki. Tak młoda, ale już tak smutna smutkiem bankrutującego impresaria, menedżera kompletnie nieopłacalnego kabaretu. Bo występ jest zbyt skromny nawet na pośmiewisko, hit internetu. Wszędzie przechadzają się lekko policjanci-eleganci w swoich wytwornych furazerkach. Ci stróżowie porządku w tym epicentrum nieporządku są jak zablakani aktorzy z jakiejś innej sztuki i zdają się o tym wiedzieć, nadrabiać miną i godnością. ©

TATERNICE

ANNA KRÓL, PISARKA:

Chciałam powspinać się tam, gdzie one.
Żeby wzniecić płomień w opowieści – pomyślałam – wystarczy dotknąć skały tam,
gdzie one jej dotykały. Nie interesowało mnie pisanie czystych biografii.

BARTEK DOBROCH: W 1565 r. kobieta, księżna Beata Łaska, była pierwszym turystą w Tatrach.

ANNA KRÓL: W cytowaniach z ksiąg miejskich Kieżmarku, jednego z nielicznych opisujących to źródła, nie pojawia się informacja, czy była w Tatrach sama, czy z mężem Olbrachtem Łaskim. Według jednej legendy byli razem, bo on nigdy nie zgodziłby się, by pojechała tam sama. Wedle innej wyprawiła się sama, za co została uwięziona przez Olbrachta na wiele lat. Ona ma w swoim życiorysie momenty, w których podejmowała, jak na swoje czasy i jak na kobietę, odważne decyzje dotyczące życia własnego i córki. Oczywiście wyprawa nie była samodzielna, lecz w otoczeniu całego dworu.

Nie pociągnęła jednak w Tatry innych kobiet. Przez kolejne trzy stulecia bywali w nich prawie sami mężczyźni: myśliwi, poszukiwacze skarbów, górnicy, pierwsi naukowcy i podróżnicy, jak Baltazar Hacquet, Robert Townson i Stanisław Staszic.

Poza Staszicem i podróżnikami wszyscy pozostali pojawiali się tam ze względu na wykonywaną pracę i korzystali z Tatr tak, jak się korzysta z wody, mieszkając nad morzem. Dopiero gdy w XIX w. nastąpiły istotne zmiany społeczne i kulturowe, ludzie zaczęli podróżować z powodu fanaberii zwanej turystyką. Tatry jako obiekt przyrodniczy były też nowym łądem, a odkrywcami nowych łądów zwyczajowo bywali mężczyźni. Literatura naukowa czy teksty literackie operują takimi sformułowaniami jak „zdobyć”, „stłamsić”, „zgwałcić”. To określenia z języka patriarchalnego, próba zapanowania nad światem, zawłaszczania go. Ale jak w każdej dziedzinie, tak i tu zdarzają się odstępstwa od normy: kobiety-odkrywcze, podróżniczki.

Także w górach, jak choćby Fanny Bullock Workman, która eksplorowała Karakorum już pod koniec XIX wieku, Henriette d'Angeville, która w 1838 r. weszła na Mont Blanc, i Lucy Walker, zdobywczyni Matterhornu w 1871 r. O kilka dekad wyprzedziły one kobiece zdobywanie Tatr.

Kobiety nie są jednak szczególnie spóźnione w roli odkrywców Tatr, bo te góry dość późno uznano za teren wart eksplorowania. Przed XIX w. dzieje się w nich niewiele. Polacy późno zainteresowali się Tatrami. W XIX stuleciu przewijało się przez nie międzynarodowe towarzystwo węgiersko-czesko-polskie.

A także Anglicy, jak John Ball, i Niemcy, jak Johann Still czy później Günter Dyhrenfurth, którego żona, Hettie, jedna z pierwszych himalaistek, w Tatrach jednak w ogóle się nie pojawia.

Chociaż była wrocławianką. Być może paradoksalnie bliżej było jej w Alpy i to były jej pierwsze góry. Nie trafiłam w ogóle na informację, żeby wspięła się w Tatrach.

Wspięły się w nich inne kobiety z zagranicy, jak Katherine Bröske czy Ruth Hale, która zginęła na Cubrynie. Nie chciałaś umiędzynarodowić swojego grona tatarniczek?

Opisane życiorysy wybierałam nie ze względu na przynależność narodową, ale na to, jak bardzo zainteresował mnie konkretny życiorys. Zdecydowałam się na przytoczenie biografii, które nie kończyły się na stwierdzeniu, że ta czy tamta dziewczyna zdobyła Żabięgo Konia albo Igłę w Osterwie, tylko takich, które pozwoliły na holistyczne przyjrzenie się bohaterkom i poszukanie odpowiedzi na pytanie, co je ciągnęło w góry. Dotychczasowa wiedza o wielu z nich często ograniczała się do czterech zdań w encyklopedii autorstwa Paryskich. A jednak jeśli coś mnie w danej postaci pociągało, →

ANNA KRÓL jest pisarką i reżyserką. Autorka książek „Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie” oraz „Spotkać Iwaszkiewicza. Nie-biografia”. W 2012 r. stworzyła Fundację „Kultura nie boli”. Jest pomysłodawczynią i dyrektorką międzynarodowego Big Book Festival, kieruje Big Book Cafe – centrum innowacji literackich. Właśnie ukazała się w Znaku jej książka „Kamienny sufit. Opowieść o pierwszych tatarniczkach”.



*Anna Król podczas wspinaczki drogą klasyczną
na południowej ścianie Zamarłej Turni, październik 2019 r.*

→ jakoś udało się do niej dotrzeć. Nie chciałam pisać taterniczego kompendium, co zrobiła Halina Ptakowska-Wyżanowicz w wydanej w 1960 r. książce „Od krynoliny do liny”, uwzględniając towarzystwo międzynarodowe.

We wstępie piszesz o kobietach, które pojawiły się w Tatrach w XIX w., ale jako turystki, jak Maria Steczkowska czy siostra Walerego Eliasza-Radzikowskiego. Kluczem dla zbioru postaci była lina?

Wejście na Świnicę czy Łomnicę trudno dziś uznać za wyczyn. Staralam się, żeby był to portret kobiet, które musiały wykazać się umiejętnościami albo nabytymi, albo intuicyjnie podejmowanymi.

Dlaczego tak wiele z nich uległo zapomnieniu albo wręcz wymazaniu z historii taternictwa?

Przez mężczyzn oczywiście. Podczas rozmów z wieloma osobami, i w Muzeum Tatrzańskim, i w Tatrzańskim Parku Narodowym, i z kilkoma autorami książek o Zakopanem i Tatrach, byłam zaskoczona, że 70 proc. nazwisk, które wymieniam, pozostaje nawet dla nich anonimowe. Podczas pracy archiwistycznej okazało się, że nie znajdę nic na temat tych kobiet, szukając po indeksie nazwisk. Gdy chcesz coś znaleźć o Mariuszu Zaruskim, wpisujesz jako hasło jego nazwisko. Hasła „Jadwiga Roguska-Cybulska” czy „Jadwiga Honowska” prowadzą w zasadzie donikąd. Informacje o kobietach można znaleźć, dopiero czytając o mężczyznach.

Czy to kobiety dały się przyciągnąć Tatrom, czy jednak przyciągali je w nie mężczyźni?

Było tak i tak. W dużej mierze to mężczyźni pokazywali kobietom Tatry. Czy to jednak miałyby umniejszać sukcesy pań? W pierwszym pokoleniu taterniczek, na samym początku XX w., byli to najczęściej ich ojcowie, wujowie, bracia, rzadziej historie miłosne.

One rozkwitały dopiero w górach?

Zofia Radwańska trafiła w Tatry dzięki ojcu, ale została w nich po poznaniu Witolda Henryka Paryskiego. Kolejne pokolenie taterniczek, z Jadwigą Honowską czy Zośką Krótkowską, w Tatry trafiło samo lub z kolegami, ale już na zasadach partnerskich. Często w czasach studenckich, w ramach wyjazdów z AZS-u.

Dlatego pośród Twoich bohaterek tylko trzy – Zofia Radwańska-Paryska i siostry Skotnicówny – są znane, choć też raczej w gronie miłośników Tatr?

Niektórzy kojarzą jeszcze nazwisko Róży Drojeckiej, która była przewodniczką i pracowała długo w Muzeum Tatrzańskim. Ale już Wanda Jeromin czy Irena Pawlewska zostały wydobyte z niebytu.

Przed laty zakochałem się w jednej z Twoich bohaterek. W schronisku zobaczyłem zdjęcie przepięknej kobiety podobnej do Natalie Portman. Później odkryłem jej historię. Była to Jadwiga Honowska.

To, co o niej mówisz, jest przeciwieństwem obiegowej opinii kojarzącej taterniczki z niezbyt ładnymi i dosyć zanie-



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM TATRZAŃSKIEGO

Jadwiga Honowska, ok. 1920 r.

dbanymi kobietami, porównywanymi do mężczyzn. A potem widzisz zdjęcie Honowskiej, w której nawet ja się prawie zakochałam, przepięknej, delikatnej dziewczyny z oczami sarny, w białej bluzeczce z kołnierzykiem. Pewnie byś w życiu nie wpadł, że była świetną taterniczką, a przy tym stuprocentową kobietą, która zmieniała się z podlotka żartującego z kolegami w ich wspinaczkową partnerkę nieoczekującą od nikogo opieki. Obraz tych kobiet jest zaburzony stereotypowym myśleniem.

Chociaż były też taterniczki, które grały tym stereotypem, jak Wanda Herse.

Podziwiam jej odwagę w eksponowaniu wizerunku bardzo odbiegającego od norm. Robiła to na początku XX w. – np. poprzez ścinanie włosów, niezakładanie kobiecych strojów, chodzenie w surducie czy garniturze szytym na miarę, w dodatku z nieschodzącym z twarzy cynicznym uśmieszkiem, jakby mówiącym: „No i co wy na to?”.

Kompletnie innym przykładem jest Helena Dłuska, która była lesbijką, myślę, że do końca życia z tym niepokodzoną, próbującą się odnaleźć w związkach z mężczyznami, uważaną przez rówieśników za nieatrakcyjną, na siłę leczoną i zmienianą przez rodziców, zupełnie nieradzącą sobie ze swoją odmiennością. Skończyła samobójstwem.

Te kobiety były więc bardzo różne. W następnym pokoleniu siostry Skotnicówny szły się wspinać w grupie kolegów, Bronisława Czecha, Wiesława Stanisławskiego, którzy w ogóle nie rozważali, czy to dobrze, że idą w góry z dziewczyną.

Kolegom taternikom też zdarzały się fatalne wypadki – wytrącasz z ręki argumenty mężczyznom oceniającym pionierki taternictwa przez pryzmat ich tragicznych górskich losów.

Bardzo źle sięłożyło, że dwa śmiertelne wypadki Honowskiej i Krókowski oraz Skotnicównien zdarzyły się w nieodległym czasie i stały się bardzo medialne. O śmierci Skotnicównien można zrobić cały album wycinków z gazet warszawskich, krakowskich, lubelskich. „Kurier Warszawski” poświęca jej dwa kolejne numery. Mówiono, że kobiety nie powinny, że są nieostrożne, że młodzież nieodpowiedzialna – to był katalizator licznych dyskusji. Na wiele lat tragedia przysłoniła wszystko, co się zdarzyło pozytywnego w tej dziedzinie.

I weszła w obieg kulturowy – także za sprawą narzeczonego starszej z dziewczyn, Marzeny, Juliana Przybosa. Wyniosła do rangi ponurego symbolu Zamarłą Turnię, już wcześniej otoczoną złą sławą przez śmierci malarza Mieczysława Szczuki czy Stanisława Bronikowskiego – na oczach Rafała Malczewskiego.

Przez śmierć Skotnicównien Zamarła stała się przeklętą górą, nieprzychylną zespołom kobiecym – jak mówiła trwająca przez lata legenda, podniecana świetnymi swoją drogą tekstami Jana Długosza czy Wawrzyńca Żuławskiego. To też specyficzna formacja, jak cała Dolina Pusta, księżycowa, bez życia. Gdy świeci słońce, to ma się tam wrażenie nierzeczywistości, wchodzenia do innego świata. Jak smutek letniego poranka, gdy wychodząc, myślisz, że to tylko moment, którego za chwilę nie będzie. To wszystko działa na wyobraźnię – na moją – choć nigdy nie zajmowałam się nadmiernie duchami i legendami – też podziało, gdy się tam wspinałam 90 lat po Skotnicównach.

Stąd pomysł, by przejść drogami tych kobiet?

Od początku chciałam to zrobić, by się poczuć choć trochę, jak one. Żeby wzniecić płomień w tej opowieści – pomyślałam – wystarczy dotknąć skały tam, gdzie one jej dotykały. To był decydujący argument, żeby tę książkę pisać. Nie interesowało mnie pisanie „czystych” biografii.

W himalaizmie wyszczególnia się pierwsze wejścia kobiece na szczyty. Bardzo trudno znaleźć analogiczne informacje o wejściach taternickich.

Pewnie w większości ich nie znajdziemy. W opowieści Mariusza Zaruskiego o wejściu Wandy Jerominówny na Apostoła II jest dodatkowe tło, że jej na to pozwolili, przepuszczając ją, by weszła tam jako pierwsza. Te dziewczyny traktowane były zatem jak kwiatki, które się ze sobą zabierało. Nawet jeżeli one miały spodnie i często mocniejszą „psychę” niż panowie.

I nawet jeżeli ci panowie byli niekiedy bardzo życzliwi dla kobiet, jak właśnie socjalista Zaruski,

jak Stanisławski czy Jan Alfred Szczepański, choć on opisywał kobiety w sposób...

Szowinistyczny.

Nawet lekko erotyczny, jak tytuł książki „Przygoda ze skałą, dziewczyną i śmiercią”.

Która jest w dużej mierze hołdem złożonym Honowskiej. Miał do niej ewidentną słabość, co widać, gdy opowiada, jak z napięciem obserwuje Honowską wkładającą stopy do plecaka, by je ogrzać.

Na ile ta taternicka emancypacja była związana z emancypacją w innych dziedzinach życia w Polsce?

To było sprzężone, nawet jeśli taterniczki nie do końca zdawały sobie z tego sprawę. Mówimy o czasie, gdy kobiety dopiero uzyskały prawa wyborcze w Polsce. Mniej więcej od 1910 do 1920 roku bardzo wiele się zmienia kulturowo i społecznie. Pierwsza wojna światowa wywróciła do góry nogami patriarchalny ład, bo faceci umierający w okopach zostawili swoje matki, siostry, żony, dziewczyny na pastwę losu i te po raz pierwszy musiały iść do pracy, by się utrzymać. Pojawia się coraz więcej fabryk, nowe zawody. To z kolei wymusza zmianę sposobu noszenia się i zachowywania, obcinanie włosów, skracanie sukienek, bo nie da się w krynolinie pracować przy maszynie.

Strój i jego przemiany są też bardzo ważnym elementem Twoich portretów taterniczek. Choćby Zofii Radwańskiej, która zmienia się z damy w turystkę ubraną w nieodłączną flanelę, chustę i horolezkę.

Po zmianie drugiego nazwiska z Kuleszyny na Paryską staje się jednak bardziej zakopiańska niż paryska. Róża Drojecka, z wyglądu kobieta-motyl, też bardzo pięknie wygląda w stylizacjach z lat 30., a potem pozostaje przy białych koszulach z podwiniętymi rękawami, w których przez lata chodziła w góry. Z kolei Szczepański, opisując Honowską, wspomina jej spodenki gimnastyczne, w których biegła po górach, co miało być niestosowne, nie tylko dlatego, że spodenki były krótkie, ale że obdzierała sobie swoje śliczne kolanka.

Strój wpływał na sprawczość tych kobiet, definiował je, wymuszał pewne zachowania. To bardzo widoczne w pierwszym pokoleniu wspinających się dziewczyn, które niemal co do jednej ubierają się tak samo, czyli w męskie spodnie i buty, kubrak góralski oraz kaszkiety na głowach.

Pierwszymi turystkami były arystokratki, a taterniczkami – córki naukowców, lekarzy, przedstawicielki wybitnych rodów. Na ile początki kobiecej wspinaczki w Tatrach były związane ze statusem społecznym?

W większości przypadków – Wandy Herse, Wandy Jeromin, Heleny Dłuskiej, która była bardzo blisko ze swoją ciotką, Marią Skłodowską. Skotnicówny to córki pisarki i rzeźbiarza, dorastające w poczuciu, że Tatry to jest też sztuka, inspiracja, i mające w sobie – szczególnie Marzena – taki rodzaj melancholii, że w Tatry się idzie podumać, rozwiązać ważne problemy.



„Pierwsze rwące się w głąb gór panie musiały kryć się ze swoją pasją, którą uważano za nieprzyzwoite łamanie obyczajowych tabu” – cytujesz Jana Alfreda Szczepańskiego.

Bo ówczesna kobieta powinna być uległa, piękna, powinna grać na pianinie i szydełkować. Nie powinna się odzywać, kiedy się jej nie pyta. Powinna być przede wszystkim podporą męża, uzupełnieniem jego doskonałości, jeżeli oczywiście jest arystokratką albo mieszczką. Chodzenie w spodniach i pogwizdywanie uważano za zachowanie niegodne kobiety żyjącej w 1910 r. w Polsce.

Legendarny austriacki wspinacz z początku wieku, Paul Preuss, pisał z kolei: „Właśnie na drogach wspinaczkowych ujawnia się wiele cech natury kobiety – tęsknota za tym, by zostać pokonaną, radość z poddania się przemożnej sile, podejmowanie się rzeczy, których ani nie potrafi się dokonać, ani wziąć za nie odpowiedzialności”.

To sprowadzenie kobiety do roli kochanki, żony, ozdoby mężczyzny, nawet przedmiotu seksualnego. W Polsce panowie też prześcigali się w takich sformułowaniach. Z powiedzonek i anegdot dotyczących słabości kobiet znany był Mieczysław Świerż. Ale też Mieczysław Karłowicz, którego bym o to nie posądzała, opowiadał Zaruskiemu po prowadzonych przez siebie wycieczkach z udziałem kobiet, jakie one są straszne, za mało sprawne, jak się zaczynają bać, panikować albo zadają za dużo pytań.

A która z Twoich bohaterek jest Ci najbliższa?

Zwykle myślę o dwóch. O Wandzie Jeromin, której nazwisko jako pierwsze wpisałam na listę taterniczek do opisanie. Do końca najbardziej mi się wymykała. Najtrudniej było dotrzeć do informacji na jej temat i zbliżyć się do niej. Widać, jak bardzo to, co jej się przytrafiało poza Tatrami, ją zmieniało. Tutaj rosła, żyła pełnią życia, robiła rzeczy niesamowite, a potem jakby karłała, coraz bardziej się kurczyła, aż do momentu śmierci w obozie.

A drugą jest Jadwiga Honowska, której zazdroszczę tego, że potrafiła być taka, jak chciała, na zawołanie. Nic nie udawała. Jak chciała być sarenką w gimnastycznych spodenkach, to nie musiała jednocześnie udawać, że jest wielką taternicą, bo po prostu nią była.

Piszesz: „Niektóre lubię bardziej, inne mnie zaskakują, któreś z nich nie rozumiem, a jedną nawet trochę potępiam”. Którą?

Jadwigę Roguską-Cybulską. To też tragiczny, wpleciony w historię życiorys. Próbowалаm zrozumieć, dlaczego ona w październiku 1929 roku pisze nieszczęsny manifest do młodych taterniczek.

Który jest antyfeministyczny.

Odcina się od swoich ideałów, a jednocześnie mówi o sobie, że jest feministką. Zawsze była teoretycznie po stronie kobiet, współorganizowała w Zakopanem Kongres Kobiet Słowiańskich, a nagle pisze antyfeministyczny paszkwil, który zatrzymuje na długi czas wiele dziewczyn, spowalnia proces dojrzewania do kobiecego wspinania.



TATRZAŃSKI PARK NARODOWY / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

„Kamienny sufit” z tytułu Twojej książki brzmi wieloznacznie. A co oznacza dla Ciebie?

Jest tak samo wieloznaczny. To zarówno odniesienie do szklanego sufitu, jako symbolu hamowania dążeń kobiet, i do najtrudniejszych formacji skalnych, które można jednak przejść, jak i symbol pewnego rodzaju barier, ograniczeń, które kobiety noszą w sobie.

Nie tylko narzuconych, ale wdrukowanych gdzieś wewnątrz?

Albo transpokoleniowych, funkcjonujących często poza świadomością. Nawet gdy się nam wydaje, że jesteśmy wyzwolone, otwarte, odważne. One się uzewnętrzniają w tym, jak się



Siostry Skotnicówny (od lewej Lida i Marzena), 1928 r.

zwracamy do innych kobiet, jak myślimy o sobie, na co zwracamy uwagę. W drobnostkach, które są przekazem wewnątrz-kankowym, świadczą o tym, że nie ma świata bez budowanych przez wieki granic pomiędzy płciami, hamowania kobiet w dostępie do wiedzy, pracy, pasji. W sobie też to analizuję.

A u Ciebie najpierw było zainteresowanie tatarniczkami czy tatarnictwem?

Wspinaczką w ogóle, bo wspinam się od lat, ale przez większość czasu była to i jest nadal wspinaczka sportowa.

W przeciwieństwie do której tatarnictwo jest do dziś silnie zmaskulinizowane?

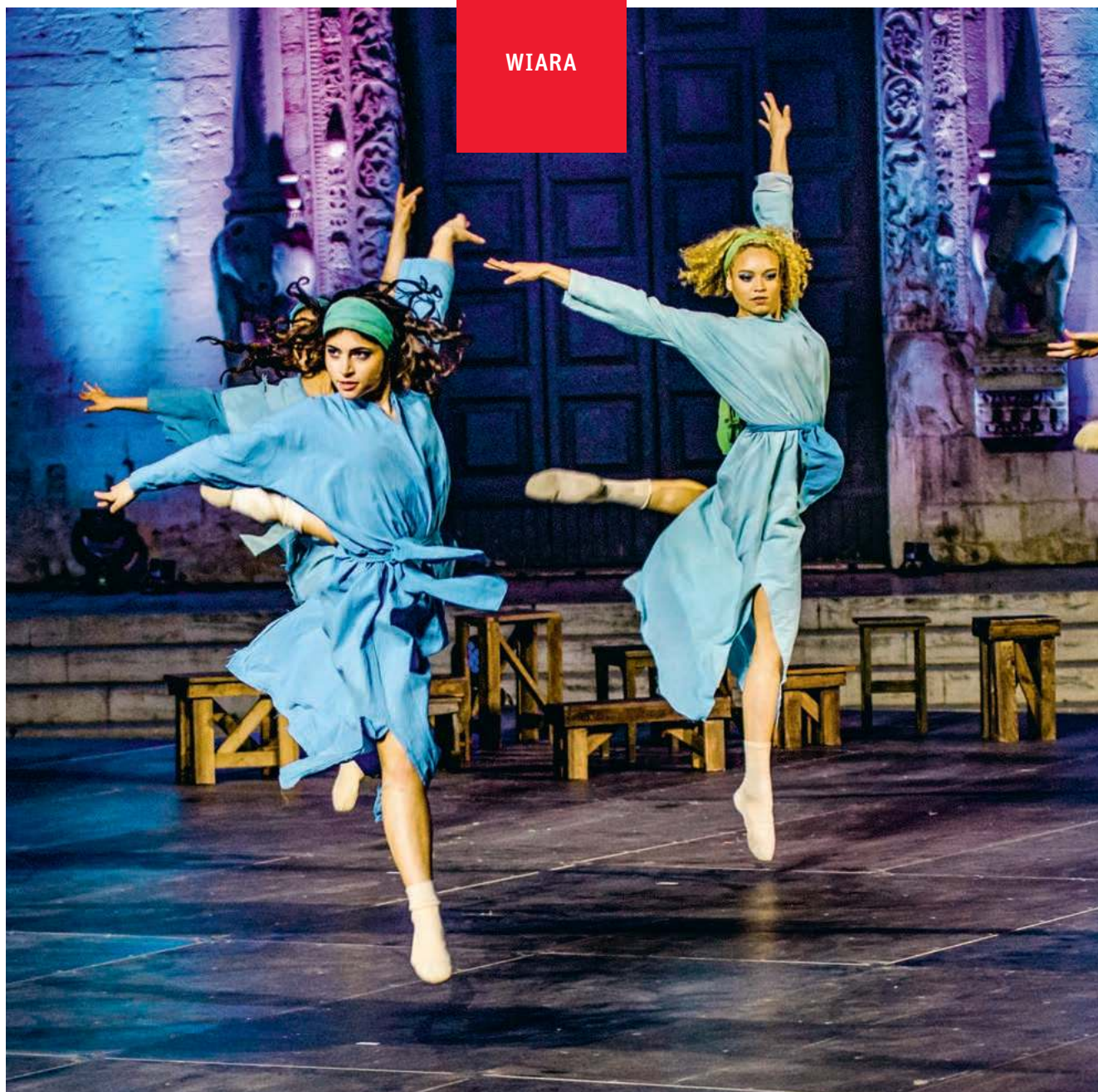
Nie tylko w Polsce tak jest, bo gdy wspaniałam się niedawno granią Stüdl na Grossglockner, wśród pięciu obecnych tam zespołów byłam jedyną dziewczyną.

Co jest tego powodem? Bo w skałkach tej dysproporcji nie widać.

W skałkach jest wręcz odwrotnie. Ale gdy opowiadałam koleżankom, jak wygląda wspinaczka w Tatrach, często pytają: „Po co ty to robisz?”. Może w tej chwili kobiety nie muszą już udowadniać, że coś potrafią, więc Tatry przestały być poligonem, na którym muszą się wykazać. Mają mnóstwo innych obszarów, w których mogą się realizować.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

WIARA



NIEWIASTA NIENIEWIEŚCIA

Świat, w którym słyhać sprzeciw wobec wpisywania kobiet
w ramy męskich fantazji i żądań, to także świat,
w którym możemy na nowo odkryć Maryję.

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ



*Zespół taneczny
Badateca w bazylice
św. Mikołaja
w Bari, Włochy,
7 maja 2021 r.*

DAVIDE PISCHETTOLA / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

STAWIAM DOLARY PRZECIWKO ORZECZOM, że w kazaniach na uroczystość Wniebowzięcia usłyszymy słowo „niewiasta” odmieniane przez wszystkie przypadki i tylko mała część wystąpień będzie egzegezą pierwszego czytania z Apokalipsy i postaci „Niewiasty obleczonej w słońce”. Możliwe, że część kaznodziejów świadomie nawiąże do „cnót niewieścich” – pojęcia, które zrobiło furorę po wypowiedzi Pawła Skrzydlewskiego, doradcy ministra Przemysła Czarnka. Nawet tam, gdzie nawiązania nie pojawią się w słowach z ambony,

będą obecne w głowach wielu słuchaczek i słuchaczy.

Czy postać Maryi może wesprzeć promocję „cnót niewieścich” wśród dziewcząt i kobiet? A może odniesienia do owych cnót – skojarzone z konkretnym obozem politycznym i jego agendą w edukacji – to niedźwiedzia przysługa względem Matki Jezusa? Możliwe, że dla części słuchaczek i słuchaczy „niewiasta” zabrzmiał w tym roku jeszcze bardziej obco i dziwnie niż do tej pory. W ostatnich kilkunastu miesiącach wiele kościelnych słów i gestów zyskało nowe konteksty, tak w wyniku pandemii, jak i ujawniania

coraz większej skali przemocy seksualnej ukrywanej w Kościele, oraz coraz wyraźniejszych głosów wskazujących na nierówność kobiet i mężczyzn w naszym społeczeństwie. Czy 15 sierpnia 2021 roku Niewiasta zyska nowe znaczenia?

Kobieta i jej cnoty

Czy ma sens włączanie w wielkie tematy teologiczne bieżących wydarzeń, słów dwóch urzędników związanych z jednym resortem w nie tak wielkim w skali świata kraju, wypowiedzianych w konkretnym miejscu i czasie? Prawdopodobnie sama jeszcze kilkanaście lat temu powiedziałabym, że nie. Interesowałabym mnie tylko „obiektywna prawda o Maryi” i jeśli już nawiązywałabym do bieżącego kontekstu, to tylko po to, by wykazać, jak nie wolno nam mieszać świętej teologii z przemijającą polityką. Dzisiaj jednak myślę podobnie jak Stephen B. Bevans, jeden z klasyków teologii kontekstualnej, który zmianę optyki w swoim życiu przyrównywał do tego, co spotkało Szawła pod Damaszkiem. Bevans stwierdza: „Uprawiać teologię dzisiaj, w perspektywie globalnej, oznacza, o ironio!, zwracać się ku temu, co lokalne”.

Nasza lokalna perspektywa to nie tylko panowie z ministerstwa edukacji, ale także samo posługiwanie się archaicznym terminem „niewiasta” w odniesieniu do Maryi. Zaczyna się to od przekładów czy to słów Jezusa do Maryi w Kanie (J 2, 4), czy wspomnianej już Apokalipsy (Ap 12). Dlaczego nie „kobieta”? Język liturgiczny ma nie tylko u nas skłonność do przechowywania relikwów językowych. Ten anachronizm jest jednak szczególnie ciekawy. W życiu codziennym ze świecą szukać kogoś, kto uznawałby słowo „kobieta” za wulgarne – jednakże pierwotnie (mniej więcej do czasów Naruszewicza) było ono jednoznacznie pejoratywne. Osoba płci żeńskiej nazwana „kobietą” była sprowadzona do obiektu – służebnego i/lub seksualnego – oczywiście w ustach tych, którzy ją tak nazywali, owo sprowadzenie było nie ich dziełem, ale opisem jej obrzydliwej natury. Z czasem „kobieta” zaczęła być używana także jako nośnik innych cech („nikczemna, plugawa, wszeteczna” – jak podaje za autorami XVI- i XVII-wiecznymi „Etymologiczny słownik języka polskiego” Bańkowskiego). Od jakich słów pochodzi „kobieta” – wolę na łamach szacownego „Tygodnika” nie pisać.



→ Chociaż od XIX w. słowo „kobieta” stało się neutralne, to w mowie kościelnej ciągle unikano go w odniesieniu do Maryi. Była zbyt wyjątkowa, by nazywać ją tak, jak inne osoby płci żeńskiej? Swoją drogą także imię Maryja to wyjątek, jaki ostał się po wielkiej reformie ortograficznej z 1936 r. Wszelkie inne Marie należało od tamtej pory pisać przez „i”.

Słyszac o „cnótach niewieścich”, niezależnie od tego, czy cieszy nas, czy złości pomysł gruntowania ich u uczennic, wyczuwamy, że mowa o czymś innym niż „dzielności kobiece”, choć można by je uznać za synonimiczne.

Mędzy Akatystem a porno

Wiele razy słyszałam, że „niewiasta” to ta, która „nie wie”; tymczasem zarówno protoplasta polskiej etymologii, Brückner, jak i młodszy o kilka pokoleń Bańkowski rekonstruują ten termin jako „nieznana” lub „obca”. Brückner dodaje do tej obcości ważne uwagi: „los jej był bardzo ciężki (prześladowano ją w zawody), póki porodem syna (nie córki!) nie dowiodła, że wstąpiły w nią, poznały i uznały ją duchy przodków nowego ogniska”; wówczas z nieznannej stawała się pełnoprawną członkinią rodziny i wówczas nazywano ją już „snechą”, a nie „niewiastą”.

Bańkowski z kolei, znany ze swoich często bezkompromisowych ocen, w przypadku „niewiasty” zaznacza ostrożnie, że „nie przekonuje do końca żadna z 10 różnych prób objaśnienia”. Idąc drogą Brücknera, dodaje do aspektu bycia nieznaną także aspekt polityki plemiennej; według niego „niewiasta” może również oznaczać „nieradna”, to znaczy bez prawa głosu w radzie rodowej czy wiecu. Niewiasta byłaby zatem w słowiańskiej tradycji tą, która nie ma prawa głosu.

W haśle „niewiasta” wśród źródeł Bańkowski przywołuje dwa teksty kultury. Po pierwsze Akatyst i zawarte w nim główne wezwanie: cerkiewno-słowiańskie „*radujśja, nevěsto nenevěstnaja*”. W polskim tłumaczeniu główne pozdrowienie Maryi brzmi nie: „Niewiasto niewieścia”, ale „Oblubienico dziewicza”, co także wyraża pewien paradoks, ale natychmiast kieruje uwagę na konkretny aspekt maryjnej kobiecości, związany z jej relacją do mężczyzny i seksualności.

Zaraz po Akatyscie Bańkowski przywołuje „Żywoty filozofów” (1535) autorstwa, jak to określa, „pierwszego polskiego pornografa (sensu stricto)” Marcina Biel-

Chociaż od XIX w.
słowo „kobieta” stało się
neutralne, to w mowie
kościelnej ciągle unikano go
w odniesieniu do Maryi.
Była zbyt wyjątkowa?

skiego: „Niewiasta jest męskie zhańbienie, nienasycone zwierzę, ustawiczna praca, ustawiczna wojna, każdego dnia szkoda, dom kłopotu, zarządzanie psoty, młodzieńców zbłąźnienie, bestyja nigdy niestoczona, brzemień nieznoszone, jad niewyleczony, ludzkie zagubienie”. Ta antylitania także wiąże niewiastę z jej relacją do mężczyzny i do seksualności.

To nie incydentalne jedynie zestawienie tekstów: istota żeńska jest uosobieniem cnót albo „męskim zhańbieniem”. W najpoważniejszym i najbardziej poruszającym ze znanych mi stand-upów („Nanette”) podsumowuje to Hannah Gadsby, australijska komedianka, z wykształcenia historyczka sztuki: „Historia sztuki nauczyła mnie, że zawsze istnieją tylko dwa typy kobiet. Dziewica albo dziwka. Dla małej dziewczynki są tylko dwie opcje, kim może być, gdy dorośnie. (...) Gdy pójdziesz do galerii starych obrazów, znajdziesz dziećmi mnóstwo dowodów, że kobiety istnieją od bardzo dawna. Dłużej niż ubrania”. Gadsby opowiada o zachodniej sztuce, w której mężczyźni przedstawiają kobiety jako „zrobione z ciała wazonów” na swoje falliczne kwiaty, i zbiera owację.

Jeżeli osoba płci żeńskiej nie jest Madonną, to co jej pozostaje? I czy nie odnajdując się w tym, jak przez wieki przedstawiali ją mężczyźni, jest w ogóle kobietą? Gadsby mówi o wycieczce po galeriach sztuki i przedstawianych tam paniach: „Przeglądam się tym kobietom i nie wydaje mi się, byśmy należały do tego samego gatunku. (...) Nawet biologicznie nie należymy do tego samego gatunku. Po pierwsze, posiadam funkcjonujący szkielet. W galeriach zobaczycie, że jeśli tylko kobieta nie jest przyodziana w gorset i/lub błonę dziewiczą, całkowicie traci strukturę. Przelewa się z miejsca na miejsce, jakby mówiła: »Meble, do czego to?«. Pozycja na łyżeczkę. Rozpostarta z cycami na wierzchu. (...) Nie jestem damą także dlatego, że codziennie udaje mi się

dokończyć proces ubierania się. Codziennie. Wszystkie guziki, aż do samej góry. A jestem dość roztrzepana... Przychodzi mi to jednak całkiem łatwo. Zwłaszcza jeżeli wychodzę z domu po to, by namalowano mój portret”.

Amerykański franciszkanin Richard Rohr pisze w swojej (niestety niewydanej jeszcze po polsku) książce „The Universal Christ”: „Im bardziej maczystowska i patriarchalna dana kultura, tym większa w niej pobożność maryjna” i podpira to twierdzenie wieloletnim doświadczeniem pracy z grupami mężczyzn. Rohr stara się znaleźć pozytywną interpretację tego fenomenu, ukazując ją jako nieświadomą i niekoniecznie skuteczną próbę zbalansowania tej kultury przez element żeński.

Tymczasem ks. Andrzej Stefański, który odpowiedział na zadane przeze mnie w różnych katolickich grupach w mediach społecznościowych pytanie o naśladowanie Maryi i jej cechy, pokazuje mniej optymistyczny obraz: „Maryja bywa w Kościele wykorzystywana jako wygodne alibi wobec kościelnych feministek: Co? W Kościele ktoś dyskryminuje kobiety? Ależ skąd, przecież to właśnie Kobieta Kościoła wyniosła do najwyższych godności. Żeby wszyscy szanowali kobiety tak, jak my szanujemy! Po co nam dyskusja o kapłaństwie kobiet? Przecież Maryja była Matką samego Boga, a nie dopominała się kapłaństwa. Czy księża bywają mizoginami? Skądże znowu, przecież kapłan musi być maryjny, Maryja jest Matką Kapłanów! Nie jest możliwe, by jakikolwiek ksiądz patrzył z góry na kobiety, skoro ma przed oczyma, dzień i noc, model Tej Jedynej Kobiety”.

Czy odarta z realności, przybrana w wota i „ciężkie złote korony” (Małgorzata Cywińska, „List do Matki Bożej”) Maryja może być punktem odniesienia dla jakiegokolwiek dziewczyny czy kobiety?

Podobny wątek znajduję w artykule Zuzanny Radzik na Wniebowzięcie („Nasza siostra”, TP nr 34/2012), który rozpoczyna się następująco: „Najpierw trzeba zdjąć z niej te wszystkie zdobne, lecz pancerne koszulki i wota. Zapomnieć o pastelowych portretach dziewczyny o nieskalanej cerze, łagodnym spojrzeniu i delikatnym uśmiechu. Wśród chmur, aniołów, róż. Świetliście nieprawdziwej, aż nieludzkiej. Skromnej, smukłej, w niczym nieprzypominającej matczyńskich kształtów bogiń płodności. Wąska w bio-

drach, blada, o nieśmiały, beznamiętnych ustach. Nowa Ewa, niemająca nic wspólnego z przywarami zwykłych kobiet. Dziewicza i czysta. Jak zdjąć z niej to wszystko i znaleźć coś krwistego?”.

A jednak wszechobecnie bliska

Maryja, Matka Jezusa, pojawia się na kartach Nowego Testamentu kilkakrotnie, w tym w momentach kluczowych dla misji swojego Syna. Ale przyłożenie do tych fragmentów narzędzi współczesnej biblistyki nie pozostawia wiele złudzeń: nie dowiemy się, jaka z całą pewnością była. Jej postać występuje przede wszystkim w tych fragmentach Ewangelii, w których historia rozumiana jako wierne przedstawienie faktów ustępuje miejsca teologicznej historii zbawienia, bliższej symbolom, analogiom, dialogowi między Biblią hebrajską a doświadczeniami i wiarą pierwszych chrześcijan. W moich ustach teolożki to nie zarzut. Kocham teologię Łukasza, w której Maryja zostaje powołana podobnie jak Mojżesz czy prorocy; w której wyśpiewuje hymn o zbawieniu, jak jej imienniczka Miriam, siostra Mojżesza, po przejściu przez Morze Czerwone.

Wiele spośród pytan przez mnie o cechy Maryi osób podkreśla jako szczególnie istotną jej towarzyszenie Jezusowi i kontemplowanie zbawczych wydarzeń Jego historii, cierpliwość, uważność. To z pewnością postawa, która czyni Maryję wzorem uczenia, ale i ucznia Jezusa, przykładem dla każdej osoby chcącej podążać chrześcijańską drogą – niezależnie od płci. Nie dziwi fakt, że te aspekty są wydobywane w bardzo teologicznej Ewangelii dzieciństwa zawartej u Łukasza. Podobnie nie dziwi to, że Maryja na kartach teologicznego traktatu, jakim jest Ewangelia Jana, pojawia się zarówno u zarania ziemskiej misji Jezusa – w Kanie, jak i u jej kresu – pod krzyżem.

O macierzyńskim obliczu Maryi i o znaczeniu jej cierpienia, zwłaszcza z powodu męki i śmierci Jezusa, wspominają moje respondentki, często odwołując się do własnych przeżyć związanych z ciążą lub macierzyństwem i relacją z dzieckiem. Pieta jest niemal tak często obecna w sztuce sakralnej, jak Matka karmiąca Jezusa albo ukazująca Go światu. Co więcej, wątek matki cierpiącej z powodu śmierci syna przewija się także poza kontekstem chrześcijańskim czy w ogóle religijnym. Od razu myślę

Amerykański franciszkanin Richard Rohr uważa, że im bardziej maczystowska i patriarchalna dana kultura, **tym większa w niej pobożność maryjna.**

o trzech dziełach, coraz dalszych od naszego polskiego i katolickiego kontekstu: III symfonii Henryka Mikołaja Góreckiego (1976), berlińskiej rzeźbie „Nigdy więcej wojny” Käthe Kollwitz (1937) czy powieści amerykańsko-kanadyjskiej pisarki japońskiego pochodzenia Ruth Ozeki „W poszukiwaniu istoty czasu” (2013). W powieści tej pojawia się wątek bardzo starej zakonniczki buddyjskiej, w młodości anarchistki, feministki i pisarki, która wstąpiła do klasztoru zen po śmierci syna – pilota kamikaze. Jej misją staje się modlitwa za świat, w którym nikt nikogo nie będzie nienawidził, modlitwa o pokój. Nie wiem, czy napotkałam w XXI-wiecznej literaturze bardziej „maryjną” postać.

A co z naszą katolicką, kościelną rzeczywistością? W dziejach teologii, a zwłaszcza nauczania ze strony Magisterium Kościoła, papieże i biskupi ogłaszali różne twierdzenia, w których pojawiała się Maryja. W rozwoju dogmatów „maryjnych” widzę dwa zjawiska. Pierwsze to budowa solidnych podstaw teologii dotyczącej Chrystusa i Kościoła. Podstawowym celem dogmatów maryjnych z punktu widzenia teologii i doktryny kościelnej jest przekaz czy obrona pewnych twierdzeń dotyczących Jezusa. Elżbieta Adamiak wyjaśnia to w wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi” („Maryja jest jedną z nas”, nr 50/2018), odnosząc się do dogmatu o Niepokalanym Poczęciu: „To rozumowanie jest potrzebne, by zabezpieczyć bezgrzeszność Jezusa. W kategoriach teologii św. Pawła Jezus jest bez grzechu nie ot tak, tylko po to, by jako bezgrzeszny mógł dokonać naszego zbawienia. Gdyby On sam był grzeszny, nie mógłby nas zbawić”.

Podobnie znacznie starszy dogmat o Bożej Rodzicielce (*Theotokos*) został ustanowiony przeciw nestorianom, którzy rozdzielali natury Boską i ludzką w Chrystusie. Mówiąc o Maryi jako Bożej Rodzicielce, tak naprawdę mówimy

o tym, że Jezus Chrystus to prawdziwy Bóg, i głosimy zjednoczenie natur Boskiej i ludzkiej w jednej osobie.

Główne dogmaty maryjne są zatem dogmatami... chrystologicznymi. „Niewiasta” zyskuje miejsce przy wspólnym ognisku, gdyż urodziła syna, jest już swoją, a nie obcą.

To jednak niecała historia. Dogmaty maryjne nie wynikają tylko ze sporów o Chrystusa, ale również – i to drugie istotne zjawisko – z tego, jak chrześcijanie rozumieli postać i znaczenie Maryi. Według Johna Henry’ego Newmana było tak już przy dogmacie o *Theotokos*. Wyraźnie widać to było także w XX w. Przed ogłoszeniem najnowszego (1950 r.) dogmatu – o Wniebowzięciu Maryi, Pius XII skierował pytanie do wszystkich biskupów, a za ich pośrednictwem do duchowieństwa i ludu, o to, czy życzą sobie takiego dogmatu. Zaśnięcie (pojęcie bardziej obecne we wschodnim chrześcijaństwie) lub Wniebowzięcie Maryi pojawiało się bowiem w liturgii i pobożności ludowej już od późnej starożytności.

Adamiak mówi także o „mariologii przywilejów, w której chodziło o to, by znajdować jak najwięcej powodów, by Ją czcić”. Teolożki i teolodzy akademicki zwykli, zwłaszcza po II Soborze Watykańskim, dystansować się od nurtów szukających poparcia dla kolejnych orzeczeń dogmatycznych, np. o Maryi jako Współodkupicielce. Podkreślają, że „Maryja jest jedną z nas”. Dlaczego zatem w duchowości wielu katolików i katoliczek oraz w różnych przejawach nie tylko ludowej pobożności Maryja zajmuje ciągle tak wiele miejsca – nie tylko jako jedna z nas, ale jako obiekt religijnej czci?

Podwójnie nieznana

Podobne pytanie stawia Richard Rohr, który zastanawia się: „Dlaczego pierwsze czternaście wieków chrześcijaństwa [Rohr widzi istotną cezurę w reformacji], w Kościołach Wschodu i Zachodu, było po uszy zakochane w tej, zdawałoby się, całkiem zwyczajnej kobiecie?”. Przywoławszy liczne tytuły i wezwania kościołów i sanktuariów maryjnych w Europie stwierdza: „Zdecydowanie mamy tu do czynienia nie z pojedynczą kobietą, ale z symbolem założycielskim – czy, zapożyczając terminologię od Carla Junga, »archetypem« – obrazem gromadzącym w sobie cały ogrom znaczeń, których nie da się logicznie zakomunikować. Nic nie może pojawiać się →

→ tak powszechnie i przez tak długi czas, jeśli nie jest w jakiś sposób ugruntowane w naszej kolektywnej ludzkiej nieświadomości”.

Rohr nie twierdzi, że Maryja jest Matką Ziemią czy Pierwszym Wcieleniem (wątek pierwszego Wcielenia w stworzeniu to jeden z kluczowych wątków „The Universal Christ”), ale wskazuje, że – zwłaszcza w sztuce – postać Maryi stała się ich symbolem. Co więcej, „Maryja jest głównym żeńskim archetypem misterium Chrystusa. Ten archetyp ukazał się wcześniej jako Sofia czy Święta Mądrość (zob. Prz 8, 1nn; Mdr 7, 7nn), a następnie w Apokalipsie (12, 1-7) w kosmicznym symbolu Niewiasty obleczonej w słońce i stojącej na księżycu. Ani Sofia, ani Niewiasta z Apokalipsy nie są dokładnie Maryją z Nazaretu, jednak na wiele sposobów obie są i każda z nich poszerza nasze rozumienie Boskiej Kobiecości”.

Szczególnie dogmat o Wniebowzięciu zdaje się przekraczać ramy teologii służebnej względem chrystologii. Mówi o Maryi owszem jako tej, która została do nieba wzięta (a nie wstąpiła sama), ale nie wydaje się nijak konieczny do wzmocnienia gmachu innych twierdzeń. Rohr podaje, że Carl Jung uznał ogłoszenie dogmatu o Wniebowzięciu za „najbardziej znaczący rozwój teologiczny w XX w.”, ponieważ ogłoszono, że w wieczności istnieje na zawsze ciało – ciało kobiety! Dla autora „The Universal Christ” Maryja – archetyp relacji świata z Bogiem, relacji człowieka z Bogiem – jest także symbolem niedwoistości. Zbliża do siebie dwa rozłączne światy: „materii i ducha, żeńskiej matki i męskiego dziecka, ziemi i nieba”.

Myślę o tej podwójnie nieznannej Maryi: nieznannej, bo jest niewiastą, i nieznannej, bo jest nieniewieścią. Wykracza poza to, co znamy z codzienności, jako ta, której ludzkie ciało i ludzkie życie pozwoliło na narodzenie się Chrystusa. Jestem przekonana, że świat, w którym coraz częściej słychać głos sprzeciwu względem wpisywania kobiet w ramy męskich fantazji i żądań, to także świat, w którym możemy dać więcej miejsca i więcej głosu tej Nieznanej. Niewieście. I jeśli stanie się dla kogoś wzorem cnót, to nie będzie to wpisany w podstawę programową punkt kształcenia dziewcząt, ale inspiracja dla osób dowolnej płci. Nie przeciwwaga dla kobiet rozumianych jako źródło męskiego grzechu. Nie próba załatania braku kobiet na kościelnych urządach.

Witaj, Niewiasto nieniewieścia!

© AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Autorka jest teologką, religioznawczynią i anglistką. Współtwórczyni Fundacji Przestrzeń i Wolnej Szkoły Przestrzeń w Krakowie.



Przyjaciółka

NONTANDO HADEBE, TEOLOŻKA:

Gdy Maryję sprowadzamy do macierzyństwa i dziewictwa, nie możemy w pełni uczcić bogactwa jej życia.

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI: Każdy czas i każda kultura inaczej opisuje Maryję, bo ma inny ideał kobiety, człowieka. Kim ona jest dzisiaj w Kościele południowoafrykańskim?

NONTANDO HADEBE: Istnieją różne sposoby jej przedstawiania. Przede wszystkim zajmuje centralne miejsce w pobożności i modlitwie. Myślę zwłaszcza o sanktuariach, gdzie ludzie przychodzą, aby wyrazić swoje oddanie, zwłaszcza w czasie uroczystości i okresów, które są z nią związane: święta Wniebowzięcia, Adwentu. W kościołach można znaleźć jej figury, ludzi odmawiających różaniec, grupy tworzące się w jej imię. Jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc pielgrzymkowych jest sanktuarium maryjne w Ngome, miejsce objawień maryjnych.

Tak więc w moim rozumieniu jej obraz jest przede wszystkim dewocyjny – ludzie patrzą na nią jak na matkę, kogoś, do kogo można się modlić, kto może się tobą opiekować. Kogoś bliskiego Bogu, do kogo można się zwrócić, aby nasze modlitwy zostały wysłuchane.

Podobnie jak w Polsce.

Kościół w RPA, inaczej niż polski, jest Kościołem mniejszościowym. Katolicy stanowią około 7-8 proc. populacji. Żyją w społeczeństwie zdominowanym przez Kościoły protestanckie oraz inne religie, a konstytucja kraju jasno mówi o równości i godności. Szkół katolickich jest niewiele w porównaniu z państwowymi, dzieci posyła się raczej do szkół państwowych, gdzie uczą się konstytucyjnych zasad, zgodnie z którymi kobiety są równe w każdym aspekcie edukacji. Kiedy więc przychodzisz do kościoła i czcisz Matkę Boską, przynosisz ze sobą kulturę i kontekst społeczny, w którym wiele mówi się o równości płci i prawach kobiet. W krajach katolickich dominujący etos był kształtowany przez wieki przez Kościół katolicki,

w RPA to zaledwie kilka wieków działalności misyjnej.

Czy Maryja jest mimo to stawiana kobietom za wzór do naśladowania?

Takie myślenie jest też obecne. Przeczytam fragment artykułu z jednej z tutejszych gazet katolickich, „Southern Cross”, który mówi o Maryi jako wyzwolicielce kobiet z patriarchy i ukazuje ją jako wzór niezależności i swobodnego myślenia.

„[Maryja] daje współczesnym kobietom okazję do naśladowania jej: zmień swój styl życia, aby być w kontakcie ze swoją wewnętrzną duszą, bliźnimi i Bogiem. Bądź odporna w trudnych czasach, nigdy się nie poddawaj! Bądź odważna. Cokolwiek zarysujesz, dokończ to. Podejmij decyzje, które cię wyzwolą i pozwolą ci żyć zgodnie z Bożym zamiarem względem twojego życia. Żyj w chwili teraźniejszej: bądź aktywistką z serca. Szukaj Bożej woli w odniesieniu do swojego życia. Nigdy nie wahaj się walczyć z uprzedzeniami, dyskryminacją czy niesprawiedliwością. Przyjmij równość i traktuj innych z godnością. Naśladuj Jezusa i stań się prawdziwą podporą ubogich, nędzarzy, ludzi z marginesu i wyrzutków społeczeństwa”.

To nieoczywiste podejście – oficjalna opowieść o Maryi jest jednak silnie nacechowana tradycją europejską i teologią scholastyczną. Myślisz, że globalna teologia może się nim zainspirować?

Tak myślę. Bo to pokazuje, że rozumienie Maryi odbywa się w określonym kontekście. Jeśli więc mamy do czynienia z kontekstem, w którym dominuje cierpienie, ubóstwo, to tam Maryja staje się ucieleśnieniem nadziei. Ponieważ kobiety doświadczają marginalizacji, zaczynają myśleć o niej jako o orędownicze wolności. Siegają po Magnificat i widzą, że Maryja mówi o wyzwoleniu, może więc do tego wyzwolenia inspirować.

Na tym przykładzie widać, że istnieją sposoby, dzięki którym można odnieść teologię do życia współczesnych ludzi. Maryja, która jest gdzieś daleko w chmurach, sprowadzana

Nairobi, Kenia 27 marca 2016 r.

→ do jej dziewictwa i macierzyństwa, na prawdę nie może przemówić bezpośrednio do cierpiącego człowieka. Dlatego właśnie pojawia się myślenie o niej jako o wyzwolicielce.

Często boimy się myśleć o Maryi jako o kobiecie z krwi i kości, która miała swoją historię – i swoje obawy.

Pod tym względem tu, w Afryce mamy szczęście, że nie doświadczyliśmy scholastycznej abstrakcji, w której Bóg jest odezwany od rzeczywistości. Dziedzictwem tradycyjnych religii afrykańskich jest duchowość zakorzeniona w codziennym życiu. Abstrakcyjny sposób myślenia i monolityczna opowieść, która nie odnosi się do konkretnych doświadczeń, jest dla nas czymś obcym. Inkulturacja i kontekstualizacja dokonuje się właśnie po to, by wiara przemówiła do ludzi, a nie była tylko czymś zewnętrznym, czego nikt nie jest w stanie pojąć.

Czy te dwie opowieści o Maryi – tradycyjna i zakorzeniona we współczesnym doświadczeniu – ścierają się jakoś w publicznym dyskursie waszego Kościoła?

Oczywiście! I to jest relacja konfliktowa, ponieważ są ludzie, którzy chcieliby się cofnąć i trzymać się abstrakcyjnej teologii. Inni jednak żyją wiarą na co dzień i właśnie z tego doświadczenia wyłania się ich teologia. Teologię abstrakcyjną wciąż można spotkać w seminariach i na niektórych wydziałach teologicznych, ale jest ona teraz kwestionowana w kontekście dekolonizacji.

Dekolonizacja wymaga, aby osoba, która zabiera głos, uznała swój własny kontekst. Chodzi o przyznanie się do swoich ograniczeń i pozycji, z której mówimy. Kiedy patrzymy na abstrakcyjną teologię zachodnią, wiemy, że jest to teologia pochodząca z klasy średniej – od ludzi, którzy siedzą w swoich gabinetach i mają czas na myślenie, a nie teologia doświadczenia, odnosząca się do życia zwykłych ludzi, szczególnie tych w Afryce.

Projekt dekolonizacji w szkołach teologicznych, jak i w edukacji w ogóle, stara się pokazać, że wiedza jest zawsze wytwarzana w określonym kontekście. Jednocześnie uznaje, że potrzebujemy wszystkich rodzajów wiedzy, że nie odrzucamy wiedzy zachodniej, ale ją przyjmujemy i umieszczamy obok innych jej form. Nie jest to jedyna możliwa opowieść, ponie-

waż powstała ona w określonym kontekście, została opowiedziana przez nas, ludzi określonych ras i klas.

Kiedy słuchamy jakiejś opowieści, musimy zawsze pamiętać o jej kontekście. Dekolonizacja pomaga nam umieścić różne źródła wiedzy na swoich miejscach jako coś, co jest określone geograficznie i może dostarczać odpowiedzi na różne pytania, ale nie spoza swojego kontekstu. Ludzie, którzy żyją w danym kontekście, muszą konfrontować własną teologię z innymi systemami myślenia. Chodzi o uznanie innych prawd, pochodzących z różnych przestrzeni geograficznych, jako istotnych, ale jednocześnie stwierdzenie: kiedy przynosisz swoją prawdę, najpierw przyznaj, że mówisz z kontekstu zachodniego, białego, z klasy średniej, a więc masz pewne ograniczenia, a my mówimy z kontekstu afrykańskiego, inspirowanego życiem i my również mamy swoje ograniczenia. Musimy znaleźć przestrzeń, w której jednemu nie przyznaje się wyższego miejsca, a drugiemu niższego, ale w którym różne rodzaje wiedzy zostają przyjęte wraz z tym, co mogą nam dać.

Jak więc z Twojego osobistego kontekstu patrzysz na Maryję i dotyczące jej dogmaty?

Jestem afrykańską kobietą i nie mam dzieci, więc dla mnie macierzyństwo jest wspólnotowe. U nas wszystkie dzieci należą do społeczności, więc jestem matką w sensie bycia częścią życia tych dzieci i opieki nad nimi. Ale nie chcę być do tego zredukowana. Zostaliśmy stworzeni na obraz Boga, a to oznacza, że jesteśmy naprawdę osobami wielowymiarowymi. Mój sposób wyrażania macierzyństwa jest inny niż sposób wyrażania go przez inną kobietę. Chcę umieć dostrzec ogólną jego wartość, ale jednocześnie uświadomić sobie wyjątkowość wyrazu każdej osoby.

Podobnie jest z redukowaniem ludzi do dziewictwa i czynieniem z niego statusu, zamiast zauważenia, jak faktycznie szukają Boga i jak troszczą się o biednych. Stawianie seksualności w centrum życia naprawdę nie pomaga. Nasze życie jest pełne innych elementów. Jeśli spojrzysz na ludzkie ciało, ma ono dziewięć układów; dlaczego mielibyśmy się skupiać tylko na układzie rozrodczym? Jeśli spojrzymy na dom, to sypialnia nie jest jedynym jego pomieszczeniem, są inne pokoje, jest kuchnia. Potrzebujemy teologii kuchni, aby zrozumieć, dlaczego ludzie są głodni, dla-

czego nie odżywiają się w sposób zrównoważony i zdrowy. Nie chcę być redukowana do jednego wymiaru, chcę całości.

Dlatego tak bardzo spodobał mi się wspomniany już artykuł. Ponieważ ukazuje on Maryję jako wieloaspektową istotę ludzką, która żyła jako kobieta, w ubóstwie, zmagającą się z wyzwaniem, jako osobę, która jest w stanie nawiązać z nami kontakt w ten właśnie sposób. Taka narracja o Maryi jest dla mnie jednocześnie bardziej przekonująca. Staje się ona wówczas przyjaciółką. Jezus powiedział: „Wy jesteście przyjaciółmi moimi”. Jeśli Jezus, który jest Synem Bożym, tak mówi, dlaczego nie możemy powiedzieć o Maryi, że jest naszą przyjaciółką?

Zwracanie się do niej wyłącznie jako do matki wydaje się bezpieczniejsze. Nie ośmielamy się spojrzeć na nią jak na naszą siostrę.

Tak! I jak na przyjaciółkę. A przyjaźń między kobietami to coś, co odkrywamy jako bardzo ważne. Maryja przyjaźniła się z Elżbietą, będąc jednocześnie jej krewną. W Ewangelii Łukasza (8, 1-4) czytamy, że w otoczeniu Jezusa były kobiety. Maryja wraz z innymi kobietami była również z uczniami przed Zesłaniem Ducha Świętego. Nawet pod krzyżem nie jest sama – jest z Marią Magdaleną i innymi.

Jest więc kimś, kto umie zwyczajnie rozmawiać z kobietami, umie ich słuchać, uczyć się od nich i odnosić się do tego, co one robiły. Była kobietą z wioski, a to oznacza, że angażowała się w życie społeczności. I żyła w rozszerzonej rodzinie – wiele razy Ewangelia mówi o siostrach i braciach Jezusa. A jednak kiedy widzimy obrazy Maryi, ona trzyma zawsze tylko Jezusa. Nie mamy nawet jej wizerunków z Marią Magdaleną siedzącą w pobliżu, może przygotowującą z nią razem chleb, rozmawiającą, śmiejącą się.

Obraz, jaki otrzymujemy, jest tak niewiarygodny, tak nierealny! Odrywa Maryję od zwykłego życia, które prowadziła. Nigdy nie widziałam dzieła sztuki, które pokazywałoby ją gotującą, sprząającą dom, siedzącą z innymi kobietami. A to właśnie robią kobiety w wiosce. Kiedy więc sprowadzimy ją w jej kontekst, wtedy będziemy mogli sprowadzić ją na ziemię do naszego kontekstu. Jako przyjaciółkę, kogoś, z kim można porozmawiać.

W objawieniach prywatnych w Ngome Maryja przedstawia się jako tabernakulum Boga, mówiąc: „tak jak i wy nim jeste-



ARCHIWUM PRYWATNE

NONTANDO HADEBE jest świecką teologką, wykładowczynią Kolegium św. Augustyna w Johannesburgu w RPA. Uzyskała doktorat na tej uczelni. Specjalizuje się w teologii afrykańskiej, pastoralnej i kontekstualnej, feministycznej i teologii wyzwolenia oraz psychologii pastoralnej. Jej matka pochodziła z Botswany, ojciec z Zimbabwe, a przodkowie z RPA. Wychowana jako katoliczka. Jej duchowa podróż zaprowadziła ją do Kościoła baptystów i Kościoła anglikańskiego, a stamtąd z powrotem do Kościoła katolickiego.

ście”. Czyli nie chodzi tylko o nią. Wszyscy jesteśmy tabernakulum Boga. Maryja stawia się na tym samym poziomie, co inni, co reszta ludzkości.

Twoja osobista droga wiary wiedzie od katoliczki do baptystki, anglikanki i z powrotem do katoliczki. Czy to doświadczenie wpłynęło na Twój obraz Maryi i jej kultu we wspólnotach katolickich?

Zdecydowanie tak. Ekumenizm jest dla nas normalnym, codziennym doświadczeniem. Zawsze patrzyłam na moją osobistą podróż ekumeniczną jak na wizytę w rodzinie. Kiedy odwiedzam członków mojej rodziny, automatycznie trafiaam do różnych Kościołów. Kiedy odwiedzam babcię, jestem w Zjednoczonym Kościele Chrystusa, kiedy odwiedzam ciotkę, jestem u zielonoświątkowców.

W wielu Kościołach protestanckich Maryję darzy się szacunkiem, ale nie ma w nich tego rodzaju pobożności, z jaką wyrosłam w Kościele katolickim. Jest u nich uznanie jej szczególnej roli, ale też obawa, że tylko Bogu należy oddawać cześć. Mając za sobą oba doświadczenia, przyjmuję kult katolicki, ale tęsknię też za tym, co ludzkie. Za Maryją, którą mogę nazwać przyjaciółką i siostrą. To ukształtowało moją postawę i właściwie dobrze się z tym czuję. W ramach mojej czci dla Maryi wiem, że mogłabym z nią usiąść jak z siostrą. Widzę ją z innymi młodymi dziewczynami, jak rozmawiają, śmieją się, żartują. I wyobrażam sobie, jak ona rosła – od dzieciństwa do starości.

I znowu – w ikonografii nie widzimy starszej Maryi, to dla naszej wiary se-

kretny okres jej życia. W ten sposób znów utrwała się myślenie o człowieku tylko w jednym aspekcie.

Starość widziana jako słabość i konsekwencja zepsucia natury ludzkiej grzechem nie pasuje do Maryi.

Tak, ale ona przecież się starzała. Jeśli przyjmiemy, że była normalną istotą ludzką, że dorastała, była nastolatką, potem osobą dorosłą i starszą kobietą, wtedy kobiety mogą z nią wędrować przez całe własne życie. To kluczowe! Jeśli widzimy w niej kobietę wiecznie młodą, oznacza to, że kiedy ja się zestarzeję, powie mi się: teraz już idź do Elżbiety...

Chciałam jeszcze raz zacytować artykuł wspomniany na początku: „Jako nastolatka [Maryja] wykazała się zdolnościami przywódczymi, przyjmując ogromną odpowiedzialność z czystym sumieniem i wielką wiarą. Jako młoda kobieta w wieku dwudziestu lat doświadczyła bólu, o jakim może zaświadczyć tylko matka zaginionego dziecka (...). I jako młoda, czterdziestoletnia wdowa, gdy Jezus umarł, dała przykład wytrwałości, znosząc ból Jego cierpienia i śmierci i przyjmując nowe życie ze swoim »adoptowanym« synem, Janem”.

Takie spojrzenie pozwala ją zobaczyć jako Maryję dla wszystkich. Podoba mi się podejście do cyklu życia, które przyjęto w tym artykule. A został on opublikowany w bardzo popularnym katolickim magazynie, zatwierdzonym przez biskupów, który dociera do wszystkich parafii.

Mówimy tu dużo o siostrzeństwie, a co z jej więzią z mężczyznami?

Dzięki cechom, które uosabia, staje się wzorem dla ludzkości, do której należą także mężczyźni. Poza tym dzięki Maryi mogą oni dostrzec siłę kobiet także w relacjach, jakie z nimi tworzą. To może być nowe doświadczenie. Skoro kobieta może odgrywać tak ważną rolę w życiu, może być także wzorem dla mężczyzn. To jest zdrowe!

Nam, kobietom, stawiano w historii za wzór tylko mężczyzn, nie miałyśmy wyboru. Mówiono nam: to są ludzie, którzy są dla ciebie modelem. Także mężczyźni zawsze mieli innych mężczyzn do naśladowania. Dla nich możliwość spojrzenia na kobietę jako na wzór może być podważeniem patriarchalnego nauczania o męskiej wyższości, uświadomieniem sobie, że kobiety i mężczyźni są równi. W końcu to właśnie widzimy również w katechizmie, że zarówno mężczyzna, jak i kobieta są stworzeni na obraz Boży.

Ale potem katechizm mówi, że bycie kobietą różni się od bycia mężczyzną. Tak jakbyśmy my, kobiety, wszystkie były jedną niezróżnicowaną grupą. To nie oddaje różnorodności ludzi i tego, że każdy z nas ma swoje wyjątkowe DNA. Wiemy, że mamy niepowtarzalne odciski palców. One nie zostały stworzone przez Boga, by ułatwić życie kryminologom. Są „faktem teologicznym”, potwierdzającym, że w każdej kategorii jesteśmy tak różni od siebie, jak to tylko możliwe. Jeśli w tej chwili na świecie jest kilka miliardów kobiet, to znaczy, że jest kilka miliardów sposobów na bycie kobietą.

© Rozmawiała

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI



Nowo wybudowany obóz dla uchodźców na poligonie wojskowym w Rudninkach, niedaleko Wilna. Litwa, 4 sierpnia 2021 r.

Sprawdzian

KAROL WILCZYŃSKI Z WILNA

Kościół na Litwie mierzy się z rozgrywanym politycznie kryzysem migracyjnym.

LITWA OD CZERWCA MA DO CZYNIEŃIA z niespotykaną dotąd skalą migracji, która w ostatnich tygodniach doprowadziła tu do poważnego kryzysu. Otwarcie granicy oraz zachęta dla uchodźców, by przekraczali granicę Unii, jest odpowiedzią Aleksandra Łukaszenki na nowe sankcje nałożone na jego kraj. Łukaszenka zapowiedział, że „zaleje Europę uchodźcami”, oraz że jego służby „nie będą zatrzymywały migrantów i narkotyków”. Zagroził nawet, że wśród „radykalnych i uzbrojonych muzułmanów” przygotowywana jest „zemsta za zbrodnie Litwy”.

Kryzys ma swój kontekst religijny. Populistyczni politycy zaczęli wykorzystywać sytuację i straszyć społeczeństwo

„islamizacją Litwy”. Wśród obaw wyrażanych przez Litwinów z rejonu sołecznickiego – pogranicza zamieszkanego w ok. 80 proc. przez Polaków – często pojawiają się te związane z obecnością muzułmanów.

Jaka jest reakcja Kościoła rzymskokatolickiego? – Przecież to oczywiste. Mamy do czynienia z inwazją islamu – nie ma wątpliwości ks. Józef Aszkiełowicz, proboszcz parafii znajdującej się przy granicy z Białorusią, jeden z autoritetów ludności polskiej na Wileńszczyźnie.

Duchowny, biorący udział w jednym z większych protestów od lat – ok. 400 osób, głównie reprezentantów polskiej mniejszości, zgromadziło się, by wyra-

zić sprzeciw wobec budowy obozów dla uchodźców w rejonie sołecznickim – nie zgodził się na autoryzację swoich wypowiedzi. – Jesteśmy dziś w momencie, w którym są ci, którzy stoją po stronie szatana, i ci, którzy stoją po stronie Chrystusa – mówił.

Protesty

To właśnie tereny położone na południe od Wilna stały się w ostatnim czasie jednym z migracyjnych „hotspotów”. Jak dotychczas – na liczącą niespełna 2,7 mln mieszkańców Litwę docierały niewielkie grupy osób. W 2018 r. ochronę międzynarodową otrzymało 154 z nich (głównie z Tadżykistanu i Federacji Rosyjskiej). Do 2019 r. Litwa zdążyła również przyjąć 493 osoby w ramach unijnego programu relokacji.

Tymczasem tylko do 5 sierpnia służby graniczne schwytały 4110 osób (dla porównania, w całym roku 2020 zatrzymano 80). Najwięcej z nich w granicznych regionach zamieszkałych przez mniejszości: rosyjską i polską. Powoduje to, że na spór polityczny nakładają się stare spory etniczne. Choć głosy takie, jak cytowanego wyżej duchownego, są rzad-

kie wśród kapłanów pracujących na Wileńszczyźnie, to wśród polskiej ludności – w większości wyznającej katolicyzm – radykalne postrzeganie problemu pojawia się coraz częściej.

– Teraz paliwem dla tego typu postaw i ksenofobii są jednak osoby z zewnątrz. W tej sprawie nie chodzi już tylko o interes społeczności lokalnej – mówi Eskedar Maštavičienė, obywatelka Litwy i uchodźczyni z Etiopii. O Eskedar zrobiło się (nie po raz pierwszy) głośno, gdy zdecydowała się pojechać na protest zorganizowany przez mieszkanki Dziewieniszek przeciw utworzeniu obozu dla uchodźców. „To ja byłam osobą z drugiej strony ogrodzenia – przedstawiła się Eskedar w języku litewskim. – Jestem uchodźczynią, która stała się obywatelką Litwy. Potrzebujemy porozmawiać o rozwiązaniach!”.

Eskedar nie mogła pojawić się jednak na wszystkich protestach. Biorą w nich udział tysiące osób z całego kraju. Wśród protestujących w Dziewieniszkach liczną grupę stanowili działacze nacjonalistycznych organizacji litewskich czy aktywiści działający na rzecz wartości tradycyjnej rodziny. To właśnie oni, zdaniem Eskedar, wpływają na radykalizację opinii miejscowych. Na banerach widniała Matka Boża z Medjugorja, a w dłoniach protestujący trzymali różańce. W pobliżu poligonu rudnickiego – gdzie ma powstać obóz – doszło do starć z policją. – Czegoś takiego nie było na Litwie od 2009 r., kiedy wybuchły ostre protesty w związku z kryzysem gospodarczym – mówi Dominik Wilczewski, dziennikarz „Przeglądu Bałtyckiego”.

Reakcje

Pomimo wakacji czołowi politycy przezwali urlop. 28 lipca prezydent Gitanas Nausėda bez rozgłosu odwiedził Dziewieniszki, by „wysłuchać mieszkańców”. Tymczasem przedstawiciele rządu – będącego w opozycji do prezydenta – usiłują przekonać opinię publiczną, że radzą sobie z kryzysem. Gabrielius Landsbergis, litewski minister spraw zagranicznych, odbył nawet podróż do Turcji i Iraku, prosząc o wsparcie dla Litwy i o wstrzymanie lotów na Białoruś. To właśnie uruchomione połączenia lotnicze ze Stambułu i Bagdadu umożliwiają bezproblemowy przelot do Mińska, skąd migranci taksówkami i busami jadą do granicy, którą przekracza się pieszo.



KAROL WILCZYŃSKI

Protest mieszkańców Dziewieniszek przeciwko utworzeniu ośrodka dla migrantów. Wilno, 29 lipca 2021 r.

Spośród 2,5 tys. osób zatrzymanych na granicy w lipcu około dwie trzecie stanowią obywatele Iraku, przy czym z dnia na dzień liczba ta wzrasta. Powodem jest m.in. fakt, że po wizycie Landsbergisa w Bagdadzie samoloty zaczęły odlatywać do Mińska codziennie. Pomimo zapewnień szefa MSZ (wypowiedzianych w języku angielskim, arabskim i kurdyjskim), że „prawie żaden z was nie otrzyma statusu uchodźcy politycznego”, władze spodziewają się coraz większej liczby przybyszów.

Urlopu za granicą nie przerwał za to katolicki arcybiskup Wilna, Gintaras Grušas, który jednak jeszcze w czerwcu udzielił obszernego wywiadu w sprawie kryzysu dla litewskiej telewizji publicznej LRT. „Musimy patrzeć na nich jak na naszych braci, ci ludzie mogą pomóc się rozwijać” – oświadczył.

Arcybiskup urodził się i wychował w Stanach Zjednoczonych jako dziecko litewskich uchodźców. Jak wielokrotnie podkreślał, to doświadczenie pozwala mu zrozumieć, jak ważne są problemy migrantów i uchodźców: „Granice muszą być chronione (...), ale gdy ktoś już tu dotrze, musimy patrzeć na tę osobę nie jak na problem, ale jak na człowieka, i się nią zaopiekować”. Grušas przestrzegł również przed manipulacjami politycznymi rodzącymi strach.

Teraz jednak przedstawiciele Kościoła nie wypowiadają się na temat migracji, prawdopodobnie czekając na powrót Grušasa.

Brak komunikacji

Słowa arcybiskupa wciela jednak w życie litewski Caritas, który od wielu lat działa na rzecz osób poszukujących azylu, migrantów i uchodźców. – Podstawą naszego działania jest ludzka godność – mówi dyrektorka Caritas Litwa, siostra Jolita Matulaitytė. – Chcemy jednak wspierać nie tylko uchodźców, ale również mieszkanki i mieszkańców Litwy, pomóc im widzieć w przybyszach nie wrogów, nie ciężar, nie tych, którzy zabierają zasiłki, ale przede wszystkim ludzi.

Według siostry Matulaitytė największą odpowiedzialność spoczywa w rękach lokalnych polityczek i liderów, którzy mogą poprzez rozmowy i dobrą komunikację sprawić, że ludzie nie będą się bali. – Dotychczas komunikacja ze strony rządu była zbyt ostra – mówi dyrektorka Caritas. – Niestety również lokalne władze nie są gotowe na ten kryzys, i pod względem komunikacji, i pod względem infrastruktury.

Co siostra Matulaitytė ma na myśli? Mieszkańcy rejonu solecznickiego dowiedzieli się o planach zakwaterowania ➔

→ kilkuset uchodźców z mediów. – O tym nic nie wie ani lokalna władza, ani mieszkańcy, których to dotyczy przede wszystkim – mówi mer rejonu sołecznickiego Zdzisław Palewicz z Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. – A teraz okazuje się, że w pomieszczeniach Szkoły Technologii i Biznesu w Dziewieniszkach planuje się zakwaterować 500 uchodźców. Tyle samo, ilu mieszkańców jest w miasteczku.

Brak komunikacji doprowadził do protestów. Starosta Dziewieniszek, Czesława Marcinkiewicz stwierdziła, że niektóre rodziny są gotowe wręcz opuścić miejscowość i przenieść się do Sołeczna ze strachu o swoje bezpieczeństwo. – Czujemy, że cała sytuacja jest bardzo niebezpieczna – mówi Walentyna, córka jednej z inicjatorów protestu w Dziewieniszkach, Luby Polak. – Dlatego przyjechałam z Wilna wesprzeć moją społeczność.

– Płacimy cenę za grę polityczną, którą rząd rozgrywał z Łukaszenką – wtóruje jedna z mieszkanki Dziewieniszek. – Musimy dogadać się z sąsiadami, aby zabezpieczyć granicę.

Polskie wsparcie

W proteście wzięli udział również posłowie i posłanki Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, PiS oraz ks. Ryszard Halwa, paltyn, redaktor naczelny portalu prawy.pl. Na portalu od kilku tygodni pojawiają się materiały o „inwazji uchodźców”, budowie ośrodka dla „nielegalnych islamskich imigrantów”. Ks. Halwa na swoim portalu i Facebooku promował również wiec poparcia dla Dziewieniszek, który odbył się 29 lipca w Warszawie. Dotychczas ksiądz Halwa był jedynym przedstawicielem Kościoła wspierającym to wydarzenie. Protestujący wręcz narzekali na lokalnego proboszcza, etnicznie Litwina, który ani razu nie pojawił się, by ich wesprzeć. – Nie powiedział nawet słowa, widać że nie jest zadowolony z tego, co tu robimy – mówi pani Luba.

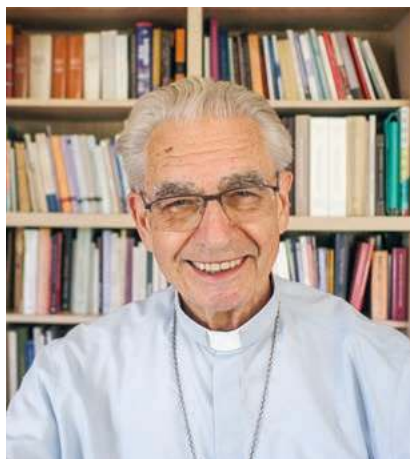
W czasie rozmowy z kardynałem Audrysem Bačkisem, emerytowanym arcybiskupem Wilna, usłyszałem jednak krytyczne słowa wobec księży, którzy „zamiast uspokajać i dawać nadzieję ludziom, zaogniają lęk”. – Rozumiem radykalne opinie, każdy, nawet ksiądz, ma do nich prawo – mówi kard. Bačkis. – W tej sytuacji jednak nie jest to właściwe.

Kard. Bačkis, podobnie jak abp Grušas, w młodości dzielił los uchodźców:



Siostra Jolita Matulaitytė

KAROL WILCZYŃSKI



Kardynał Audrys Bačkis

KAROL WILCZYŃSKI

po wybuchu II wojny światowej uciekł wraz z rodziną do Francji. Jako duchowny pracował w krajach dotkniętych konfliktami czy wśród społeczności muzułmańskich. Podobnie jak siostra Matulaitytė uważa, że źródłem napięć społecznych i wzrastającego poczucia lęku jest to, że nikt nie rozmawia z tymi ludźmi i zostawia się pole dla radykalnych głosów, zamiast szukać drogi środka. Jego zdaniem rolą Kościoła jest wyjście do protestujących, wysłuchanie ich i próba podjęcia dialogu. 84-letni emerytowany hierarcha sam chciał wybrać się do Dziewieniszek i przekonywał do tego biskupów pomocniczych Wilna, ale – jak przyznał – na razie nic z tego nie wyszło.

Bardzo wspiera jednak inicjatywy takich osób jak Eskedar Maštavičienė, które próbują prowadzić dialog i przyjąć perspektywę protestujących. – O ile rozu-

miem lęk tych ludzi, o tyle jednak nie pojmuję gniewu i ksenofobii. Przecież nie jest to zgodne z tym, czego nauczał nas Pan Jezus. Dlatego musimy przypomnieć postać dobrego Samarytanina, okazać szacunek przybyszom. Dobrzy muzułmanie to nasi bracia i siostry, widziałem to w czasie mojej pracy w Turcji czy Nigerii – tłumaczy kard. Bačkis.

Imigranci

Co jednak istotne, wśród przybyszów nie ma wielu muzułmanów. Spośród ok. 2 tys. obywateli i obywateli Iraku dużą grupę stanowią jazydzi i chrześcijanie. Oprócz tego niespełna 200 osób to przybysze z ogarniętych konfliktami Demokratycznej Republiki Konga i Kamerunu. Ci drudzy znani są już z tego, że na powitanie wolontariuszek i wolontariuszy z organizacji pozarządowych śpiewają „Alleluja”. Około 80 osób to obywatele Federacji Rosyjskiej i Iranu (głównie Kurdowie). Jak szacuje litewski oddział Czerwonego Krzyża, spośród osób, które dotarły do kraju w czerwcu i lipcu, niemal 40 proc. stanowią kobiety i dzieci, a samotne matki, osoby z niepełnosprawnościami lub przewlekłymi chorobami – ok. 20 proc.

Kard. Bačkis wyraził nadzieję, że lokalni księża wyjdą do ludzi i pokażą im, że nie trzeba się bać przybyszów. Siostra Matulaitytė zapewniła, że będą w tym mieli wsparcie Caritasu, który w najbliższych tygodniach planuje ruszyć – we współpracy z artystyczną organizacją pozarządową Artscape – z projektem „budowanie mostów”, polegającym na zbliżaniu litewskich i uchodźczych rodzin żyjących na Litwie.

– Choć początkowo w niewielkim zakresie, chcemy by te relacje były przykładem dla innych, że można reagować inaczej, widzieć najpierw człowieka, a nie politykę – mówi dyrektorka Caritasu.

Kard. Bačkis: – Musimy zburzyć mur strachu i to jest dziś zadaniem dla Kościoła. Nie tylko w Litwie.

Tymczasem 29 lipca funkcjonariusze Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej podali, że zatrzymali w tym roku blisko 400 osób na granicy z Białorusią. Przez cały ubiegły rok takich zatrzymań było nieco ponad 100.

© KAROL WILCZYŃSKI

Autor jest współtwórcą strony SalamLab.pl – Laboratorium Pokoju.

ZUZANNA

Radzik: Las papieży



ZAWIODŁA NAS PODRÓŻ W DWA LITEWSKIE lasy. Więcej nawet niż dwa, ale te były szczególne i nieplanowane. Na początku była Suchowola, gdzie wyhaczyliśmy wzrokiem wystający nad miasto stalowy łuk z krzyżem.

Żartujemy, że ołtarz papieski. No, ale papież nie był chyba w Suchowoli? Sprawdzam. Papież nie, ale łuk z ołtarza z papieskiej wizyty w Białymstoku w 1991 r. przeniesiono tu w 1993 r. i wpisano w herb gminy.

Skoro już to sprawdzam, to dostrzegam na mapie, że Suchowola ma jeszcze jeden pomnik: obelisk środka Europy. Okazuje się, że nie jedyny. Środek Europy rzecz dyskusyjna, zależy jak kto mierzy. Suchowola w tej kategorii konkuruje z litewskim miasteczkiem Purnuškės niedaleko Wilna. Tam, w nieodległym lesie, korzystając z pretekstu, rzeźbiarz Gintaras Karosas stworzył plenerowe muzeum rzeźby współczesnej. Europos Parkas brzmi świetnie – tam chętnie pojedziemy. Ukłony dla Suchowoli za wskazówki.

Po drodze okazuje się jednak, że to nie jedyny park-las rzeźb na Litwie. Wcześniej, koło Druskiennik, trafiamy pod wieczór na składowisko rzeźb z czasów Radzieckiej Republiki Litwy. Niechciane, zdjęte z cokołów, upychane w magazynach, zgromadził tu w Grūtas potentat pieczarek. Teraz zwielokrotnione wersje Lenina, rzadziej Stalina, liczne Dzierżyńskiego i Mickievičiusa-Kapsukas zarastają tam mchem i jodłami. Z głośników kołchozowych radiowęzłów lecą sowieckie pieśni, całość ogradza drut kolczasty z gąłgu, przy wejściu bydlęcy wagon z wywózek. Trudno ogarnąć, co o tym myśleć, zwłaszcza że zmierzcha, a z jeziora i rzeczki wylazi mgła. Wrażenia dopełnia to, że oprócz egzotycznych rzeźb z minionej epoki w parku są też egzotyczne zwierzęta: lamy, strusie, emu i jakieś czarne łabędzie, a obok niepasujący tu zupełnie kangur albinos. Zwiedzamy wnikiwie, nawet boczne alejki z pomniejszych bezimiennymi partyzantami i gorliwie wydłubanymi z budynków witrażami. Dziwaczność tej turystycznej atrakcji trudno uchwycić. Jesteśmy sami, po nas zamykają bramy. Odprowadza nas pohukiwanie osowiałych pawianów.

Europos Parkas z kolei nie rozczarował. Pierwszy obelisk, dziś symbol tego muzeum na świeżym powietrzu,

stanął tu za sprawą Karosasa w 1991 r. Potem twórcy zapraszani byli do tworzenia dzieł dla tego właśnie miejsca. Niektóre bardzo dosłowne, inne zręcznie metaforyczne, nieco nieznośny Dennis Oppenheim, minimalistyczny Sol LeWitt. Wrastająca w las rzeźba Beverly Pepper „Odchodzenie: pamięci mojej babci”. Genialna, a jednocześnie dyskretna „YONI: W hołdzie Mariji Gimbutas”, którą już w 1994 r. wpisał w ten las japoński artysta Tei Kobayashi. Potężne, zarastające mchem głazy Abakanowicz, jakby stały tu od wieków i to je obrósł las, a nie one przywędrowały do niego. Niczym skamieniałe jaja, niewyklute: „Przestrzeń nieznanego wzrostu”. Nie pomyślałam wcześniej, że spacer po lesie to świetny sposób obcowania z monumentalną rzeźbą. I wtedy nachodzi nas myśl – gdzieś między Abakanowicz i rzeźbą środka Europy autorstwa Karosasa: czy w Polsce nie dałoby się zrobić w lesie parku rzeźb? Teraz to pewnie tylko rzeźby narodowej, pod patronatem Lasów Państwowych.

A wtedy kolejna myśl, że w sumie jest jasne, co nas przede czy później czeka. Gdy już kiedyś nastąpi budzenie z powierzchownej papolatry, zrobimy sobie park-las rzeźb papieża Polaka. Jeszcze nie teraz, bo młyny sekularyzacji wciąż mielą. Ale za kilkadziesiąt lat – jak znalazł. Młodzi już odchodzą rekordowo. Oby znalazł się wtedy i u nas potentat pieczarek, producent okien lub inny sponsor, który wydzierżawi kawał lasu, by pomieścić memorabilia epoki dominacji Kościoła i niegrabnego kultu polskiego papieża.

Trochę mnie ten pomysł przeraża, a trochę pociąga. Zwalistych, krzywych, niepodobnych do siebie papieży kiedyś gdzieś trzeba będzie podziąć. Takich jak ten brzydki, który mignął nam na jakimś rondzie Mazowsza czy Podlasia, lub kultycznych, jak ten kamień w Wigrach upamiętniający miejsce i dzień, gdy „ON stanął na tym brzegu”. Albo tę walizkę, która wystawiana jest w wigierskim klasztorze w papieskich apartamentach. Ciężko dzieciom wytłumaczyć, czemu jej nie wziął w dalszą podróż. A to mały wycinek kraju. Myślicie, że te pomniki nie przemijają? Czy nie mijają na naszych oczach? Trzeba będzie lasu a lasu.

Tylko co puścić z radiowęzła: papieskie kazania czy jednak po prostu „Barke”?

Tak, zapętłona „Barka”, zarastające mchem i lasem pomniki. Trochę zgłiszcza papieskiego kultu, trochę muzeum Polski.

Eksponaty tymczasem ciągle powstają. Udział premiera Morawieckiego w parafialnej mszy latem 2020 r. i wizytę na plebanii upamiętniono tablicą na kościele św. Marcina w Łebcu.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

26 tysięcy na 87. urodziny!

„Jeśli co rok będziemy dokładać po kilometrze, dokąd w końcu dojdziemy?”
– pyta ks. Adam Boniecki zawodników, którzy zdecydowali się przebiec,
przejeść lub przejechać na rowerach minimum 87 km na jego 87. urodziny.

Druga edycja zawodów trwała od 1 do 31 lipca. Wzięło w niej udział 146 osób, 93 z nich ukończyło rywalizację. Wspólnie pokonaliśmy 26 251,8 km, to – w przybliżeniu – jakby przebiec z Lizbony do Wławy i z powrotem. Niektórzy (zdobywcy pierwszych miejsc w swoich dyscyplinach) pokonali samotnie nawet ponad tysiąc kilometrów. Inni z zaangażowaniem i wysiłkiem dotarli do wymaganych 87. Jednych i drugich dużo to kosztowało. Ale zgodnie podkreślali, że zdecydowali się poświęcić swój czas, wysiłek i zmęczenie ze względu na osobę Solenizanta – bardzo im bliską i szczególnie dla nich ważną.

Razem pokonaliśmy 26 251,8 km.

**W tym: biegiem: 10506,43 km
chodząc: 4344,77 km
rowerem: 11400,6 km**

Oto Zwycięzcy i Zwyciężczynie rywalizacji w poszczególnych dyscyplinach:

BIEG

1. Paweł Szulwach z Gdańska – 1250,49 km
2. Paweł Pyrzak z Warszawy – 561,09 km
3. Adam Polko z Dąbrowy Górniczej – 434,59 km

1. Maria Ponikiewicz z Krakowa – 476,52 km
2. Ewa Gęca z Krakowa – 470,65 km
3. Magdalena Barańska z Warszawy – 338,71 km

CHÓD

1. Adrian Iwanowski z Warki – 547,14 km
2. Krzysztof Karpiel z Getafe, Hiszpania – 212,86 km
3. Krzysztof Gołębiowski ze Skoczowa – 136,36 km

1. Izabela Skorstad z Trondheim, Norwegia – 441,03 km
2. Danuta Żelazna-Krupa z Przeworska – 361,98 km
3. Eleonora Wesołowska z Ostrowca Świętokrzyskiego – 244,88 km

ROWER

1. Jan Wesołowski z Ostrowca Świętokrzyskiego – 2387,88 km
2. Paweł Adamus z Warszawy – 1442,2 km
3. Krzysztof Zubik z Chrzanowa – 1083,11 km

1. Ewa Nowakowska z Krakowa – 1077,6,92 km
2. Ewa Wolny z Bielska-Białej – 631,03 km
3. Anita Matyskiel z Gdańska – 602,55 km

Nagrody otrzymają także – za ostatnie miejsce
wśród zawodników, którzy pokonali 87 km:

BIEG Paola Kołodziej z Krakowa – 87,01 km
Jacek Marek z Piekar Śląskich – 87,1 km

CHÓD Dorota Lutognewska z Gliwic – 87,55 km,
Kazimierz Adamiak z London, Kanada – 109,14 km

ROWER Małgorzata Kaźmierczak z Warszawy – 117,56 km
Lech Giemza z Lublina – 107,87 km

**Nagrody pocieszenia
z okazji urodzin ks. Adama (25 lipca):**

Olga Kuras, Tomasz Lisiecki,
Anna Maćkowska, Adam Marlewski,
Agnieszka Krupa, Andrzej Dobrzeńewski

Serdecznie gratulujemy zwycięzcom i wszystkim
uczestnikom i dziękujemy za udział w rywalizacji!
Szczególne podziękowania dla p. Marka Zielińskiego
z firmy DATASPORT – współorganizatora zawodów.

KAŻDA LITERA ODCZYTANA Z ZATARTEJ CZASEM
MACEWY TO POCZĄTEK HISTORII, KTÓRA NABIERA
ROZPĘDU I ZATACZA CORAZ SZERSZE KRĘGI.
ABY ZACZAĆ JĄ OPOWIADAĆ, MUSISZ RZUCIĆ
NA KAMIEŃ ŚWIATŁO PAMIĘCI.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 33/2021

**DODATEK
SPECJALNY**



UKOS ŚWIATŁA

REŻYSERIA: WOJCIECH SZUMOWSKI | PRODUKCJA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO



Powyżej: Wojciech Szumowski i Dariusz Popiela. Kraków, 4 lipca 2021 r.
Na okładce: kadr z filmu „Ukos światła”. Dariusz Popiela oświetla macewę
na cmentarzu w Czarnym Dunajcu.

Fundacja Tygodnika Powszechnego jest producentem filmu dokumentalnego „Ukos światła” według scenariusza i w reżyserii Wojciecha Szumowskiego.

Bohater filmu Dariusz Popiela, olimpijczyk oraz założyciel Fundacji Rodziny Popielów „Centrum”, walczy o przywrócenie pamięci o naszych żydowskich sąsiadach. „Ukos światła” to opowieść o odbudowie zniszczonego cmentarza żydowskiego w Czarnym Dunajcu, jednej z podhalańskich miejscowości, w których Popiela prowadzi działania w ramach projektu „Ludzie, Nie Liczby”. Każde imię i nazwisko odczytane z odnalezionnej, zatartej czasem macewy to początek procesu odpominania jednostkowych historii ofiar Zagłady. By ten

proces rozpocząć, należy rzucić na kamień światło pamięci. Odnaleźć świadków, poprosić ich o przywołanie z głębin pamięci koleżanki z klasy, kolegi z podwórka, sąsiadów zza ściany, o wspomnienie ich zniknięcia i własnej bezradności. A potem wraz z lokalną społecznością spotkać się na odtworzonym z pietyzmem cmentarzu i chóralnie odczytać listę imion i nazwisk tych, którzy, choć odeszli, jak mogłoby się wydawać, w zapomnienie, teraz wrócili i już pozostaną w ludzkiej pamięci.

Popiela gromadzi wokół siebie ludzi, którzy nie zgadzają się na nazistowski plan wymazania żydowskiej społeczności z kart historii. „Ukos światła” to nie opowieść o jednym człowieku, lecz o wszystkich, którzy swoimi działaniami pielęgnują żydowską pamięć, historię i kulturę, a także – i przede wszystkim – o tych, z którymi niegdyś żyliśmy

po sąsiedzku, a którzy nie mogą już o tę pamięć walczyć. Odzyskane nazwiska i historie pokazują, jak wielkiego zubożenia doznały polskie wsie, miasta i miasteczka, które były kiedyś naszym wspólnym domem.

Skąd tytuł „Ukos światła”? Tak mówi o tym Wojciech Szumowski: – Młode twarze pochylone nad macewą. Płaska, zniszczona, kamienna powierzchnia z kwarcytu, marmuru, piaskowca. Na niej majaczące zarysy liter. Nie do odczytania. Aby to uczynić, trzeba odpowiednio je oświetlić, trzeba ukosu światła, który wydobędzie zatartą treść. Unikalna scena odzyskiwania starej macewy leżącej pod stodołą w Czarnym Dunajcu zawiera w sobie główną ideę filmu. I nie jest to kolejny film o Zagładzie. To film o zjawisku, które dzieje się w wielu miejscach w Polsce od wielu lat. O odzyskiwaniu pamięci o żydowskich sąsiadach.

Wierzmy w siłę opowieści, która zawsze zwycięża niepamięć. Właśnie dlatego produkcja ta jest dla nas wyjątkowo ważna. Dzięki niej odzyskane przez Dariusza Popielę historie będą miały szansę zatoczyć jak najszerzy krąg. Snucie tej opowieści jest naszym wspólnym obowiązkiem. Jak mówi sam bohater filmu: – W judaizmie jest micwa, czyli dobry uczynek, kiedy robisz coś dla zmarłego: pamiętasz o nim, zostawiając kamień, dbasz o grób. Czynisz to bezinteresownie, bo ta osoba nie może ci podziękować.

I to jest najpiękniejsze w tej pracy.

Każdy bezinteresowny gest uczyniony z myślą o ofiarach Zagłady jest kolejnym krokiem w walce z niepamięcią. O tym opowiada produkowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego film „Ukos światła”.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 33-2021 | WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

REDAKCJA Maciej Müller | PROJEKT GRAFICZNY Marek Zalejski | PROJEKT OKŁADKI I SKŁAD Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA Jacek Taran

KOREKTA Anna Chojowska-Szymańska i Sylwia Frołow | WSPÓŁPRACA WYDAWNICZA Agnieszka Wenderska



WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA” i opowiedz tę wyjątkową historię z nami. Weź udział w zbiórce na platformie Kickstarter i otrzymaj nagrody za wybrany próg wsparcia na powszech.net/wsparcie lub wpłać darowiznę bezpośrednio

na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu wpisując „Ukos światła”.

Santander Bank Polska S.A. nr 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001.

Dziękujemy za wsparcie!

PARTNERZY





Lekcje płynące

DARIUSZ POPIELA, KAJAKARZ:

Wracałem z zawodów w dresie z polskim godłem. Na Rynku w Krakowie była manifestacja nacjonalistów i pomyślałem: też tak wyglądam. Źle się z tym poczułem, ale z drugiej strony, przecież mam takie samo prawo do tego orzełka jak oni.

DARIUSZ POPIELA jest sportowcem, olimpijczykiem, startuje w konkurencji kajakarstwo górskie. Wielokrotny medalista mistrzostw świata, dwukrotny mistrz Europy. Stworzył projekt „Ludzie Nie Liczby” zmierzający do upamiętniania zapomnianych ofiar Holokaustu. Laureat nagrody im. ks. Stanisława Musiała, przyznawanej osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiego.

JACEK TARAN: Jakie znaczenie w Twoim życiu mają rzeki?

DARIUSZ POPIELA: Nad rzeką zaczęło się wszystko, co ważne. Nad Wisłą poznałem żonę – znaleźliśmy się wprawdzie w dzieciństwie, ale to tutaj zaczęła się na nowo nasza znajomość. Byłem po zawodach, ona miała praktyki studenckie niedaleko. Jeszcze mokry ciągnę kajak, oczy zalane, nic nie widzę, a tu ktoś podbiega: „Cześć, Darek”. Najlepsze, co spotkało mnie w życiu.

Ale z rzekami wiążą się też złe chwile. Raz niewiele brakowało, żebym się utopił. Miałem dziewięć lat i wyrzuciłem się w kajak. Nie mogłem się z niego uwolnić, bo zlekceważyłem wcześniejsze zalecenia trenera. Dobrze, że koledzy byli blisko i mnie wyratowali.

Twoje upamiętnianie ofiar Holokaustu również zaczęło się nad rzeką.

W Nowym Sączu trenowałem na Dunajcu, pomiędzy dwoma mostami. Kiedy się dowiedziałem, że w tym miejscu stali sądeccy Żydzi i że byli z niego zapędzani do bydlęcych wagonów, którymi ich wywożono do Bełżca, przeżyłem szok. Stali w rzędach, całe rodziny, ściskali klucze od domów z nadzieją, że wrócą, i patrzyli na miasto. Na ten sam widok, który codziennie widziałem na treningach. Spędziłem całe lata nad tą rzeką i o tym nie wiedziałem! To mną wstrząsnęło – no bo jak to? Można tu żyć i nie wiedzieć o największej tragedii swojego miasta? Zaczęliśmy wtedy działać z Sądeckim Sztetlem, z Łukaszem Połomskim, Arturem Franczakiem, ale to mi nie wystarczało. Ciągle miałem poczucie, że to za mało.

Przez Krościenko płynie ten sam Dunajec – znów rzeka. Prof. Jerzy Żołądź z AWF zwrócił mi uwagę, że tam jest cmentarz żydowski. W pobliżu często mieliśmy treningi, zawody, a ja nawet nie wiedziałem, że kilkaset metrów dalej znajduje się cmentarz, po którym prawie nie ma śladu – nie widać macew, nie ma ogrodzenia. Zatrzymałem się raz, żeby zobaczyć to miejsce, wszedłem i... już nigdy nie wyszedłem z tego cmentarza. Zostałem z nim, on został we mnie na zawsze.

Sportowiec, olimpijczyk, prawnik, działacz społeczny – kim jest dzisiaj Dariusz Popiela? ➔

→ Człowiekiem, który marzy. Jestem zawodowym sportowcem, wyczynowcem, ale temat upamiętnień definiuje mnie najbardziej i myślę, że sport też się do tego przyczynił. Poprzez podróże i kontakty z innymi kulturami stałem się kimś, kto chce rozumieć inność i różnorodność. Idea olimpizmu, pobyt w Pekinie dały mi wrażliwość na inne kultury. Sport nauczył mnie też tego, że zadania trzeba realizować do końca, nie poddawać się. Częściej przegrywałem, niż wygrywałem, bo taki jest los sportowca, ale to mi dało siłę, żeby się nie załamywać, tylko wstać i robić swoje. Ciągłe jestem też człowiekiem poszukującym odpowiedzi na pytania o wiarę, o światopogląd, o dobro i zło. O to, czym kierują się ludzie, którzy nie chcą dostrzec dobra.

Znajdujesz odpowiedzi?

Nie zawsze, ale to, co najcenniejsze, odkryłem w sobie. To chęć poznawania nowych ludzi. Kiedyś byłem bardziej zamknięty.

No i ciągle nie potrafię zrozumieć, że to, czym się zajmuję, może budzić kontrowersje. Zginęły trzy miliony Polaków pochodzenia żydowskiego, naszych sąsiadów – i to nie jest postrzegane jako największa tragedia w historii, nie funkcjonuje w zbiorowej świadomości. Niby znam mechanizmy, które do tego doprowadziły, ale zastanawiam się, dlaczego nie możemy im zaprzeczyć. Przecież oni też byli Polakami, mieszkali tu od pokoleń. Jestem reprezentantem Polski, ten orzełek, który noszę na zawodach, jest dla mnie ważny i nie rozumiem, dlaczego my jako państwo nie potrafimy pamiętać o nich przywrócić. Dlaczego państwo tego nie chce?

Po co sportowcowi żydowskie cmentarze? Nie mógłbyś tym kajakiem sobie pływać, a potem leżeć na plaży i wypoczywać po treningu?

Często słyszę to pytanie, nawet mój tata na początku powtarzał: „po co ci to?”. Życie sportowca jest wypełnione treningami, wyjazdami, nie ma czasu na inne zajęcia. Ale tematyka Zagłady ma w sobie magnetyzm, którego nie da się pokonać. Widzę to też po ludziach, z którymi współpracuję – jak wchodzisz w ten temat, to on z tobą zostanie na zawsze, nie uciekniesz od niego.

Zagłada jest w nas. Byłem niedawno na treningach na Reunion. Piękna plaża,

ocean, słońce – wydawałoby się, że można zapomnieć o całym świecie. Ale to niemożliwe. Życiorysy tych osób, których historie poznaję – Henia narciarza, Luśka, Mundka, stolarza z Krościenka – są częścią mnie. Noszę w sobie historie, które były dotychczas nieopowiedziane, i staram się innych nimi zainteresować. Poza tym jako reprezentant Polski uznałem, że powinienem znać historię mojego kraju. W szkole poznałem wielkie bitwy, rocznice, daty. Ale to było za mało. Zaczęłem odkrywać, że poza głównym nurtem mamy ogromne pokłady historii, o której się nie mówi. To milczenie jest szczególnie widoczne w kontekście ofiar żydowskich. Kiedy zacząłem zgłębiać temat, okazało się, że jest niezwykle ważny dla mojego poczucia patriotyzmu. Czułem, że w ten sposób definiuję swoje pojęcie obywatelskości i uznałem, że to mój obowiązek jako reprezentanta Polski. Nie mam wsparcia ze strony środowiska sportowego, ale nie przejmuję się tym. Wiem, co powinienem robić.

Czym jest dla Ciebie patriotyzm?

Pojęciem, które powinniśmy odkłamać. Ono zostało zawłaszczane przez nacjonalistów, przez co wiele osób, które czują się patriotami, obawia się do tego przyznać. Odczułem to kiedyś na własnej skórze – wracałem z zawodów przez Rynek w Krakowie, byłem w dresie z orzełkiem i w pewnym momencie pomyślałem, że mogę być definiowany jako nacjonalista. Złe się poczułem z tym, że ktoś może mnie tak odbierać. Ale z drugiej strony, przecież mam takie samo prawo do tego orzełka jak oni.

Dla mnie dbałość o ofiary Holokautu jest działaniem patriotycznym. Rozumiem patriotyzm przede wszystkim jako akceptację każdego, kto chce tu żyć, bez względu na religię, kolor skóry, seksualność. Ta wizja jest mi najbliższa. Sportowcy wzruszają się, słysząc Mazurka Dąbrowskiego. Kryje się za tym historia ciężkiej pracy, często wielu wyrzeczeń, koszt dojścia do tego momentu. To budzi ogromne emocje: słyszysz hymn i wiesz, że grają go dla ciebie. Nie wyobrażam sobie, że z racji tego, czym się zajmuję, ktoś mi powie, że nie zasługuję na wysłuchanie hymnu, gdy stoję na podium.

Czym zatem jest dla Ciebie polskość? Co to znaczy być prawdziwym Polakiem?



Wielki wpływ wywarł na mnie Paweł Jasienica. Odnajduję w jego książkach prawdę o tym, że żyjemy w kraju, którego historia nie składa się tylko z bohaterów kart. Mamy też ciemne strony i nie trzeba ich skrywać, tylko nauczyć się o nich mówić, a jeśli będzie trzeba, to przeprosić.

Przeprosiny wystarczą?

Nie. Trzeba próbować coś zmienić, przekuć na lepsze. W tę myśl wpisują się działania, które podejmujemy w małych społecznościach, takich jak Grybów czy Czarny Dunajec.

Ktoś mi napisał, że gdybym zajmował się żołnierzami wyklętymi, byłoby mi łatwiej. Pewnie tak, pewnie to by było odbierane jako patriotyzm, a tu hasła „Żydzi” i „patriotyzm” wielu osobom się ze sobą nie łączą. Tylko że mnie się akurat łączą. Przecież skoro widzę na zdjęciu Szlomo Horowitza z Czarnego Dunajca w mundurze Wojska Polskiego i skoro wiem, że zginął we wrześniu 1939 r. za Polskę, to jak mam go nie nazywać patriotą? Z podziwem wspominam przemowę Mariana Turskiego w Auschwitzu. On pod-



Jedna z macew wydobytych na lotnisku w Nowym Targu. 12 maja 2021 r.

On podkreślał, że Auschwitz nie spadł z nieba, Auschwitz dreptał i zbliżał się małymi kroczkami. Trzeba z tych słów wyciągnąć naukę, że czerwone lampki ostrzegawcze powinny się zapalać w głowach o wiele wcześniej.

Myślisz, że teraz powinny się świecić?

Jak najbardziej. Jestem przerażony tym, jak bardzo w ciągu ostatnich lat zmienił się język, jak wracają najgorsze stereotypy dotyczące Żydów, jak dużo nienawiści budzą osoby LGBT+. W Nowym Sączu byłem na pierwszym marszu w ich obronę – była nas garstka, może 15 osób, ale uważałem, że jako ktoś zajmujący się upamiętnieniami prześladowanych powinienem tam być. Przecież język, który znamy z lat 30. minionego wieku, dziś służy do atakowania osób homoseksualnych. Nie można tego bagatelizować, mówić, że przecież nic się nie dzieje, że to przesada. Nie – trzeba zawsze stać przy tych, którzy są prześladowani. Te „strefy wolne od LGBT” to skandal i wstyd na cały świat. A wszystko się bierze z tego, że jako naród nie odrobiliśmy lekcji płynącej z Zagłady.

Powtarzasz czasem, że to, co robisz, to zadawanie ciosu nazistowskiemu oprawcom. Jak to rozumieć?

Próbuję nadać naszemu działaniu sens, który byłby zrozumiały dla jak najszerszego grona. W mówieniu o Zagładzie powinniśmy zapomnieć o wyznaczaniu stron tej dyskusji – nie mówić o stronie polskiej i żydowskiej. To po prostu historia nas wszystkich, to się wydarzyło na naszych ziemiach.

Zło, niestety, zwyciężyło. Żydzi praktycznie zniknęli z polskich ziem i wiele zrobiono, by o nich zapomnieć. Dla wielu to zamknięty rozdział – były obozy, Żydów zamordowano, koniec. Ale z moich działań widzę, że ta historia ciągle jest żywa. Triumf zła był tak silny i wzmocniony później przez władze komunistyczne, że kiedy dziś zaczynamy jakiś nowy projekt, to pierwsze słowa, jakie słyszymy, często brzmią: „wróć Żydz i zabiorą kamienice”. A cmentarze żydowskie, nie dość, że dewastowane, to jeszcze w sferze nazewnictwa stały się czymś gorszym. Mówiono „kirkut”, „okopowisko”, jakby bano się słowa „cmentarz”, które uczłowiecza pamięć,

daje inną świadomość tego, czym jest to miejsce. Dla mnie żenujące jest to, iż będąc u wójta, muszę mu tłumaczyć, że leżą tam ludzie. Że to byli mieszkańcy jego gminy, mieli marzenia, problemy, tutaj żyli, płacili podatki. Nie należy im się pamięć, nie należy im się posprzątać cmentarza? Jak słyszę „niech se Żydzi sami odnowią”, to pytam – a kto z nich przeżył? Czy mają wstać prochy z obozów koncentracyjnych i odnawiać cmentarze?

Naprawdę tak mówisz do wójta?

Nie. Staram się jednak tak rozmawiać, żeby potem – jak w Krościenku czy Czarnym Dunajcu – wójt sam włączył się w działania, witał potomków na ziemi ich pradziadków, dostrzegał, że to, co robimy, ma wartość dla całej społeczności gminy.

W tym sensie mówię o zadaniu ciosu nazistom. Przecież to im zależało, żeby nie został żaden ślad po Żydach. Chcemy pokazać, że to się nie udało. Każde imię wypisane na pomniku, każdy przypominany życiorys odwraca tamte działania.

To działa zresztą szerzej: lekcja Zagłady może wpływać na naszą przyszłość, na kolejne pokolenia. Rozmawiam na te tematy z moimi córkami, a u mnie w domu się o tym nie mówiło. Projekt „Ludzie, Nie Liczby” ma zadawać cios złu. I dzieje się tak, jak w Czarnym Dunajcu – mieszkańcy dostrzegali, że to może być ich cmentarz, ich miejsce. Coś, co było zarosniętą chaszczami dziką łąką, staje się perełką, która współtworzy ich tożsamość, a to, co robią, to nie są działania dla wójta, tylko dla nich samych i dawnych mieszkańców ich miejscowości. Jasne: nie przywrócimy im życia, ale możemy pokazać, że historia się nie zakończyła, oprawca nie wygrał ostatecznie.

Przy każdym cmentarzu wynajdujesz w archiwach postaci, które stają się Twoimi bohaterami, stają ci się bliskie, np. Henio – narciarz z Krościenka.

Jest mi bliski może dlatego, że tak jak ja był sportowcem, jeździł na nartach wyścigowo. Oczywiście nie da się zapamiętać wszystkich osób z pomników, bo to już są tysiące. Ale zawsze myślę o Heniu, o Szlomusiu, o Salomoni, o dziewczynkach: Racheli i Salomei z Kołaczyc. Mieli takie same dylematy życiowe jak ja, ty czy

→ nasze dzieci. Te historie zawsze ze mną będą, stały się częścią mnie.

Jestem osobą twardo stającą po ziemi, ale odkąd zajmuję się upamiętnieniami, zdarzają mi się sprawy, o których można by powiedzieć, że nie dzieją się przypadkowo.

W Czarnym Dunajcu staliśmy z Karoliną Panz i Michałem Szaflarskim przy budynku synagogi dokładnie następnego dnia po tym, jak z archiwów poznałem tragiczne losy sklepikarza Józefa Lehrera i jego córki Reginy. W pewnym momencie minął nas starszy człowiek. Zawrócił i zapytał, co robimy – odpowiedzieliśmy, że oglądamy synagogę. Odszedł, ale znów wrócił i pyta, dlaczego akurat synagogę. Zaczęliśmy mu opowiadać o projekcie dotyczącym odnowy cmentarza. I on na to: „A słyszeliście o takim Lehrze? Miał tu sklep. Mój tata pracował u niego 15 lat na kasie i był jego najbardziej zaufanym pracownikiem!”. Rozpoczął opowieść o tym, jak ten sklep wyglądał, jakie były towary, zapachy.

Tego nie znajdziesz w żadnych aktach. I co jest niezwykle: te historie same przychodzą do nas, mocą jakichś niezwykle zbiegów okoliczności. Chcę wierzyć, że pomoc idzie z góry, bo robimy coś dobrego.

Kiedy przyjeżdżasz pierwszy raz na taki zapuszczonego cmentarz, jakie emocje Ci towarzyszą?

Najmocniej odczułem to w Krościenku: bunt. Jak to możliwe, że tu jeździ autobus, ludzie chodzą, a krok od nich leżą ich pomordowani sąsiedzi? Potem się przekonałem, że wszędzie tam są osoby, które chcą coś zrobić, które czują podobnie jak ja, tylko brakuje im impulsu do działania. Nie mam pretensji, bo to nie jest łatwe. To się może wiązać z ostracyzmem, z nieprzychylnymi komentarzami, potrzeba odwagi. Mnie jest łatwiej, bo przychodzę z zewnątrz. Ja się nie będę przemawiał tym, że sąsiadka na mnie krzywo popatrzy albo ktoś zapyta, ile mi ci Żydzi za to płacą. Ja mówię, że naszym projektem chcemy wypełnić lukę, która pozostała po eliminacji społeczności żydowskiej z jakiegoś miasteczka czy wioski, i to się udaje.

Pamiętasz ten cytat: „Z nami przesłanie, pojednanie to zadanie”?

To fragment utworu rapowego z mojej płyty. Dla mnie ta płyta i cała działal-

Ktoś mi powiedział, że gdybym zajmował się żołnierzami wyklętymi, byłoby mi łatwiej. Pewnie to by było odbierane jako patriotyzm, a tu hasła „Żydzi” i „patriotyzm” wielu osobom się ze sobą nie łączą. Tylko że mnie się akurat łączą.

ność muzyczna, którą krótko, ale dość intensywnie prowadziłem, były jak lot na Księżyc, zupełnie inna przygoda w życiu. Po latach, całkiem niedawno, słuchałem tego z córkami i myślę, że to nie było złe.

Ta płyta też zrodziła się z buntu: okazało się, że mimo iż przeszedłeś eliminacje, to jednak na olimpiadę do Aten pojechał ktoś inny...

To był dla mnie trudny czas, niewiele brakowało, a zupełnie odłożyłbym karierę sportową i porzucił kajaki. Byłem rozczarowany – możesz ciężko pracować, zrobić świetny wynik, a potem i tak zostajesz w domu przez jakieś układy, których nie rozumiesz. Rap dał mi wtedy możliwość wyżycia się i był dla mnie kołem ratunkowym. Zamykaliśmy się z kolegą w starym domu jego babci i działaliśmy. Miałem zakaz startów, żeby nie wygrywać z tymi, którzy w niejasnych okolicznościach zostali zakwalifikowani na olimpiadę. Musiałem sobie znaleźć jakieś miejsce i ta twórczość dała mi wówczas siłę, żeby podnieść się z kolan. Jeździliśmy na koncerty, na jakieś spotkania ekip raperskich. Niektóre przyjaźnie z tamtego czasu przetrwały do dziś.

„Pojednanie to zadanie”. Kogo powinno dotyczyć to pojednanie?

Często się słyszy, że to powinno być pojednanie polsko-żydowskie, ale ja tak tego nie postrzegam, bo przecież Żydzi byli też Polakami, wielu z nich tak się identyfikowało. Kiedy do Grybowa przyjechał Howard Unger, potemek jednego z grybowskich rodów, opowiadał mi przykrą historię. Kiedy 15 lat wcześniej pierwszy raz odwiedził Grybów z ojcem,

zastali cmentarz zamknięty na kłódkę, zarośnięty krzakami jak džungla. Płakali pod bramą, bo nie dało się wejść, nie było macew, a w mieście wytykano ich palcami. A teraz przyjeżdża i płacze, ale z innego powodu – ze wzruszenia, że znaleźli się ludzie, którzy zadbali o tę pamięć. Ściskamy się, płacemy razem – i to jest istota pojednania. A nie kwestia porozumienia z Izraelem, jak niektórzy sądzą – przecież tego państwa wtedy nie było. Tu chodzi o upamiętnienie sąsiadów, pojednanie z ofiarami i oddanie sprawiedliwości ich istnieniu.

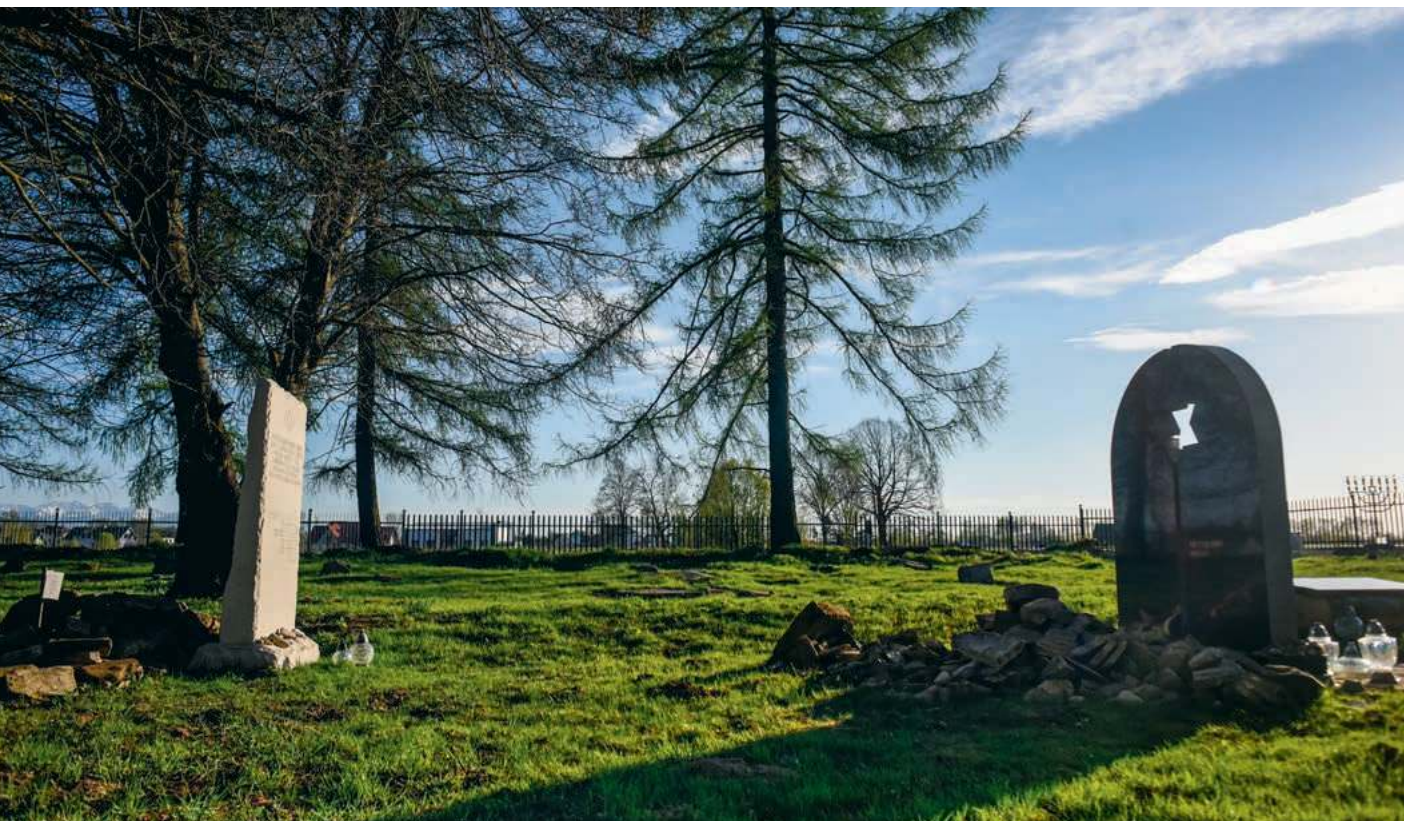
A co z pojednaniem pomiędzy Polakami a Polakami? Myślisz, że jest możliwe?

Nie wiem. Padło tyle słów, rządzący wykonali tyle gestów wykluczających, że na dobrą sprawę nie powinno być już dialogu. Przecież często o tym słyszymy – profesorowie nie chcą odbierać nominacji od prezydenta, ktoś rezygnuje z odznaczeń. Ale na dłuższą metę tak się nie da: te podziały idą przez środek rodzin, przez środowiska pracy. Musimy się jakoś zatrzymać w tym szaleństwie, bo przecież wcześniej czy później władza się zmieni, a ludzie o tych poglądach zostaną. Jak będziemy żyć? Będzie jakaś wendeta? Nie możemy do tego dopuścić.

Działając na Podhalu, spotykam się z przedstawicielami tej władzy i z jednej strony nie chciałbym mieć z nimi nic wspólnego, ale idę do nich, rozmawiam i robimy coś wspólnie. I to, co jest najpiękniejsze: potem spotykamy się na cmentarzu. Mam powiedzieć – dla pana nie ma tu wstępu, bo pan reprezentuje opcję, z którą fundamentalnie się nie zgadzam? Ale z drugiej strony: czy mogę powiedzieć osobom LGBT, które są obrzucane kamieniami, że mają się z nimi pojednać? To jest cholerny klincz i nie wiem, jak z niego wyjść. Jest mi duszno, jest mi źle i nie chcę żyć w takim kraju.

Myślałeś o tym, żeby wyjechać?

Ludzie mi tak mówią czasami: jak ci się nie podoba, to wypad. Nie zgadzam się z takim stawianiem sprawy. To jest tak samo moje miejsce, jak i tych, którzy próbują nas zacządzić i podzielić. Nie wyobrażam sobie życia gdzieś indziej. Nie mam problemu z tym, żeby dłużej mieszkać gdziekolwiek poza Polską, bo tak wygląda moje życie zawodowe, ale tu



CZARNY DUNAJEC. Pomnik pamięci na cmentarzu żydowskim, postawiony dzięki Fundacji Rodziny Popielów „Centrum”, 12 maja 2021 r.
Prace porządkowe, 17 lipca 2020 r.

jest moje miejsce, tu chcę wracać i wychowywać moje córki. Wiem, że coraz więcej ludzi wyjeżdża nie z przyczyn ekonomicznych, tylko z powodu atmosfery nienawiści. Mają dość i doskonale ich rozumiem, bo ileż można się szarpać o tak podstawowe sprawy, jak bycie razem z kimś, kogo się kocha?

Wiesz, miałem wiele ciężkich rozmów z moim tatą i z teściem na temat tego, co robię na żydowskich cmentarzach, ale teraz oni są pierwszymi osobami chętnymi do pomocy. Zawsze mogę na nich liczyć.

Czy zatem żydowskie cmentarze mogą nas pojednać?

Ja nie jestem specjalistą od psychologii, od manipulowania ludźmi. Ja przypominam o ofiarach. Jak ktoś mi mówi o żydokomunie, to pytam: a co ma z tym wspólnego Estera lat 14, Salomon lat 6, jaka to żydokomuna? Jedno z żydowskich przykazań głosi, że zrobienie czegoś dla zmarłych należy do najważniejszych dobrych uczynków, bo zmarły już ci nie podziękuje, a ty nie możesz oczekiwać wdzięczności. I to jest coś, co mnie definiuje. Robię to wszystko dla nich. I choćbym miał stać na tym cmentarzu sam jeden, nie przeistanę.

© Rozmawiał i fotografował JACEK TARAN





CHCEMY WYSŁAĆ DZIECI DO SZKÓŁ

Dokonały wiele, ale przed nimi jeszcze długa droga.
Oto historie matek, które walczą o pokój w najmłodszym państwie Afryki.

TEKST I ZDJĘCIA: NATALIA OJEWSKA Z MALAKAL (SUDAN POŁUDNIOWY)



*Mimo różnic są razem.
Członkinie Unii Kobiet należą
do Dinków i Szyluków
– ludów, które ostatnie
wojny obróciły przeciw sobie.
Malakal, maj 2021 r.*

SŁOŃCE WSCHODZI TU ZAWSZE KRÓTKO przed szóstą rano. Powietrze jest wtedy przesiąknięte rześkością nocy. Jednak rosnąca w okamgnieniu temperatura potrzebuje tylko kilkudziesięciu minut, aby nadać mu charakter typowy dla półpustynnego klimatu – staje się wtedy gorące i duszne. Czasem, gdy zniknie rozrzedzająca je bryza znad Białego Nilu, nabiera nieznosnej ciężkości. Zasysa oddech.

Malakal, stolica południowosudańskiego stanu Górny Nil, szczyliło się kiedyś reputacją miasta o kluczowym znaczeniu dla transportu infrastruktury do wydobywania ropy naftowej z oddalonych o 140 kilometrów pól Adar Yale. Od zakończenia w 2018 r. pięcioletniej wojny domowej wygląda jednak wciąż tak, jakby ostatnie strzały padły tam kilka dni temu.

Ten świst

W sobotni rano 27 marca 2021 r. słońce bezlitośnie ogrzewało opustoszałe ulice tętniącego niegdyś życiem miasta, drugiego pod względem wielkości w Sudanie Południowym.

Tego dnia 46-letnia Rebecca Anyiel z ludu Dinka, matka szóstki dzieci, poszła na rynek. Po drodze mijała wraki podpalonych samochodów, porzuciła dachy domów, noszące ślady ognia szkielety metalowych krzeseł i łóżek. Czuła ponurą aurę wspomnień o gwałtach, mordach, przymusowych przesiedleniach, rabunkach i masowych zniszczeniach.

Zdążyła przejść tylko kawałek, gdy usłyszała świst kul wystrzelonych z karabinu maszynowego AK-47. W tym kraju każdy zna dźwięk wojny. Każdy zna jej zapach. I paraliżujący lęk o własne życie. Każdy uciekał choć raz, aby je ocalić. Wszyscy znają ból śmierci ukochanej osoby.

Instynkt kazał Rebecce natychmiast zawrócić. Dostrzegła biegnące w panice, przerażone jak ona kobiety. Rozpoznała, że są z ludu Szyluków.

– Powiedziałam, że mogą schronić się u mnie w domu i wspólnie zaczekamy, aż wszystko się skończy – opowiada Rebecca. Jest członkinią Unii Kobiet, lokalnej organizacji propagującej pokój i stabilizację. Wie, że w Malakal najmniejszy nawet konflikt może w minutę eskalować do regularnych walk: – Zadzwońłam do wodza, aby ustalić, co się dzieje. On też otworzył drzwi swojego domu dla Szyluków.

Gubernator wyładował

W tę samą sobotę na wyasfaltowanym pasie startowym małego lotniska w Malakal, którego budynki wciąż noszą ślady kul, wyładował rządowy samolot z Budhokiem Ayangiem Kurem, świeżo nominowanym gubernatorem stanu Górny Nil na pokładzie. Jest on synem nieżyjącego już króla Ayanga Anaia Kura, który przez Szyluków postrzegany jest jako wcielenie mitycznego Njanga, protoplasty i pierwszego króla rodu.

Jego przybycie wzbudziło emocje. Powołano go jako ostatniego z dziesięciu gubernatorów, którzy rozpoczęli pracę w lipcu 2020 r. Tylko jego skórzany fotel, w pozbawionej elektryczności siedzibie rządu lokalnego Górnego Nilu, stał pusty przez prawie dziesięć miesięcy.

Tyle czasu potrzebował Salva Kiir, prezydent Sudanu Południowego, na podjęcie ważnej i delikatnej decyzji o tym, kto obejmie stanowisko w stolicy stanu, w którym znajdują się wszystkie zasoby ropy naftowej, stanowiące 98 proc. przychodów w budżecie kraju.

Wypędzenie, zasiedlenie

Przez ostatnie dwieście lat mieszkające w Górnym Nilu ludy Dinka i Szyluk koegzystowały w spokoju. Szylukowie, osiedleni głównie na zachodnim brzegu Białego Nilu, stworzyli w XV w. scentralizowane królestwo ze sprawnie funkcjonującą administracją. Dziś są najliczniejszą grupą etniczną w regionie i prowadzą osadniczy tryb życia.

Na rozległych obszarach na wschód od rzeki mieszkają Dinkowie. W Sudanie Południowym są najbardziej wpływową grupą etniczną. Prowadzą półkoczowniczy tryb życia, którego podstawą jest hodowla bydła.

Trwające od lat 50. XX w. wojny i konflikty między różnymi grupami etnicznymi zwróciły Szyluków i Dinków przeciwko sobie. Do dziś trwają w sporze o to, do kogo należy ziemia, na której powstało Malakal, oraz równinne pasma po wschodniej stronie Białego Nilu.

Konflikt odżył w grudniu 2013 r., gdy prezydent Kiir (Dinka) oskarżył wiceprezydenta i swojego odwiecznego rywala Rieka Machara (Nuer) o spiskowanie. Najmłodsze państwo świata pogrzyzło się w wojnie. W trakcie walk między armią rządową a rebeliantami wiernymi wiceprezydentowi Malakal było odbijane z rąk do rąk dwanaście razy.



Obóz dla tzw. wewnętrznych przesiedleńców powstał w 2013 r., na początku wojny domowej, gdy przerażeni cywile schronili się w bazie sił pokojowych ONZ, szukając tu ratunku przed kulami. Dziś mieszka w nim ok. 30 tys. rodzin z ludu Szylluk. Kwiecień 2021 r.

⇒ Raport ogłoszony w 2018 r. przez Radę Praw Człowieka ONZ ujawnił, że szkoły, centra handlowe, medyczne oraz domy mieszkańców, które w większości należały do Szylluków, były najpierw rabowane, a potem niszczone. Skradziony dobytek transportowano w inne regiony Górnego Nilu. Szylluków przepędziła armia rządowa, a w ich miejsce osiedlono co najmniej 15 tys. Dinków z Dżuby i regionów Ekwatorii Środkowej i Wschodniej. Miało to uniemożliwić Szyllukom powrót do domów.

Wojna rozdzieliła obie grupy od siebie. Po 2013 r. ludność Dinka została w mieście Malakal, natomiast Szyllukowie schronili się w ulokowanym na obrzeżach miasta obozie dla tzw. wewnętrznych przesiedleńców, stworzonym przez misję pokojową ONZ w Sudanie Południowym (UNMISS). Była to pierwsza w historii „błękitnych hełmów” decyzja o otwarciu baz w celu ochrony ludzi uciekających przed kulami.

Ponad 92 proc. Szylluków żyjących w obozie chce wrócić do swoich domów w Malakal. Ale w tych, które nie zostały zniszczone, mieszkają Dinkowie. Tu najmniejsze nieporozumienie może wzniecić pożar. Przyłot gubernatora z ludu Szylluków był jak jego zarzewie.

Euforia i ofiary

Radosne tłumy Szylluków powitały gubernatora zgodnie z królewskim protokołem. Śpiewały pieśni o pokoju, ale także o wojnie i żałobie. Wielu tancerzy przybyło ubranych w tradycyjne stroje wojowników wykonane ze skóry geparda. W dłoniach trzymali tarcze i włócznie symbolizujące męstwo. Wierni tradycji przodków, na znak bożego błogosławieństwa ubili byka. Mieli ze sobą transparenty z hasłami: „Pracujmy na rzecz stabilności. Nie dla wojny. Nie dla plemienności”, „Tak dla pokoju” i „Tak dla jedności ludzi z Górnego Nilu”.

– Przyszliśmy z otwartymi sercami, ponieważ zakładaliśmy, że jego przybycie oznaczać będzie dla nas możliwość powrotu do naszych domów – mówi spokojnym głosem Amuj Okothe Aba, 28-letni ojciec trójki dzieci, który uczestniczył w powitaniu Budhoka Ayanga Kura.

To jednak, co dla Szylluków było wyciągnięciem ręki w stronę wroga, Dinkowie zinterpretowali jako prowokację. Emocje eksplodowały, gdy wesoły tłum, skandując „Malakal jest nasze” i „Pokój wreszcie nadszedł”, dotarł do rynku. Czekali tam już funkcyjna-

riusze etnicznej bojówki Dinka Padang, uzbrojeni w karabiny maszynowe. Na ich widok Szylluków znów przeszył do brze znany strach przed wojną i zniszczeniem.

– Nagle przyszli młodzi mężczyźni i zaczęli nas bić kijami. Inni do nas strzelali – wspomina Amuj Okothe Aba, który wtedy został postrzelony w stopę. Tego dnia zginęły trzy osoby, kolejne trzy zostały ranne.

Ciężar niosą kobiety

Gest Rebekki, choć wydaje się naturalnym odruchem, w obliczu napiętych relacji między grupami Dinka i Szylluk urósł do aktu odwagi.

– Nie bałam się im pomóc. Budowanie zaufania pomiędzy naszymi społecznościami jest niezwykle ważne. Jak widzisz, my, kobiety Dinka i Szylluk, postanowiłyśmy działać wspólnie na rzecz wypracowania pokoju w Malakal i Górnym Nilu – podkreśla Rebecca, wskazując z uśmiechem na towarzyszące jej w rozmowie: Angelinę (Szylluk), Theresę (Dinka) i Mamę Achol (Szylluk), które również należą do Unii Kobiet.

– Rozmawiamy o wyzwaniach, jakim musimy stawić czoła, i o potrzebie stabilizacji w naszym kraju. Kiedy uda się ją

wreszcie osiągnąć, kobiety będą mogły zrobić wszystko, na co tylko przyjdzie im ochota – argumentuje, żywo gestykulując, pogodna Achol Nyibong, zwana Mamą Achol, założycielka i liderka organizacji. – Ale tak długo, jak nie ma pokoju, żyjemy w tych samych, ciężkich warunkach, zmagamy się z tymi samymi trudnościami – dodaje.

W kraju, w którym panuje jeden z najbardziej skrajnych systemów patriarchalnych, to właśnie kobiety najboleśniej odczuwają konsekwencje walk, braku stabilności i stałego widma klęski głodowej. Setki tysięcy z nich wciąż doświadczają gwałtu – każdy konflikt o wymiarze etnicznym wykorzystuje przemoc seksualną jako taktikę wojenną. Oprawcy wiedzą, że ofiary spotka stygmatyzacja i wykluczenie z grupy.

Szacuje się, że w tym roku około 1,4 mln matek w Sudanie Południowym w pojedynkę walczy o przeżycie swoich dzieci, którym grozi skrajne niedożywienie. To największa liczba od początku kryzysu w 2013 r. Prawie pół miliona ciężarnych i karmiących matek będzie wymagało leczenia z powodu niedożywienia.

Niemożliwość wyrwania się z kleszczy pogłębiającej się pauperyzacji i brak perspektyw zmuszają pasterskie rodziny do wydawania za mąż coraz młodszych córek. Warunkiem zamążpójścia jest wniesienie posagu w postaci kilkudziesięciu krów, będących często ostatnią szansą na przetrwanie kolejnych klęsk – suszy, powodzi czy dewastacji zbiorów. Dziewczynki nie tylko tracą dzieciństwo i szansę na edukację. Zostając żonami kilkukrotnie starszych od siebie mężów, padają ofiarą gwałtów małżeńskich i przemocy domowej, które w Sudanie Południowym są na porządku dziennym.

Między atakami

Uzgodnione we wrześniu 2018 r. porozumienie pokojowe przerwało tylko najcięższe działania zbrojne głównych stron konfliktu. Brakuje na nim jednak podpisów kilku przywódców działających w różnych częściach kraju grup rebelianckich, które wciąż terroryzują ludność. Sudańczycy giną praktycznie codziennie w wyniku zasadzek drogowych, napaści i kradzieży bydła, konfliktów wewnątrzklanowych, a także tych pomiędzy grupami etnicznymi. Do dzisiaj po-

nad 1,7 mln mieszkańców Sudanu Południowego to wewnętrzni przesiedleńcy, a ponad 2,2 mln żyje w państwach sąsiednich – Ugandzie, Sudanie, Etiopii i Kenii. Aż 83 proc. z nich stanowią kobiety i dzieci.

W kraju, w którym wszyscy mają broń, a ryzyko ataku czyha na każdym kroku, setki tysięcy kobiet rodzi swoje dzieci uciekając między jednym a drugim atakiem. Dzieje się to bez asysty położnej, bez dostępu do jakichkolwiek leków, o sprzęcie diagnostycznym nie wspominając.

Kobiety z Sudanu
Południowego
wychowywano dotąd
w przeświadczeniu, że są
towarem wymienianym
przez rodzinę na bydło.
**Że ich opinie i głos
nie mają znaczenia.**

Według Banku Światowego w czasie 42 dni od porodu w Polsce umierają średnio dwie na 100 tys. matek. W Sudanie Południowym – 1150. Jest to najwyższy współczynnik na świecie.

Siła nas

Dlatego w Sudanie Południowym kobiety mają już dość wojen. Są zmęczone życiem w ciągłym napięciu. Chcą planować przyszłość i mieć bezpieczne domy. Od proklamacji niepodległości w 2011 r. tysiące z nich uczestniczy w prowadzonych przez UNMISS i inne organizacje szkoleniach o tym, jaką rolę mogą odegrać w utrzymaniu kruchego pokoju. Tworzą komitety pokojowe, promują pojednanie. – Podczas wojny straciłyśmy mężów i dzieci. To my jesteśmy najbardziej przez wojnę dotkniętą grupą. Rozmawiamy z mężczyznami o tragicznych konsekwencjach wojny. Mamy nadzieję, że to odniesie skutek – mówi Rebecca Anyiel.

Kobiety z Sudanu Południowego wychowywały się dotąd w przeświadczeniu, że są towarem wymienianym przez rodzinę na bydło. Że ich opinie i głos nie

mają znaczenia. A edukacja jest głównie dla chłopców, ich zadaniem zaś jest dbać o dom. Dlatego liczą na to, że ich aktywizm, o mocno feministycznym zabarwieniu, to początek walki o ich prawa do pracy, edukacji i decydowania o sobie. Aby wygrać, muszą w sobie znaleźć odwagę, by podjąć dialog ze swoimi mężami, którzy w domach są głównymi decydentami.

Nyapach Aruach Deng, członkini Komitetu Pokojowego zrzeszającego kobiety Szylluk mieszkające na terenie obozu dla wewnętrznych przesiedleńców, wyjaśnia, że konieczność pytania mężów o pozwolenie na aktywność, która wykracza poza przypisane im kulturowo obowiązki, sprawia, że czują się marginalizowane i zepchnięte na dalszy plan. To właśnie zmaganie się z konsekwencjami wojny uświadomiło kobietom, iż skończył się czas ich bierności.

– Jeżeli zaczniemy pracować ręką w rękę, uda nam się zapewnić pokój. Nie możemy iść ślepo za naszymi mężczyznami, w szczególności gdy popełniają błędy. Nastal nasz czas, abyśmy stały się niezależne i były zdolne zwracać uwagę mężczyznom, gdy robią coś źle – mówi pewnym głosem Nyapach, matka czwórki dzieci.

Obóz lepszy niż miasto

W Malakal to kobiety Dinka założyły Unię Kobiet. Należą do niej także kobiety Szylluk. Wszystkie są przekonane, że współpraca biznesowa pomiędzy obiema skłóconymi społecznościami jest kluczem do wyjścia nie tylko z kryzysu ekonomicznego, ale także z ogólnego impasu, trwającego od dekad.

Życie rodzin Dinka w Malakal jest po prostu ciężkie. W mieście nie ma prądu, a wiele dzielnic nie ma dostępu do czystej wody, brakuje szkół i nauczycieli, lekarzy, pielęgniarek czy narzędzi do uprawy roli. Lokalne gangi, które przyciągają młodych, bezrobotnych mężczyzn, terroryzują mieszkańców. Malakal jest też upiornie puste. Populacja miasta spadła z 250 tys. do niespełna 12 tys. mieszkańców. Brakuje chętnych, którzy kupiliby ryby, warzywa, owoce czy zamówili szklankę herbaty i obiad, co pomógłby przetrwać i ożywić gospodarczo tę społeczność.

W porównaniu z tym warunki życia około 30 tys. Szylluków mieszkających w obozie wydają się znacznie lepsze. ➔



NYAPACH ARUACH DENG: Nie możemy iść ślepo za naszymi mężczyznami, w szczególności gdy popełniają błędy.



ACHOL NYIBONG (CZYLI MAMA ACHOL): Żyjemy w permanentnym strachu, że coś może się znowu wydarzyć.



JOSPINA JAMES LAH: Koniec końców wszystko redukuje się do rozmów. Ludzie rozmawiają o pokoju, ale w rzeczywistości go nie ma.

→ Wprawdzie otrzymują te same czterokilogramowe racje żywniowe co Dinkowie z Malakal, jednak poziom bezpieczeństwa w obozie będącym pod pieczęcią ONZ jest zdecydowanie wyższy. W sklepach jest więcej produktów. Jest też dostęp do czystej wody i elektryczność. Ale jest także ogromna tęsknota za rodzinnymi domami w Malakal i lęk przed nękaniami i szykanowaniem, jakie mogą ich spotkać z rąk Dinków w mieście. W raporcie Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji z 2018 r. tylko 5 proc. społeczności mieszkającej w obozie uznało Malakal za bezpieczne miejsce.

„Prosimy, wróćcie”

Członkinie Unii Kobiet mają już na koncie pierwsze sukcesy. – Budowanie zaufania jest bardzo ważne. Rozpowszechniamy przekaz pokoju oraz potrzeby wspólnego życia. Dlatego możesz spotkać kobiety Szylluków, które pracują w mieście – mówi Rebecca. I dodaje: – Kobiety obu plemion są w stanie współpracować. Spotkasz je na rynku, gdzie sprzedają ryby i warzywa. Ich obecność jest znaczącym wkładem w wypracowanie pokoju.

Wśród nich jest należąca do ludu Szylluk Angelina Williams, matka pięciorga dzieci. Jak 93 proc. mieszkających w obozie Szylluków, również ona miała kiedyś dom w Malakal. Został zniszczony w trakcie walk. Angelina była jedną z pierwszych kobiet, które odważyły się przysiąc do miasta w poszukiwaniu pracy.

– To było w 2017 r. Zaczekałam, aż sytuacja się ustabilizuje, i po prostu wyszłam z obozu. Niczego się nie bałam, ponieważ moim priorytetem jest zapewnienie bytu moim dzieciom i rodzinie. Nigdy żaden mężczyzna Dinka nie potraktował mnie źle. Teraz coraz więcej kobiet decyduje się na przysięgę do miasta – mówi Angelina. – My po prostu chcemy wysłać nasze dzieci do szkół – wtóruje jej Rebecca.

Angelina sprzedaje w Malakal herbatę. Cena za szklankę jest podobna jak w obozie. W mieście Angelina jednak nie musi płacić za czynsz. Za oszczędzone pieniądze płaci za naukę i utrzymanie czwórki jej najstarszych dzieci w Chartumie, stolicy Sudanu. Jej praca w Malakal jest solą w oku wielu Szylluków uważających, że kluczem do pojednania nie jest współpraca ekonomiczna, ale możliwość powrotu do ich domów.

– Krytykują nas. Pytają, dlaczego pracujemy z tymi, którzy walczyli przeciwko nam. Odpowiadam, że Dinkowie są mili i wcale nie zazdrośni. Nauczyłam się bronić mojej decyzji. Mam ważny ku temu powód: jestem tu po to, aby dać wszystko co najlepsze moim dzieciom – mówi Angelina. – W społeczności wciąż jest dużo nienawiści i trudno o wzajemne wybaczenie. Musimy jednak zaakceptować swoje winy i pojednać się – podkreśla.

Kobiety mówią, że chcą powrotu do dawnych czasów – kiedy wszyscy byli sąsiadami w Malakal. – Powitalibyśmy ich tutaj! Cały czas im powtarzamy: „Prosimy, wróćcie” – mówi Rebecca.

Zasiedlenie miasta i okolic jest także głównym zadaniem Budhoka Ayanga Kura, który podkreśla, że Sytuacja w Górnym Nilu jest fatalna.

– Poziom bezpieczeństwa nie jest dobry. Dlatego też nie generujemy żadnych dochodów. Budżet składa się z podatków obywateli. Ale my nie mamy mieszkańców. Większość z nich żyje w obozach dla wewnętrznych przesiedleńców lub uciekła do Sudanu – mówi.

Trudne rozmowy

Dla większości Szylluków z obozu dla przesiedleńców szukanie pracy w Malakal ma drugorzędne znaczenie. Wciąż boją się przebywać w mieście. Ich celem jest powrót na ziemię, które postrzegają jako ziemie przodków, i do domów, które są zamieszkane teraz przez ludność Dinka. Mówią, że są gotowi na dialog, ale tylko wtedy, gdy będzie on rzeczowy.

Po wspólnych spotkaniach członkinie obu komitetów doszły do wniosku, że odpowiedzialni za impas są pokłócenie ze sobą mężczyźni.

– Wkładamy dużo wysiłku w to, aby stworzyć pokojowe i sprzyjające dla pojednania warunki, ale to mężczyźni są wciąż do siebie wrogo nastawieni – tłumaczy Jospina James Lah, szefowa Komitetu Pokojowego w obozie oraz jedyna żeńska liderka jednego z sektorów, na które podzielony jest obóz. – Jednego dnia spotkają się, aby porozmawiać, a następnego dnia słyszymy, że znów ktoś został zabity. Koniec końców wszystko redukuje się do rozmów. Ludzie rozmawiają o pokoju, ale w rzeczywistości go nie ma – dodaje.

Aktywiści Szylluk mówią, że prowadzą z kobietami Dinka rozmowy na temat okupowanych ziem i domostw. – Jesteśmy świadome tego, jak ważną

odgrywamy rolę w procesie pogodzenia obu stron. Dlatego powiedziałyśmy im, że jeżeli mamy wypracować trwały pokój, musimy powiedzieć ludziom, aby opuścili domy, których nie są prawnymi właścicielami. Ale wygląda na to, że Dinkowie są temu niechętni – mówi 45-letnia Jospina. Ta matka siedmiorga dzieci doświadczyła wrogości na własnej skórze. W jej rodzinnym domu w Malakal mieszkają Dinkowie. – Jakiś czas temu postanowiłam do niego pójść. Ale zajmujący go ludzie zaczęli mi od razu grozić i wypytywać, czego tu szukam – opowiada cichym głosem.

Dwa domy Nyapach Aruach Deng, członkini Komitetu Pokojowego, zostały doszczętnie zniszczone, jednak ziemia wciąż należy do niej. Nyapach nie ma odwagi wrócić. – Nie zrobię tego, dopóki rząd nie wyeksmituje tych, którzy tam przebywają, i nie przekaze mi oficjalnego aktu własności. Dinkowie mają broń – podkreśla Nyapach.

Kobiety Dinka i Szylluk są zgodne, że bez konfiskaty broni cywilom nie uda się zaprowadzić pokoju. – Tylko wtedy będziemy mogli przywieźć nasze dzieci

Po wspólnych spotkaniach członkinie obu komitetów doszły do wniosku, że odpowiedzialni za impas są pokłóceni ze sobą mężczyźni.

z powrotem do domu, żeby mogły skończyć tutaj swoją edukację – mówi Mama Achol, szefowa Unii Kobiet. – Teraz Malakal jest względnie spokojne. Ale my i tak żyjemy w permanentnym strachu, że coś może się znowu wydarzyć.

Tu, teraz, jutro

David Nyang Kueth, szef Gabinetu Gubernatora Górnego Nilu, podkreśla, że rząd pracuje nad przygotowaniem cywili do dobrowolnego oddania broni.

– Pokój jest kruchy, a ludzie są ciężko uzbrojeni. Musimy podejść do tego ostrożnie. Kobiety powiedziały nam, że

chcą pójść wspólnie do kościoła i modlić się o pokój. Sądymy, że to bardzo dobra inicjatywa – mówi. – Wsparcie kobiet jest kluczowe w dążeniu do pojednania, aby finalnie zamknąć tę przestrzeń wypełnioną wrogością, rozżaleniem i nieufnością – dodaje.

To jednak długa droga. W patriarchalnych społecznościach Sudanu Południowego kobiety dopiero od kilkunastu lat, małymi kroczkami, wychodzą z cienia mężczyzn i uczą ich szacunku dla swoich praw i opinii. Dla obu stron jest to wkroczenie w nową rzeczywistość.

W Malakal jest tylko tu i teraz. Niepewne dni są naznaczone trudem zarobienia jakichkolwiek pieniędzy i ugotowania dzieciom posiłku. Noce – niespokojnym snem, podświadomość instynktownie wyłapuje dźwięki, które mogą oznaczać konieczność kolejnej ucieczki.

Oprócz kraju wojna zniszczyła relacje między sąsiadami i przyjaciółmi. – Marzę, że kiedyś uda nam się wrócić do normalności, ale droga do niej prowadzi tylko przez ciężką pracę na rzecz pokoju – mówi Rebecca Anyiel.

© NATALIA OJEWSKA

radioArchitektura

Sugestywnie i przestrzennie o architekturze i obrzeżach. Nagrywamy architekturę, jej otoczenie, ludzi i miejsca, czasem bez słów, tak jak niedawno historyczną siedzibę „Tygodnika Powszechnego”.

www.radioarchitektura.pl



Podkasty tworzą Aga Rasmus, dziennikarka, wydawczyni z Centrum Architektury, i Peter Łyczkowski, kompozytor, ilustrator, twórca słuchowisk.

Tragedia, która zmieniła kraj

HONORATA ZAPAŚNIK Z MIASTA MEKSYK

Osiem lat temu w miejscowości Iguala zginęło 43 studentów.
Ich rodzice do dziś nie wiedzą, co się z nimi stało.
I nie pozwalają o tym zapomnieć władzom.

WIECZOREM 22 WRZEŚNIA 2014 R. Aldo Gutiérrez Solano wypoczywał w hamaku obok domu rodziców we wsi Tultepec (stan Guerrero, południe Meksyku). Jego mama czuła, że coś go trapi. Podeszła, żeby zapytać. Obawiał się powrotu do szkoły w Ayotzinapie, bo wiedział, że niedługo studenci mają iść na demonstrację. Mama prosiła, żeby został w domu. Odmówił. Tego dnia nie zjadł kolacji ani nie wypił swojej ulubionej kawy. Nazajutrz pojechał do internatu.

Cztery dni później Aldo zadzwonił do mamy i poprosił, żeby przygotowała dla niego napój *chilate*, bo wróci do domu w porze obiadu. Ale nazajutrz nad ranem do Leonela, brata Alda, zatelefonowała teściowa: „Widziałeś? Zabili twojego brata”.

Nie mógł w to uwierzyć. Zadzwonił do starszego brata Ulisesa, który również ukończył szkołę w Ayotzinapie.

– Powiedział, że nie mógł skontaktować się z Aldem, ale słyszał, że niektórzy studenci zniknęli, są ranni i zabici w Iguali – wspomina Leonel. Zabrał tatę do Iguali. Był w szoku, nie mógł prowadzić auta. Do miasta zawiózł ich kuzyn. W drodze odebrał wiadomość od koleżanki z Iguali, która znalazła Alda w jednym ze szpitali.

– Aldo leżał w środku na podłodze, był cały we krwi, na twarzy miał tylko worek lodu. Lekarze dawali mu 20 procent szans na przeżycie – mówi Leonel. Brat dowiedział się później, że Aldo był pierwszym studentem, który został postrzelony tej nocy przez policję.

Noc w Iguali

Wiejska Szkoła Wyższa Raúl Isidro Burgos znajduje się w małej wsi Ayotzinapa w stanie Guerrero, ponad 400 kilometrów od miasta Meksyk. Na murze

przy wejście widnieje napis: „Ayotzinapa, kolebka społecznej świadomości”. Na jednej ze ścian budynku namalowano mural Che Guevary w berecie z czerwoną gwiazdą. To m.in. tutaj od zakończenia rewolucji meksykańskiej w 1920 r. chłopcy z ubogich rodzin przygotowują się do wykonywania zawodu nauczyciela.

Absolwentami tej szkoły są Cabañas Barrientos i Genaro Vázquez Rojas, którzy w latach 50. i 60. XX w. kierowali dwoma ruchami partyzanckimi oraz stali się przykładem dla następnych pokoleń. I dzisiaj studenci, podobnie jak Barrientos, działają w marksistowskiej Federacji Socjalistycznych Chłopskich Studentów Meksyku, najstarszej organizacji studenckiej w kraju.

Przez lata dochodziło na tym tle do konfliktów z władzami. W 2007 r. rząd stanowy stwierdził, że nie ma pieniędzy na wspieranie męskiej szkoły z internatem i trzeba zmienić program nauczania. Uczniowie zaczęli więc blokować drogi w Chilpancingo, stolicy stanu Guerrero; zniszczyli samochody i podłożyli ogień pod budynki władz. Wtedy politycy wycofali się ze swoich planów.

Odtąd uczniowie z Ayotzinapy co roku organizowali manifestacje w mieście, domagając się m.in. remontu szkoły i podwyżki diet na wyżywienie.

– Studenci protestują regularnie, żeby rząd o nich nie zapomniiał – mówi jeden z nauczycieli, który chce zachować anonimowość. – Walczą o szacunek, chcą być równo traktowani, mieć takie same szanse jak ludzie bogaci. Sami nie mogą liczyć na swoich rodziców, bo pochodzą z bardzo biednych rodzin. Niektórzy rodzice pracują w polu, słabo mówią po hiszpańsku. Zamiast zarabiać pieniądze nielegalnie, chłopcy chcą zdobyć



wykształcenie i wrócić do swoich małych miejscowości, żeby dać szansę innym. Niestety szkoły są niedofinansowane. Ayotzinapa znajduje się na odludziu, a nie ma nawet własnego transportu szkolnego do dyspozycji, brakuje pieniędzy na materiały szkolne czy jedzenie – dodaje nauczyciel.

Pierwsze ofiary

W połowie września 2014 r. uczniowie zaczęli kraść autobusy i paliwo, żeby móc pojechać na manifestację w stolicy kraju, upamiętniającą zabicie studentów przez policję w Tlatelolco w 1968 r.

25 września pojechali do Chilpancingo zajętej wcześniej pojazdami. W grupie prawie stu studentów dwóch było na trzecim roku, sześciu na drugim, a pozostali dopiero zaczęli naukę w szkole. Niektórzy nie wiedzieli, w jakim celu jadą. Na miejscu próbowali ukraść inne pojazdy, ale policja im to uniemożliwiła. Wtedy udali się do miasta Iguala. Na dworcu zatrzymali trzy autobusy. Jeden z kierow-



HONORATA ZAPASNIK

Marsz rodzin zaginionych studentów z Iguali, Mexico City, Meksyk, 23 czerwca 2021 r.

ców zdążył powiadomić o tym swoich przełożonych.

Teraz już czterema autobusami jechali na północ miasta. Planowali wrócić do Ayotzinapy. Policja na rogu jednej z ulic ustawiła ciężarówkę oraz zablokowała im przejazd. Uczniowie musieli wyjść z autobusów, żeby zepchnąć ją z drogi. Kiedy Aldo Gutiérrez Solano wygrał pojedynkę z policjantem, pozostali funkcjonariusze otworzyli w ich kierunku ogień.

Wspomina Edgar Andrés Vargas, wtedy student drugiego roku: – Zaczęłam uciekać. Gdy dotarłam na drugą stronę ulicy, próbowałam schować się za autobusem. Zdałam sobie sprawę, że jestem ranny. Dotykałam się i sprawdzałam, skąd wzięło się tyle krwi. Spojrzałam do tyłu i zobaczyłem sylwetkę jakiegoś chłopaka, był to jeden z zabitych. Wydało mi się, że śnię. Potem poszedłem przed siebie, myślałem tylko o mamie. Nieco dalej spotkałem grupę chłopaków, którzy chcieli mnie nieść, ale moja głowa opadała do tyłu i dusiłem się krwią. Miałem

napady zimna i gorąca. W końcu doszliśmy do kliniki, ale pielęgniarka powiedziała, że nie ma lekarza. Pozwoliła nam wejść do środka, schroniliśmy się na najwyższym piętrze. W pewnym momencie usłyszeliśmy głosy wojskowych. Kazali nam zejść na dół. Jeden z moich kolegów powiedział im, że nie dam rady zejść, bo jestem ranny. W ogóle ich to nie interesowało. Mówili, że to nasza wina, obrażali nas, jakbyśmy byli kryminalistami. Razem z nami był nauczyciel, który prosił, żeby wezwali karetkę, ale udawali, że nie słyszą. Kazali nam zostawić komórki na stole i podać swoje imiona.

Edgar mówi, że w pewnym momencie żołnierze wyszli i nauczyciel stanął na ulicy, żeby znaleźć dla niego taksówkę: – Okłamał taksówkarza mówiąc, że wdałem się w bójkę w barze i udzielono mnie butelką. Kiedy ja walczyłem o życie, moi koledzy zostali zaatakowani po raz drugi przez uzbrojoną grupę, dwóch z nich zginęło. Innym aresztowano. W tym samym czasie policja ostrzelała autobus na

autostradzie, który wiozł drużynę piłkarską. Myśleli, że to nasi nim jadą, bo jeden z naszych autobusów wybrał inną trasę. Zabili kierowcę autokaru i pasażerkę.

Nasz ból nie mija

Z Felipe de la Cruz spotykam się w kawiarni w centrum Acapulco. Jest średniego wzrostu, ma śniadą cerę i siwe włosy. Miałam nadzieję, że przyjdzie z Angielem, 24-letnim synem, który był tamtej w nocy w Iguali, ale chłopak nie jest gotowy na rozmowę.

– Chociaż minęło kilka lat, to ciężko jest mu wracać pamięcią do tamtych wydarzeń – mówi tata byłego studenta. – Zanim poszedł na studia, Angel był wesołym chłopakiem, grał na gitarze. Po tym, co się stało, wrócił do szkoły, ale zaczął pić. Musiał udać się po pomoc, żeby rzucić alkohol. Dzisiaj pracuje jako nauczyciel w podstawówce, jednak trzyma się z boku, jest wycofany. Po powrocie do domu zamyka się w swoim pokoju, nie chce z nikim rozmawiać. Nie umie znaleźć swojego miejsca w życiu.

Felipe de la Cruz mówi, że tamtej nocy syn zadzwonił do niego około 21, w trakcie kolacji. – Powiedział, że zabili jego kolegę strzałem w głowę. Byłem zaskoczony, bo myślałem, że jest w internacie, nie mówił mi o swoich planach. „Gdzie jesteś?”, zapytałem. „W Iguali, chcemy wyjechać stąd autobusami, ale policja do nas strzela”. Podniosłem się od stołu, pobiegłem do samochodu i chciałem pojechać do Iguali. Z Acapulco to prawie dwieście kilometrów. Droga na tej trasie była zablokowana i dotarłem tam dopiero następnego dnia. Od razu zadzwoniłem do syna, akurat składał zeznania w prokuraturze, musiał też rozpoznać ciała zabitych. „Jestem bezpieczny, ale brakuje moich kolegów”, powiedział – wspomina ojciec.

Razem pojechali do szkoły w Ayotzinapie, gdzie zebrali się rodzice wszystkich studentów. – Wiedzieliśmy już, że zginęło 57, których aresztowała policja. Trzy dni później prokuratura podała do wiadomości, że 14 z nich wróciło bezpiecznie do domów. Mieliśmy nadzieję, że pozostali też odnajdą się cali i zdrowi – mówi de la Cruz.

Szukając zrozumienia

O przeprowadzenie akcji oskarżono Jo-ségo Luisa Abarcę, burmistrza Iguali, który miał wydawać polecenia policji →

→ przez radio. On sam zaprzeczył zarzutom twierdząc, że kazał im strzelać w powietrzu. Dodał, że studenci próbowali zakłócić wydarzenie jednej z organizacji publicznych, które odbywało się w centrum miasta. Kilka dni później uciekł z miasta z żoną – ukryli się w mieście Meksyk, gdzie zostali aresztowani.

– Rodzice zaginionych dzieci mieszkają na wsi, nie mieli wcześniej do czynienia z mediami – mówi Felipe de la Cruz. – Poprosili mnie, żebym został ich rzecznikiem. Wiedzieliśmy, że nie mamy co liczyć na sprawiedliwość i musimy działać. Nawiązaliśmy kontakt z organizacjami praw człowieka, wspólnie naciskaliśmy na rząd, żeby zaczął szukać zaginionych chłopców, bo ówczesny prezydent Enrique Peña Nieto początkowo twierdził, że śledztwem powinny zająć się lokalne władze. Uważaliśmy, że jest w błędzie, nasi chłopcy zostali porwani przez mundurowych. Ale poprzedni rząd był bardzo skorumpowany. Myśleli, że jeśli dadzą nam pieniądze, to nas ucieszą. A dla nas, biednych ze stanu Guerrero, dzieci są ważniejsze. Musieliśmy ich uświadomić, że nasz ból nie minie – mówi ojciec.

I dodaje: – Dopiero wiele tygodni po wydarzeniach rząd zajął się sprawą zaginięcia. W tym czasie dowody zbrodni mogły zostać usunięte. Dzisiaj z całą pewnością mogę powiedzieć, że poprzedni prezydent Meksyku krył sprawców, oszukiwał nas przez cztery lata, żeby przejąć narrację. Nawet na spotkanie z nami przychodził w towarzystwie policji.

7 listopada 2014 r. prokurator generalny Republiki poinformował, że ma dowody na to, iż studenci zatrzymani przez policję zostali przekazani grupie przestępczej Guerreros Unidos, następnie bandyci przewieźli ich śmieciarkami na wysypisko w Cocula. Część z nich udusiła się w czasie drogi, pozostałych zastrzelili, ich ciała spalili, szczątki spalowali do worków i wyrzucili do pobliskiej rzeki San Juan. Jedna z teorii głosiła, że w porwanym autobusie znajdowały się narkotyki, które należały do mafii, i to doprowadziło do tragedii.

Rodzice nie uwierzyli prokuraturze, ponieważ nie przedstawiła im dowodów zbrodni. Już wcześniej zdarzało się, że zaginięni nastolatkomie byli siłą wcielani do grup przestępczych i rodziny odnajdowały ich po latach.

– Zaczęliśmy szukać pomocy międzynarodowych organizacji praw człowieka – wspomina Felipe. – Potem zorganizowaliśmy marsze w Stanach Zjednoczonych, Włoszech, Francji, Niemczech, Brazylii i Wenezeli. Tłumaczyliśmy, że meksykański rząd jest skorumpowany i nie jesteśmy państwem prawa. Prezydent Enrique Peña Nieto, który zapowiadał, że będzie nowoczesnym reformatorem, przestał cieszyć się popularnością w Meksyku. Udało nam się również powołać niezależną komisję i prowadziliśmy własne śledztwo. W 2014 r. – na długo przed oświadczeniem prokuratury – jedna z cywilnych grup samoobrony poinformowała nas o znalezieniu ludzkich szczątków w pobliżu wysypiska śmieci w Cocula. Chcieliśmy przeszukać to miejsce z pomocą Argentyńskiego Zespołu Antropologii Sądowej, ale meksykańska prokuratura nie wyraziła na to zgody.

Dziś w całym Meksyku
za zaginione uważa się
ponad 80 tys. osób –
i liczba ta cały czas rośnie.

Tak zwana prawda historyczna

„Jestem Meksykaninem i domagam się sprawiedliwości w imieniu 43 studentów” – to strona na Facebooku. „Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało, i że do tej pory ta sprawa nie została zakończona” – pisze anonimowo jej założyciel. Na temat tragedii powstały też liczne filmy dokumentalne i książki.

– Chciałam pokazać drogę, jaką przeszli rodzice i jak ta tragedia ich zmieniła – przyznaje Andalusia K. Soloff, dziennikarka i autorka komiksu „Żywych ich zabrali”. Po zaginięciu studentów spała z ich rodzicami w szkole w Ayotzinapie, uczestniczyła w marszach i przygotowywała reportaże dla amerykańskich mediów. To, czego była świadkiem, opisała w powieści obrazkowej, bo wielu Meksykanów nie umie czytać. – Rodzice na samym początku nie chcieli ze mną rozmawiać, bali się podawać imiona. Potem, chociaż byli zastraszani przez policję,

uparli się, żeby poznać prawdę, i zdali sobie sprawę, że prasa może im w tym pomóc. Na początku chodzili od wsi do wsi w stanie Guerrero i mówili mieszkańcom o tym, co ich spotkało. Ludzie w tych miejscowościach sami są biedni, ale czekali na nich z obiadem. Twierdzili, że przelała się czara goryczy.

Niestety, w Guerrero zawsze było dużo biedy i przemocy. Mafia ma tu silną pozycję, uprawiane są pola maku. Czas mija i wszyscy są tam tak samo biedni, jak byli, nikt nie może liczyć na sprawiedliwość, a rodzice zaginionych studentów wciąż nie wiedzą, co się z nimi stało. Dziś w całym Meksyku za zaginione uważa się ponad 80 tys. osób – i liczba ta cały czas rośnie. – Rodzice zaginionych studentów stali się symbolem problemów, z którymi musimy się zmierzyć – mówi Soloff.

– Nasza sytuacja zmieniła się na lepsze, kiedy trzy lata temu prezydentem został Andrés López Obrador – mówi Felipe de la Cruz. – On zawsze ma dla nas otwarte drzwi. Powołał nową komisję do zbadania śledztwa, jesteśmy jej członkami. Spotykamy się z prezydentem co miesiąc, żeby dowiedzieć się, co ustalono. Dzięki temu w zeszłym roku badacze z uniwersytetu w Innsbrucku we fragmencie kości, którą znaleziono blisko wysypiska w 2014 r., zidentyfikował DNA jednego z zaginionych studentów.

W czerwcu 2020 r. został aresztowany Sidronio Casarrubias Salgado, przywódca kartelu Guerreros Unidos, oskarżony o udział w zaginięciu studentów. Trzy miesiące później prezydent poinformował, że w sprawie zatrzymano 80 osób, w tym Carlosa Gómeza Arrieta, byłego szefa policji federalnej, i Alicię Bernal z ministerstwa publicznego, odpowiedzialną za „legalizację tak zwanej prawdy historycznej”. Listem gończym jest też poszukiwany Tomás Zerón de Lucio, były szef Kryminalnego Biura Śledczego nieistniejącego już Urzędu Prokuratora Generalnego. José Luis Abarca, były burmistrz Iguala, został uznany przez sąd za winnego zarzucanych mu czynów i obecnie odsiaduje wyrok w więzieniu o zaostrożnym rygorze.

– Komisja cały czas pracuje – mówi Felipe de la Cruz. – Chcemy poznać całą prawdę, nawet jeśli jest bolesna. Mamy prawo wiedzieć, gdzie znajdują się nasi chłopcy i dlaczego ich to spotkało. Może dzięki temu w przyszłości to się już nie powtórzy. © HONORATA ZAPAŚNIK



Demonstracja tłumaczy afgańskich przed ambasadą USA w Kabulu, 25 czerwca 2021 r.

Lojalni, lecz nie wzorowi

MARTA ZDZIEBORSKA

Amerykane rozpoczęli ewakuację tłumaczy, którzy przez niemal dwadzieścia lat pracowali z ich armią w Afganistanie. Pomogą jednak nielicznym.

OMID MAHMOODI PRZESYŁA MI ZDJĘcie zakrwawionego, martwego ciała. Mówi, że to zwłoki Sohaila Pardisa, byłego tłumacza z Kabulu, który w maju wpadł w ręce talibów. O losie mężczyzny zaważyła jedna, ryzykowna decyzja. Choć dostawał już wcześniej groźby śmierci, wyruszył do sąsiedniej prowincji Khost odwiedzić siostrę.

Nie dotarł na miejsce. Podczas pięciogodzinnej podróży musiał minąć kontrolowany przez talibów *checkpoint*. Próba uniknięcia konfrontacji zakończyła się tragicznie – rozpedzony samochód Sohaila został ostrzelany przez talibów, wpadł w poślizg i przeokoziłkował na pobocze. Jak wynika z relacji mieszkańców pobliskiej wsi, ekstremiści wyciągnęli z auta ciało mężczyzny i odcięli mu głowę.

Podobnej zemsty obawiają się teraz tysiące innych tłumaczy, którzy już wkrótce, po całkowitym wycofaniu wojsk USA i NATO z Afganistanu, mogą stać się łatwym celem dla talibów. Śmierci z rąk bojowników boi się też 31-letni Omid Mahmoodi. Choć pracował dla amerykańskiej armii przez trzy lata, na pomoc Waszyngtonu raczej nie ma szans.

Schronienie dla wybranych

Administracja Joeego Bidena stawia sprawę jasno: na ewakuację z Afganistanu w pierwszej kolejności załapie się grupa siedmiuset tłumaczy z rodzinami, którzy są na końcowym etapie ubiegania się o wizę do USA. Pierwszy samolot z około trzystoma Afgańczykami na

pokładzie wylądował pod koniec lipca w bazie wojskowej Fort Lee w Wirginii.

W ramach operacji „Schronienie dla sojuszników” Amerykanie planują ewakuować dodatkową grupę 4 tys. tłumaczy, którzy prawdopodobnie trafią do amerykańskich baz za granicą, gdzie będą czekać na dokończenie procedur wizowych.

Przynajmniej na razie na ewakuację może liczyć zaledwie jedna czwarta spośród 18 tys. aplikujących o wizę, zarezerwowaną dla byłych współpracowników Amerykanów w Afganistanie i Iraku. W szczególnie trudnej sytuacji znaleźli się teraz Afgańczycy, którzy już wcześniej nie zakwalifikowali się do programu wizowego: np. nie mieli listu polecającego od amerykańskich przełożonych, z jakiejś przyczyny zerwano z nim wcześniej współpracę lub dopuścili się drobnych nieścisłości podczas kolejnych wywiadów z amerykańskimi urzędnikami.

„Otrujmy zdrajców”

Omid Mahmoodi mówi, że po trzech latach pracy dla Amerykanów nie przeszedł rutynowego badania wariografem i zerwano z nim kontrakt. To wystarczyło, by przekreślić jego starania o amerykańską wizę. W decyzji wydanej przez ambasadę w Kabulu napisano, że skoro Omid dostał

→ wypowiedzenie, to znaczy, że nie może pochwalić się „wierną i wzorową służbą”. Ta logika kłóci się jednak z opiniami wojskowych, z którymi Afgańczyk niegdyś współpracował. W liście polecającym od ppłk. Dennisa Loucka czytamy, że Omid „był lojalny i narażał się na niebezpieczeństwo dla dobra amerykańskich żołnierzy”. O tym, że 31-latek był wyjątkowo oddany sprawie, pisze też kpt. Jonathan W. Flancher.

„Podczas szkolenia dla afgańskiego batalionu Omid przekazał nam informację, że jeden z żołnierzy mówi o »zdrajcach« i »Amerykanach, których należy otruć«. Jestem pewien, że dzięki szybkiej reakcji udało się ocalić życie moich podwładnych” – podkreśla kpt. Flancher, który nadzorował pracę tłumacza od kwietnia do listopada 2019 r. Zaledwie dwa miesiące później Afgańczyk stracił pracę.

Pogróżki od talibów

Teraz, gdy ewakuowano z Kabulu pierwszą grupę tłumaczy, Omid ma nadzieję, że Amerykanie pozytywnie rozpatrzą jego odwołanie i ostatecznie przyznają mu wizę. Omid robi zresztą ostatnio wszystko, by nagłośnić swoją sprawę: udziela wywiadów zagranicznym mediom, wystąpił na antenie amerykańskiej telewizji CBS News i uczestniczył w czerwcowym proteście tłumaczy w pobliżu ambasady USA w Kabulu.

– Nie mam nic do stracenia – przekonuje Afgańczyk. – Przecież jeśli talibowie zdobędą kontrolę nad miastem, i tak mnie zabiją! Po tym, jak udzieliłem wywiadu amerykańskiej telewizji, zacząłem dostawać na Facebooku groźby śmierci. Ekstremiści nazywają mnie „psem”, „amerykańskim szpiegiem” i „zdrajcą”.

Omid zachowuje ostatnio maksymalną ostrożność. Wraca do domu za każdym razem nieco inną trasą, nie włącza się po mieście po zmroku i zrezygnował z jeżdżenia do rodzinnej wsi, położonej o godzinę drogi od Kabulu.

Tłumaczy, że tamtejsze tereny zajęli talibowie, którzy szybko wprowadzają własne porządki: zakazali mieszkańcom oglądania telewizji, zmuszają mężczyzn do noszenia długich bród i zabraniają kobietom wychodzenia z domów bez opieki mężów.

– Wiem od krewnych, że talibowie niedawno pytali o mnie – mówi Omid. – Trudno w to uwierzyć, ale część rodziny uważa mnie za zdrajcę i rozpowiada o tym, że pracowałem dla amerykańskiej



ARCHIWUM PRYWATNE

OMID MAHMOODI:

Trudno w to uwierzyć,
ale część rodziny uważa
mnie za zdrajcę.

armii. Jestem wściekły! Jeszcze kiedyś wierzyłem, że Amerykanie zadbają o ewakuację swoich tłumaczy. A oni wymykają się z kraju jak złodzieje. Spójrzmy na to, w jaki sposób opuścili bazę Bagram. Wyliceli nocą, bez poinformowania afgańskiej armii o ewakuacji. Zanim dotarli tam nasi, teren bazy został splądrowany przez złodziei. To może być zapowiedź chaosu, który nas czeka. Najbardziej martwię się o rodziców. Mają już swoje lata, są schorowani. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś im się stało.

Dwa posiłki dziennie

Sayed Obaidullah Amin przeprasza, że podczas rozmowy nie mogę zobaczyć jego twarzy. Gdy łączymy się o ósmej wieczorem, w całym Kabulu akurat nie ma prądu. To coraz częstszy problem, odkąd w Afganistanie trwają nasilone walki między siłami rządowymi i talibami.

– Talibowie kontrolują już połowę terytorium Afganistanu – mówi przerażony Sayed. – Co zrobię, jeśli opanują Kabul i mnie zabiją? Kto utrzyma wtedy moją żonę i dwójkę dzieci? Jeden syn ma trzy lata, drugi zaledwie półtora roku. Oni nie mogą stracić ojca! – krzyczy 46-latek, który podobnie jak Omid Mahmoodi znalazł się w sytuacji bezradnej.

Po pięciu latach ubiegania się o amerykańską wizę Sayed dostał odmowę

w związku z brakiem „wiernej i wzorowej służby”. Nie pomogło wówczas ani odwołanie, ani próby interwencji ze strony kapitana piechoty morskiej Andrew Darlingtona, z którym mężczyzna współpracował przez dwa lata.

– A przecież było już tak blisko – mówi ze smutkiem. – Najpierw w grudniu 2016 r. dostaliśmy z żoną zaproszenie na wywiad w ambasadzie. Potem wezwano nas na obowiązkowe badanie lekarskie, które również przeszliśmy bez zarzutów. Sprawa skomplikowała się dopiero, gdy urodził nam się pierwszy syn Rahman i zaproszono nas na kolejną rozmowę. Rok później dostałem decyzję odmowną – tłumaczy Sayed i spekuluje, że być może o wyniku jego procedury wizowej przesądziły dwie kwestie.

Po pierwsze, Afgańczyk stracił pracę tłumacza po tym, jak powrócił z urlopu z kilkudniowym opóźnieniem (mówi, że wziął wolne, bo jego ojciec dostał ataku serca i musiał się nim zająć). Po drugie, nie zdał testu bezpieczeństwa, gdy po raz kolejny starał się o pracę w amerykańskiej bazie lotniczej Bagram.

– Bez względu na to, co wpłynęło na decyzję Amerykanów, talibów to nie interesuje. Dla nich po prostu jestem zdrajcą! – krzyczy Sayed, który ze strachu przed ekstremistami prawie nie wychodzi teraz z domu. Żeby było trudniej, od kilku miesięcy jest bezrobotny, a jego jedynym źródłem utrzymania są dorywcze korepetycje z języka angielskiego i matematyki.

– Jest tak ciężko, że ostatnio jemy tylko dwa posiłki dziennie – przyznaje ze smutkiem. – Nie mogę już słuchać, jak starszy syn powtarza, że jest głodny. Od tych wszystkich nerwów schudłem kilkanaście kilogramów, nie mogę spać w nocy. Naprawdę nie wiem, co zrobimy, jeśli talibowie wejdą do Kabulu. Nie stać nas na ucieczkę z Afganistanu. Nie mamy też krewnych, u których moglibyśmy się schronić. Staram się uspokajać żonę, ale ona płacze tak, jakby miała mnie zaraz stracić – dodaje.

Śmierć komika

Żona Sayeda nie wierzy w zapewnienia talibów, którzy wypisują w oficjalnych komunikatach, że współpracownicy obcych wojsk są bezpieczni, jeśli „okażą skruchę”. O prawdziwych zamiarach ekstremistów świadczą statystyki: według szacunków amerykańskiej organizacji No One Left

Behind od 2014 r. zabili co najmniej trzy-stu tłumaczy i członków ich rodzin.

Niepokoją też doniesienia o wzrastającej w ostatnich tygodniach liczbie porwań i zabójstw na terenach zajmowanych przez talibów. Jak alarmuje Human Rights Watch, bojownicy rozpoczęli krwawą krucjatę przeciwko swoim wrogom – w południowej prowincji Kandahar zabili już wielu przedstawicieli lokalnych władz i policji. Szerokim echem odbiła się śmierć policjanta i popularnego komika Nazara Mohammada Kashy, który był znany z wyśmiewania talibów w aplikacji społecznościowej TikTok.

W związku z zaostrzającą się sytuacją Amerykanie starają się usprawnić pomoc dla swoich dawnych współpracowników. Departament Stanu USA ogłosił na początku sierpnia nowe przepisy, które ułatwiają ubieganie się o azyl tysiącom Afgańczyków, którzy współpracowali z amerykańskimi organizacjami pozarządowymi i mediami.

Pod koniec lipca Senat USA przyjął również ustawę zwiększającą liczbę przyznawanych tłumaczom wiz. Waszyngtońscy politycy obiecują również przyspieszenie procedury, która od lat krytykowana jest za niewydolność. Jak wynika z danych amerykańskiego Departamentu Stanu, od 2009 do marca 2021 r. afgańskim tłumaczom przyznano niecałe 21 tys. wiz. To o niemal 11 tys. mniej, niż dopuszczają obowiązujące w tym okresie limity.

Ostatnia prosta

Amerykanie wzięli się za reformę programu wizowego zbyt późno. Coraz częstszym zmartwieniem Afgańczyków jest teraz nie tylko to, kiedy i czy w ogóle dostaną wizę, ale także, jak przedostaną się do Kabulu, gdzie mieści się ambasada USA i ochraniane przez Amerykanów lotnisko (trwają negocjacje, by po wycofaniu amerykańskich wojsk odpowiedzialność za bezpieczeństwo przejęli tam Turcy).

To, jak trudne jest obecnie dotarcie do Kabulu, pokazują historie grupki szczęśliwców zakwalifikowanych do pierwszej ewakuacji dla tłumaczy. Serwis telewizyjny NBC News opisywał m.in. historię 31-letniego Mohammada, który, aby dostać się bezpiecznie z otoczonego przez talibów Kandaharu, musiał wykupić za 85 dolarów bilet lotniczy do Kabulu. Nie było go stać na przelot dla całej rodziny, dlatego jego żona i sześćoro dzieci wy-



MOHAMMAD SHOAIB WALIZADA:

Ze względów bezpieczeństwa ograniczyłem kontakty z większością znajomych.

ruszyli w podróż autobusem. To bardzo ryzykowne rozwiązanie, bo coraz więcej dróg w Afganistanie kontrolowanych jest obecnie przez talibów.

Fuks

W przeciwieństwie do tysięcy afgańskich tłumaczy Mohammad Shoaib Walizada może w końcu odetchnąć z ulgą. Gdy rozmawiamy 22 lipca, 31-latek od kilku dni przebywa na kwarantannie w przylotnikowym hotelu w Manchesterze. Do Wielkiej Brytanii dotarł dzięki wizie wydanej przez brytyjską ambasadę w Kabulu.

Mohammad miał dużo szczęścia. Zanim w 2010 r. zaczął pracować dla Amerykanów, odbył czteromiesięczny kontrakt dla brytyjskiej armii w prowincji Helmand. To wystarczyło, by 31-latek zakwalifikował się na przyspieszoną ewakuację dla tłumaczy i innych byłych brytyjskich sojuszników w Afganistanie.

– To nie mogło być prostsze – cieszy się Mohammad. – Wysłałem do brytyjskiej ambasady maila z numerem mojej odznaki i skanami listów polecających od brytyjskich przełożonych. Po kilku dniach dostałem zaproszenie na rozmowę w ambasadzie, a po miesiącu siedziałem już w samolocie do Manchesteru. Na taką pomoc od Amerykanów nie miałem szans – mówi Afgańczyk,

który o wizę do USA starał się przez osiem lat. Nie pomogły odwołania i interwencje ze strony dawnych przełożonych. Mohammadowi, który przepracował dla Amerykanów cztery lata, zarzucono brak „wiernej i wzorowej służby”.

Ewakuacja last minute

Ostatecznie 31-latek wyjechał z Afganistanu w odpowiednim momencie. Po tym jak zdesperowany zdecydował się pokazywać swoją twarz w amerykańskich mediach, ekstremiści zaczęli grozić mu śmiercią. Ostatnie pół roku spędził w ukryciu, mieszkując u zaufanych krewnych i przyjaciół.

– Prawie co noc zmieniałem miejsce pobytu – wspomina. – Ze względów bezpieczeństwa ograniczyłem kontakty z większością znajomych. Prawie nie korzystałem z mediów społecznościowych i często zmieniałem karty SIM. Za namową ojca zapuściłem też brodę i co trzy tygodnie krótko ścinałem włosy. Chciałem wyglądać zupełnie inaczej niż w czasach, gdy pracowałem dla amerykańskiej armii – Mohammad w swej opowieści nie kryje rozżalenia polityką wizową Stanów Zjednoczonych.

Cięta na amerykańską biurokrację jest też Behshta Sediqi, która po dwóch latach ciszy ze strony ambasady USA w Kabulu zaczęła desperacko szukać innych sposobów na ucieczkę z kraju. Przez myśl przeszedł jej nawet wyjazd do sąsiedniego Tadżykistanu, ale jako kobieta bała się zaryzykować. Ostatecznie 32-latką z prowincji Baghlan załapała się na ewakuację organizowaną przez Holendrów. Traf chciał, że jako tłumaczka współpracowała nie tylko z Amerykanami, ale także z holenderską i duńską armią.

– Denerwuje mnie, że zabrakło tak niewiele – mówi Behshta. – Zaledwie dwa dni po tym, jak przyleciałam do Holandii, dostałam maila z informacją, że Amerykanie przyznali mi wizę. Ale jeszcze kilka tygodni temu potrzebowałam natychmiastowej pomocy. Odkąd talibowie zajęli tereny oddalone o pół godziny drogi od naszej miejscowości, żyłam w ciągłym strachu. Przecież wielu naszych sąsiadów wie o tym, że pracowałam dla Amerykanów!

Behshta mówi, że dziękuje Bogu, że jest w końcu bezpieczna, ale bardzo boi się o bliskich. Oni zostali w Afganistanie.

© MARTA ZDZIEBORSKA



AFP / EAST NEWS

Przed punktem napełniania butli z tlenem, Mandalaj, Birma, 13 lipca 2021 r.

Rząd się wyleczy

MAREK RABIJ

W lutym władzę w Birmie przejęło wojsko. Teraz uderzył wariant Delta. Dla religijnych Birmańczyków to kolejny dowód, że rządzą nimi źli ludzie.

DWA BETONOWE KOMINY PLUJĄ W NIEBO kłębamii pary wodnej tuż przy parkingu, na którym zrozpaczeni bliscy przybyli na *phongyi*byan – buddyjską ceremonię pogrzebową – zostawiają samochody i skutery. Przechodnie już nie gromadzą się tu na chwilę nerwowej rozmowy, jak jeszcze kilkanaście dni temu, gdy rządowe radio i telewizja podały, że krematorium przy Yayway – największym cmentarzu w Rangunie – nie nadąza ze spopielianiem ciał kolejnych ofiar epidemii koronawirusa.

Yayway może w ciągu doby spalić do tysiąca zwłok. Dziesięć nowych krematoriów, które niebawem powstaną przy innych cmentarzach w mieście, będzie w stanie przygotować do pochówku łącznie 4 tys. ciał na dobę. Sam fakt, że kontrolowane przez juntę i sprzyjających jej oligarchów media podały takie informacje bez choćby szczypty propagandowych banałów, wskazuje na powagę sytuacji. Birma padła na kolana od uderzenia wariantu Delta.

Gorzej niż w Indiach

Choć w ciągu zaledwie dwóch miesięcy wykres dziennej dynamiki zgonów zmienił się z linii poziomej w niemal pionową, władze próbują udawać, że kontrolują sytuację. Liczba nowych infekcji wzrosła z niespełna 30 dziennie pod koniec maja do ponad 6,7 tys. pod koniec lipca. Ostatnio widać lekką poprawę – każdego dnia wykrywa się 4,4 tys. nowych zakażeń.

Ale oficjalnym statystykom nikt nie ufa. Bardziej wiarygodne wydają się sensacyjne doniesienia niezależnych serwisów internetowych, które podają dane rzekomo ukrywane przez juntę przed opinią publiczną. Wynika z nich, że aż 40 proc. testów na SARS-CoV-2 daje w Birnie wynik pozytywny.

W kraju trwa sezon monsunowy, który w wielu regionach ogranicza lub wręcz uniemożliwia podróżowanie, ale już we wrześniu opady będą mniejsze. Wtedy też epidemia może nabrać rozpędu. Krematoria powstają teraz w całym kraju, a ich wydajność wskazuje na to, że władze liczą się ze wzrostem liczby zgonów do nawet 6-7 tys. dziennie. Gdyby do tego rzeczywiście doszło, licząca 54 mln mieszkańców Birma przeżyłaby smutny pandemiczny rekord, jaki wiosną ustanowiły zamieszkiwane przez niemal przez 1,4 mld ludzi Indie.

– Nie ulega wątpliwości, że Birma znalazła się w równie trudnej sytuacji epidemicznej, co jej zachodni sąsiad w kwietniu, ale na tym kończą się podobieństwa – mówi dr hab. Michał Lubina z Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. – To państwo biedniejsze, ale także znacznie gorzej zorganizowane od Indii. Zwierzchność władz centralnych nad niektórymi terytoriami pogranicznymi, gdzie w rzeczywistości rządzi lokalne struktury plemienne, to tylko slogan propagandowy. Trudno sobie tam wyobrazić akcję szczepień czy skuteczny lockdown. W obliczu rosnącej fali zachorowań rząd indyjski mógł też liczyć na pomoc społeczności międzynarodowej, o którą birmańscy generałowie nie chcą nawet prosić.

„Nie możemy oddychać”

Grozę sytuacji potęguje fakt, że uderzenie Deltę zbiegło się z niemal całkowitym paraliżem systemu ochrony zdrowia. W lipcu rząd musiał wprowadzić zakaz sprzedaży butli z tlenem, zresztą notorycznie lekceważony, bo zestawy do oddychania, sprzedawane na czarnym rynku, biją cenowe rekordy. W Rangunie wojsko eskortujące dostawy tlenu do szpitali strzałami w powietrze rozpędziło tłum, który zaatakował ciężarówkę.

Birmańczycy nie mają wątpliwości, że państwo nie jest przygotowane na najgorsze. W internecie pojawił się hashtag #wecantbreathe („Nie możemy oddychać”), nawiązanie do śmierci George’a Floyda z rąk amerykańskiego policjanta. Tamta tragedia przykuła uwagę milionów ludzi na całym świecie. Ale sytuacją w peryferyjnej Birmie – zwłaszcza od czasu puczu – interesuje się garstka politologów i dyplomatów.

Gdy 1 lutego armia dokonała przewrotu, odsuwając od władzy Ligę na Rzecz Demokracji (NLD) pod przewodnictwem noblistki Aung San Suu Kyi, kraj sparaliżowały manifestacje uliczne. Uczestniczyło w nich nawet po 5 mln demonstrantów. Odpowiedź generałów, początkowo zaskoczonych skalą protestów, była brutalna – w ciągu niespełna trzech miesięcy od puczu wojsko aresztowało ponad 3,3 tys. osób, a co najmniej 739 zginęło od kul zaprawionych w bojach z partyzantami (i zdemoralizowanymi) żołnierzami i policjantami, których ściągnięto do miast z niespokojnych politycznie regionów pogranicznych.

Społeczeństwo, które nigdy nie dało sympatią cieszącej się wielkimi przywilejami armii, odpowiedziało masowymi strajkami, w których udział brali także pracownicy ochrony zdrowia. Ale generałowie i tym razem nie zamierzali się patyczkować. Personelowi medycznemu wydano nakazy pracy. Niektórzy z medyków zrezygnowali z posad i próbują prywatnych praktyk w zawodzie. Inni nie podporządkowali się poleceniom i wylądowali w aresztach. „Czuje się, jakbym łapał żaby porwaną torbą”, tłumaczył niedawno Agencji Reutera jeden z lekarzy pracujących w największym szpitalu w Rangunie. Z 400 osób personelu medycznego w pracy zostało tu niespełna 40.

Kryzys birmańskiego systemu ochrony zdrowia jest tym groźniejszy, że dotknął sektora, którego kondycję najlepiej opisuje porównanie do organizmu wycieńczonego długotrwałą głodówką. Badacze z uniwersytetu w Berkeley szacują, że w okresie pierwszych rządów junty (1962–2011) wydatki kraju na służbę zdrowia oscylowały w przedziale 0,3-3 proc. PKB, co było jednym z najgorszych wyników na świecie.

Armia szczepi się pierwsza

Pod koniec pierwszej dekady XXI w. – kiedy sytuacja w kraju zmusiła generałów do współpracy z opozycją – na ochronę zdrowia budżet przeznaczał średnio 0,4 dolara rocznie w przeliczeniu na mieszkańca. W sąsiedniej Tajlandii, którą również trudno uznać pod tym względem za wzór do naśladowania, na ten sam cel szło tymczasem po 61 dolarów na głowę.

Tatmadaw – jak zwie się w Birmie wszechpotężną armię – miało jednak inne priorytety budżetowe. Przeszło 40 proc. PKB pochłaniało utrzymanie ponad 550 tys. żołnierzy i zakup broni. Dopiero w 2017 r. rząd Aung San Suu Kyi zwiększył wydatki na ochronę zdrowia do 5,2 proc. PKB. Wcześniej władze rozkręciły kampanię, która miała ograniczyć proceder wymuszania na pacjentach dodatkowych opłat, np. za pościel do szpitalnego łóżka lub dostęp do toalety.

Częściowo udało się to osiągnąć – w 2015 r., kiedy NLD wygrała wybory po raz pierwszy, udział wydatków prywatnych w przychodach sektora ochrony zdrowia szacowany był przez Światową Organizację Zdrowia na poziomie

aż 85 proc. (przy globalnej średniej wynoszącej 32 proc.). W roku 2020 – który także przyniósł partii Suu Kyi wygraną w listopadowych wyborach – z kieszeni obywateli pochodziło już tylko 62 proc. wpływów krajowego sektora ochrony zdrowia. Niestety, tuż potem wojsko przewróciło stolik, do którego dziewięć lat wcześniej zaprosiło opozycję. Ponurym symbolem wstrzymania reform zaordynowanych systemowi ochrony zdrowia przez NLD było przejęcie partii szczepionek AstryZeneki, które gabinet Aung San Suu Kyi zdążył jeszcze zamówić w Indiach w celu zaszczepienia personelu medycznego. Preparat dostali prawdopodobnie żołnierze.

Podzieleni przez zagrożenie

Za działaniami generałów kryje się pokretna korporacyjna logika. W kraju złożonym z ponad 130 mniejszości etnicznych żołnierzom wpaja się przekonanie, że wojsko stanowi jedyną siłę zdolną do powstrzymania procesów odśrodkowych, które zagrażają integralności państwa. Część wojskowych – jak głównie dowodzący Min Aung Hlaing, który właśnie „przedłużył sobie” mandat o pół roku z uwagi na sytuację pandemiczną – nigdy nie miało do czynienia z regułami demokratycznego państwa prawa i uważa przewodnią rolę armii za coś naturalnego.

Dla niektórych członków Tatmadaw kryzys pandemiczny będzie z kolei argumentem za tym, by dochować wierności dowódcom-uzurpatorom. Książeczka wojskowa wiąże się bowiem z prawem do korzystania z wydzielonych przychodów i szpitali dla pracowników resortów siłowych, w których jakość opieki zdrowotnej stała zawsze na znacznie wyższym poziomie niż w pozostałych. Słowem: w obliczu zagrożenia wariantem Delta Birma podzieli się jeszcze bardziej.

– Wedle jednego z birmańskich wierceń ludowych sytuacja w państwie zależy od moralności rządzących. Pucz, jakiego dopuściła się armia, jest więc dla niej kłopotliwy wizerunkowo – tłumaczy Michał Lubina. – Wielu Birmańczyków odczyta to bowiem tak: w lutym Tatmadaw obaliła demokratycznie wybrany rząd i tuż potem sytuacja epidemiczna w kraju, który wcześniejsze fale pandemii potraktowały zaskakująco wręcz łagodnie, nagle bardzo się zaostrzyła. ©P

Czy k-pop zbawi świat

ROMAN HUSARSKI

Nową cechą popu z Korei Południowej stał się jego antyrasizm. Kolejny raz hybrydowość tego gatunku, z natury negująca nacjonalizmy, jest jego siłą.

MŁODE, SMUKŁE TWARZE W MAKIJAŻACH. Dopracowana stylistyka. Dynamiczny taniec i perfekcyjna choreografia. Zespoły zwykle wieloosobowe, podział na grupy damskie lub męskie. Estetyka k-popu jest dobrze znana. Ale samo zjawisko trudno zdefiniować.

Liczy się aegyo

Wydaje się, że k-pop powinien po prostu oznaczać koreańską muzykę popularną. Profesor Shin Hyun-joon, który od ponad dekadę bada koreańską scenę muzyczną, definiuje jednak k-pop w węższy sposób: jako „muzykę pop stworzoną w Korei Południowej dla odbiorców spoza Korei”. Choć omawiane przez niego zespoły odnosiły sukces również w kraju, ich karierę planowano pod podbój światowych rynków.

Shin wskazuje trzy firmy, które w największym stopniu odpowiadają za ich sukces i dominują dziś na rynku: CJ Entertainment, Showbox i Lotte Entertainment. Te trzy marki, należące do większych konglomeratów, wcześniej niezwiązanych z popkulturą, wyłoniły się po kryzysie ekonomicznym 1997 r., który osłabił poprzednich gigantów na rynku rozrywki, Samsung Entertainment i Daewoo Entertainment.

Warto dodać, że według definicji Shina do k-popu nie zalicza się muzyk Psy (Park Jae-sang), autor słynnego utworu „Gangnam Style”, satyry na nowobogackich mieszkańców dzielnicy Gangnam w Seulu, często postrzegany jako twarz gatunku.

Wspomniane firmy pierwsze zaczęły stosować model biznesowy znany z Japonii. Nad sukcesem artystów pracują ogromne sztaby ludzi od wizerunku, linii melodycznych, mediów, choreografii, diety czy teledysków. Lista wymagań stawianych przyszłym gwiazdom jest

długa. Oprócz umiejętności wokalnych i tanecznych, cenione są: ponadprzeciętny wzrost, szczupła sylwetka i odpowiednie proporcje twarzy. Liczy się też *aegyo* – dziecięcy urok wyrażany przez gesty i sposób mówienia. Kandydaci na gwiazdy trenują czasem latami w specjalnych akademiach. Tylko nieliczni (nie więcej niż 3 proc.) dostają szansę na rozpoczęcie kariery.

Tak powstała fabryka idoli. Artystka BoA (debiut w 2000 r.) śpiewała nie tylko we własnym języku, ale też po japońsku i chińsku. Znana jest świetnie także w Azji Południowo-Wschodniej. Takie zespoły jak H.O.T., SHINee, Big Bang czy Girls' Generation przyciągają ogromną widownię. W 2009 r. doszło do tragedii, gdy w Szanghaju stratowaniu uległo kilkuset fanów (jedna ofiara śmiertelna), którzy próbowali się dostać na koncert grupy Super Junior.

Ile Korei w k-popie

Sukces k-popu ma wiele przyczyn. Muzycznie bazuje na wpadających w ucho rytmach takich gatunków, jak hip-hop, R&B oraz dance. Budzi podziw jakością wykonania i talentem muzyków. Ale to nie wszystko. K-pop powstał w państwie cieszącym się gigantycznym sukcesem gospodarczym i kojarzył się z miejską nowoczesnością – czymś, o czym nie tylko w Korei marzyło i marzy wielu. Dla wielu jej odbiorców estetyka tej muzyki pozbawiona jest aż tak wulgarnej erotyki, narkotyków, przemocy i ostrego języka, które kojarzą im się z amerykańskim popem. Okazało się to wielkim atutem w bardziej konserwatywnym społeczeństwie Bliskiego Wschodu i Afryki. K-pop ma też przewagę nad jego japońskim odpowiednikiem – mieszkańcy Chin czy Azji Południowo-Wschodniej chętniej wybierają produkt nieobciążony kolonialnymi skojarzeniami.

John Lie, autor książki „K-Pop: Popular Music, Cultural Amnesia, and Economic Innovation in South Korea”, twierdzi jednak, że w k-popie niewiele jest kultury koreańskiej. Od strony muzycznej k-pop jest zaprzeczeniem tradycyjnej muzyki tego kraju, pansori – jest dynamiczny, a nie statyczny, oraz sylabiczny, inaczej niż „chrapliwa” pansori. W dodatku nieobecny w muzyce tradycyjnej taniec jest integralną częścią wykonania zespołów k-popowych.

W braku koreańskości w k-popie może tkwić kolejny powód jego sukcesu. Gdy pierwszy raz oglądamy teledyski k-popowe, nie czujemy się zagubieni, a nawet zrozumiemy szereg angielskich fraz (te wysławiane z koreańskim akcentem nazywane są *English*). Również od strony tekstowej k-pop operuje przekazem tyleż prostym, co silnie angażującym emocjonalnie. Muzycy śpiewają: bądź sobą, nie poddawaj się, nie bój się swoich uczuć. K-pop, jako towar hybrydowy, pozwala na przezwyciężenie różnic.

Największy fandom

Zostać fanem k-popu jest łatwo. Ale jest różnica między „fanem” a „Fanem”.

Największy fandom tworzą miłośnicy zespołu BTS, którzy sami nazywają siebie Armią. Męski zespół złożony z siedmiu wokalistów zadebiutował w 2013 r. i zyskał rozpoznawalność jako zaangażowany społecznie. O BTS powstają już książki. Grupa ma prawie 47 mln fanów na Instagramie.

Choć w k-popie mało jest dydaktyki, wielu fanów wierzy, że ich muzyka zmienia świat na lepsze. Miłośnicy grupy Seo Taiji and Boys zaskoczyli wielu, zbierając równowartość 35 tys. dolarów dla organizacji ochrony przyrody World Land Trust. Fani zespołu Twice wsparli organizację charytatywną zajmującą się rozdawaniem podpasek w Indiach. Ofiarom tajfunu „Ulysses” na Filipinach z pomocą spieszyli członkowie Armii. Wspólnymi siłami fani k-popu ufundowali wypłaty dla kierowców tajszych tuk-tuków, których biznes z powodu braku turystów w okresie pandemii wyjątkowo ucierpiał. Za ozdobienie swoich taksówek twarzami idoli otrzymują oni comiesięczną wypłatę.

Ostatni rok ujawnił również polityczne aspiracje fanów k-popu – a szczególnie zespołu BTS. Głośny był ich udział w protestach po zabójstwie George'a Floyda w Stanach Zjednoczonych. Armia „zneu-



THE CHOSUNILBO INS / IMAGINE

Zespół Just B podczas prezentacji swojego debiutanckiego albumu, Seul, 30 czerwca 2021 r.

tralizowała” na Twitterze hashtagi przeciwników protestów Black Lives Matter... zdjęciami swoich idoli. Aplikacje i WatCha spamowano wizerunkami BTS po tym, gdy policja z Dallas zaapelowała na Twitterze do obywateli o zgłaszanie i udostępnianie filmów z wszelkich nielegalnych protestów. Antyrasizm stał się nową twarzą międzynarodowego k-popu. Kolejny raz hybrydowość, z natury negująca wszelkie nacjonalizmy, stała się jego siłą.

Członkowie zespołu BTS odpowiedzieli na zaangażowanie swoich fanów, przekazując milion dolarów na organizację Black Lives Matter. Fani, w odpowiedzi, zebrali kolejny milion. Innym razem zakpili z Donalda Trumpa, masowo rezerwując bilety na jego wiec w Tulsie i nie pojawiając się na wydarzeniu. Podczas protestów w Hongkongu i Tajlandii miłośnicy k-popu zbierali pieniądze na odzież ochronną dla protestujących i ich sądowe kaucje. Podczas manifestacji chętnie wykorzystywano k-popowe piosenki i układy taneczne.

Zaangażowanie k-popu w polityczne protesty jest czymś nowym. Zespoły z wielkich wytwórni były nieobecne nawet podczas masowych demonstracji przeciwko prezydent Park Geun-hye

(obecnie odbywa karę więzienia) w 2016 i 2017 r. Wielkie koreańskie firmy znane są ze swoich związków z władzą, stąd wykonawcy byli raczej kojarzeni z propaństwowych imprez. Prezydent Lee Myung-bak (2009-13, obecnie w więzieniu za korupcję) programowo wykorzystywał koreańską falę w celach promocyjnych. Muzycy k-popu towarzyszyli mu nawet w podróżach zagranicznych.

Koreańska muzyka była też bronią przeciwko Korei Północnej. Aż do 2018 r. w tzw. strefie zdemilitaryzowanej, w odpowiedzi na propagandę z Północy, puszczano z głośników k-pop. W 2015 r. Pjongjang zagroził przeprowadzeniem bombardowania głośników na granicy. Głośna była historia północnokoreańskiego żołnierza, który wielokrotnie postrzelony przedostał się na południową stronę. Gdy obudził się w szpitalu, miał poprosić o puszczenie mu k-popu. Choć po spotkaniu na szczycie Północ-Południe w kwietniu 2018 r. wstrzymano odtwarzanie muzyki, nie straciła ona politycznego znaczenia.

Co dalej

Dziś przed przemysłem k-popowym jest wiele znaków zapytania. Coraz czę-

ściej w samej Korei krytykuje się biznes za budowanie wygórowanych standardów, kult ciała czy seksizm. Niektóre badania wskazują na to, że część koreańskich fanów nie akceptuje fanów z zagranicy, uważając ich za „nieautentycznych”. Ostatnio skrytykowano nawet zespół BTS – za to, że śle pieniądze za granicę, zamiast wesprzeć starania ograniczenia rasizmu we własnym kraju.

Są też tacy, którzy oceniają tego typu działania jako kolejną strategię marketingową i część większego zwrotu firm w kierunku rynków zachodnich. W końcu to Chiny przyniosły koreańskiej gospodarce milionowe straty, gdy nagle wstrzymały import miejscowej popkultury (w 2016 r.), a relacje z Japonią od 2019 r. pozostają bardzo chłodne.

Niezależnie od krytyki, k-pop dalej będzie inspirował – zdolność tego biznesu do zaskakiwania i odpowiadania na kolejne wyzwania wydaje się niewyczerpana. ©

Autor wydał w tym roku książkę reporterską „Kraj niespokojnego poranka. Pamięć i bunt w Korei Południowej”.

PODZWONNE DLA IMPERIUM

SŁAWOMIR POPOWSKI, WIELOLETNI KORESPONDENT W MOSKWIE:

Chwilę po szóstej 19 sierpnia 1991 r. obudził mnie telefon, znajomy powiedział: „Dzieje się historia, a ty śpisz?

Włącz telewizor”. Leciąco „Jezioro łabędzie”.

Skoro je nadają, to w kraju coś się wydarzyło.



ZBIGNIEW ROKITA: Zaczyna się pucz Janajewa – zamach stanu betonu partyjnego, który chciał zatrzymać proces usamodzielniania się republik tworzących Związek Sowiecki. Czy w ostatnich dniach przed nim dało się wyczuć w powietrzu, że na coś się zanosi?

SŁAWOMIR POPOWSKI: I tak, i nie. Z jednej strony w rozmowach z Rosjanami nic takiego nie wyczuwałem. Ale 18 sierpnia, na dzień przed puczem, nadałem swoją pierwszą depezę dla „Rzeczpospolitej”, w której pisałem o Aleksandrze Jakowlewiewie [pomysłodawca pieriestrojki, doradca Michaiła Gorbaczowa – red.], który ostrzegał, że niebawem może dojść do przewrotu.

Przypomnijmy, że w latach 1985-90 byłeś korespondentem PAP w Moskwie, a od lata 1991 r. pracowałeś właśnie dla dziennika „Rzeczpospolita”.

Dziś wiadomo, że takich sygnałów było więcej. Podczas wizyty Borysa Jelcyna w Waszyngtonie w czerwcu 1991 r., którą składał już jako prezydent Rosji, Jelcyn zadzwonił razem z prezydentem George’em Bushem do Gorbaczowa [wówczas prezydenta Związku Sowieckiego – red.], i wspólnie ostrzegali go przed puczem. Krótko potem Bush, goszcząc w Moskwie, po raz kolejny ostrzegł Gorbaczowa, powołując się na raporty CIA. Namawiał go, aby zrezygnował z wyjazdu z Moskwy na urlop latem.

Gorbaczow nie posłuchał i udał się na Krym, gdzie puczyści go internowali.

Zrobili to ludzie, którym kilka miesięcy wcześniej sam powierzył władzę. Pod koniec 1990 r. kilkuset deputowanych sowieckiego parlamentu domagało się głowy Gorbaczowa. Uważali, że jego polityka zagraża istnieniu Związku Sowieckiego...

...i mieli w tym nieco racji.

Gorbaczow zgodził się wówczas odwołać szefa dyplomacji Eduarda Szewarnadzego, a następnie obsadził kluczowe stanowiska twardogłowymi krytykami pieriestrojki. To wtedy Giennadij Janajew i Walentin Pawłow, późniejsi puczyści, zostali odpowiednio wiceprezydentem i premierem Związku Sowieckiego. Wtedy też pod presją betonu partyjnego Gorbaczow polecił opracować plan siłowego zablokowania procesu usamodzielniania się republik związkowych.

Ale nie zdążono skorzystać z tego planu.

Zdążono, choćby w styczniu 1991 r., zabijając kilkunastu obrońców wieży telewizyjnej w Wilnie. Gorbaczow zdał sobie wówczas sprawę, że to zła droga. Dlatego po referendum, w którym w marcu 1991 r. obywatele mieli się wypowiedzieć, czy chcą zachowania Związku Sowiec-



ALAIN NOGUES / SYGMA / GETTY IMAGES

Demonstranci przetaczają pod rosyjski Biały Dom metalową rurę, aby zbudować barykadę i stawić opór puczystom. Moskwa, 20 sierpnia 1991 r.

kiego, zaczął prace nad nowym traktatem związkowym.

Chciał zrewidować traktat z 1922 r. i na nowo ustalić relacje między republikami. 20 sierpnia dziewięć republik, w tym Rosja, Ukraina, Białoruś i Kazachstan, miało powołać Związek Suwerennych Republik Sowieckich. Nie powołały, bo dzień wcześniej dokonano zamachu stanu.

Traktat był gotowy i miał rozwiązywać problemy, z którymi borykał się Gorbaczow. Związek Sowiecki miał zamienić się w konfederację niezależnych podmiotów. Centrum miało zachować jedynie częściową kontrolę nad polityką obronną czy zagraniczną. To gdybanie, ale gdyby Gorbaczow posłuchał Busha i nie pojechał na urlop, gdyby nie było puczu, wówczas prawdopodobnie udałoby się ten traktat podpisać i stworzyć nowe państwo związkowe.

Puczyści działali pod presją czasu. Pod koniec lipca w sprawie nowego traktatu spotkali się główni gracze: Jelcyń, Gorbaczow i lider Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew. Ich rozmowa została podsłuchana i jej zapis trafił na biurko szefa KGB Władimira Kriuczkowa, który był mózgiem puczu.

Co Kriuczkow wyczytał w stenogramie?

Ustalenie, że twardogłowi powinni zniknąć z sowieckiego kierownictwa. Chodziło o późniejszych puczystów, czyli właśnie Kriuczkowa, a także Pawłowa, Janajewa czy ministra spraw wewnętrznych Borysa Pugo. Kriuczkow zrozumiał, że to ostatni moment, by zablokować reformy i ocalić pozycję.

Niektórzy twierdzą, że Gorbaczow był zwolennikiem puczu. Według tej wersji nie przystąpił do niego oficjalnie, czekał na rozwój wypadków,

ale sprzyjał działaniom, które miały zablokować rozpad Związku Sowieckiego i umocnić jego władzę jako prezydenta.

To popularna w tamtym czasie plotka, ale nieprawdziwa. Działania puczystów nie były mu na rękę. Oni chcieli, by Gorbaczow firmował ich jako figurant. Widziałem powrót do Moskwy Gorbaczowa i jego żony Raisy. Ona doznała w tych dniach udaru. Podczas internowania Gorbaczowowie naprawdę bali się, co będzie dalej.

Według wspomnianej przeze mnie wersji ochrona Gorbaczowa miała być liczniejsza niż funkcjonariusze KGB, którzy dostali zadanie, by go internować.

Może była liczniejsza, ale co z tego? Wśród puczystów był Jurij Plechanow z KGB, który odpowiadał za ochronę prezydenta. Grupa puczystów zjawiała się w daczach Gorbaczowa na Krymie →

→ 18 sierpnia, dzień przed ogłoszeniem stanu wyjątkowego. Na jej spotkanie wysła ochrona Gorbaczowa, ale na rozkaz Plechanowa odstąpiła. Gorbaczow nie miał łączności ze światem, odłączono telefony, zabrano mu walizeczkę z kodami atomowymi. Znalazła się w rękach puczystów. Nie mógł oglądać telewizji – włączyli mu ją tylko na moment, by zobaczyć, jak ogłaszany jest stan wyjątkowy. Gorbaczow wiedział jednak, co się dzieje, bo potajemnie udało mu się zachować tranzystorowe radyjko Sony.

Jak dowiedzieli się o puczu?

Chwilę po szóstej obudził mnie telefon. Znajomy korespondent powiedział: „Dzieje się historia, a ty śpisz? Włącz telewizor”. Włączyłem, a tam leciało „Jezioro łabędzie”. Dla wszystkich było jasne, że skoro je nadają, w kraju coś się wydarzyło.

Pucyści nie internowali Jelcyna.

Dlaczego? Był prezydentem Rosji, potężnym politykiem.

Liczyli, że konflikt między Jelcynem i Gorbaczowem jest tak silny, iż Jelcyn zachowa co najmniej neutralność, a może uda się z nim dogadać. Aresztowanie go mogłoby doprowadzić do protestów, a tego na pierwszym etapie zamachu stanu chcieli uniknąć. Poza tym wśród puczystów nie było jednomyślności. Spierali się, kogo aresztować. Premier Pawłow chciał internować nawet półtora tysiąca liderów opozycji demokratycznej, ale większość puczystów była umiarkowana. Chcieli realizować model prasko-chruszczowski: bezkrwawo wymienić przywódcę, tak jak postąpiono z Nikitą Chruszczowem w 1964 r., a jednocześnie zademonstrować siłę, jak to się stało w Czechosłowacji w 1968 r.

Jak Jelcyn zareagował na ogłoszenie stanu wyjątkowego przez puczystów?

Nowiny zastały go w rezydencji pod Moskwą. Po naradzie z otoczeniem postanowił, że nie będzie rozmawiać z puczystami i otwarcie przeciw nim wystąpi. Teren wokół jego rezydencji obstawili KGB i specnaz, ale nie wydano rozkazu zatrzymania Jelcyna. Spokojnie dojechał do Białego Domu, czyli siedziby parlamentu.

Pucyści nie zdawali sobie sprawy, jakim zagrożeniem może być dla nich Jelcyn?

Pucyści popełnili wiele błędów. Nie wykorzystali elementu zaskoczenia i nie podjęli zdecydowanych działań.

Ich ruchy były spóźnione, a między nimi brakowało zgody.

Zdawali sobie znakomicie. Już nazajutrz w raporcie KGB pisano, że postępowanie puczystów wobec Jelcyna jest błędne. Przegapiono moment, gdy należało działać bardziej zdecydowanie.

O puczu opowiada się na ogół jako o starciu liberalnego Gorbaczowa z betonem partyjnym. Wydaje mi się, że była to raczej walka między Związkiem Sowieckim i Rosją, czyli wizją państwa unitarnego i wizją konfederacji. Być może pucz był wymierzony głównie w Jelcyna, a nie w Gorbaczowa?

Coś w tym jest. Ale dla puczystów najważniejsze było podporządkowanie sobie popieranego przez Zachód Gorbaczowa. Jelcyn wykazał się natomiast znakomitą instynktem politycznym i dzięki swoim działaniom wobec puczu bardzo się umocnił. Kilka godzin po ogłoszeniu stanu wyjątkowego wszedł na czołg przysłany przez puczystów. Wezwał do uwolnienia Gorbaczowa i potępił pucz. Wypowiedział w ten sposób wojnę puczystom. Powiewała za nim trójkolorowa rosyjska flaga, pierwszy raz od 1917 r.

Co działo się na ulicach?

Krążyłem po Moskwie i to obserwowałem. Życie wielu ludzi toczyło się bez zmian. Koło gastronomu Sputnik na Kutuzowskim prospekcie kolejka była długa jak zawsze. Z drugiej strony zaczął się strajk generalny. Pamiętam, jak na moście Kutuzowskim w centrum miasta kierowca trolejbusu przyłączył się do strajku: zatrzymał pojazd, zabrał drugie śniadanie i poszedł do domu. Do Moskwy ściągnięto kilka tysięcy żołnierzy, kilka set transporterów opancerzonych i czołgów. Wszędzie było je widać.

Ale żołnierze nie wiedzieli, co robić. Nie dostali dalszych rozkazów, pucyści byli niezdecydowani.

Mało tego, ponoć zapomniano ich zaopatrzyć w racje żywnościowe. Stali bezczynnie przy czołgach, a moskwianie podchodzili do nich, jedni im wygrazali, inni przynosili im jedzenie, wodę, czasem alkohol i mówili: „Do nas będziecie strzelać? Moskwa to nie Baku, Tbilisi czy Wilno!”.

Żołnierzom pozostało czekać.

Nie wszyscy czekali. Załogi kilku czołgów przeszły na stronę Jelcyna i ogłosiły, że będą bronić Białego Domu. W tym czasie ludzie tłumnie schodzili się pod parlament i wznosili barykady. Początkowo wyglądały śmiesznie, rzucano na kupę jakieś deski, kosze na śmieci. Najważniejszy miał okazać się jednak drugi dzień puczu. Jelcyn zwołał wiec, byłem na nim wraz z przynajmniej stoma tysiącami ludzi. Przemawiał z balkonu Białego Domu, zasłaniany pancernymi tarczami przez ochroniarzy. Koło południa wiedziano już, że pucyści zmienili taktykę, wybrali wariant wileński, czyli szturm na Białą Dom. Mało tego: wiedziano też, że szturm nastąpi nocą z drugiego na trzeci dzień puczu.

Jak te informacje trafiły do Jelcyna?

Za plan szturmowania odpowiadał Paweł Graczow, późniejszy minister obrony Rosji. Zachował się lojalnie wobec Jelcyna i przekazał mu szczegóły, w tym godzinę ataku. W tym czasie kilkanaście tysięcy Rosjan zostało pod parlamentem na noc. Trzymali się za ręce, jak żywe tarcze. Aleksander Ruckoj, ówczesny wiceprezydent Rosji, organizował obronę.

Dwa lata później Ruckoj zbuntuje się przeciw Jelcynowi i podczas kryzysu konstytucyjnego będzie bronić się w tym samym budynku przed szturmem wojska wiernego Jelcynowi.

A ten każe ostrzelać Białą Dom, jego nimb demokracji przysię.

To prawda, ale w 1991 r. Ruckoj stał wiernie u boku Jelcyna. Przygotowywał dla niego nawet plan ewakuacji.

Dokąd?

Do ambasady USA. Znajduje się kilka set metrów od Białego Domu. Gdy w nocy oczekiwano szturmów, Aleksander Korżakow, szef ochrony Jelcyna, przekonał go, aby położył się gdzieś w kącie spać. Gdy

padły pierwsze strzały, prezydent Rosji się obudził, a jego ludzie chcieli wywieźć go do ambasady USA.

Ale nie wywieźli.

Jelcyn wykazał się świetnym instynktem: postanowił, że zostanie w Białym Domu. Gdyby uciekł, przegrałby politycznie. Przygotowano też plan utworzenia rządu rosyjskiego na uchodźstwie, ale do tego również nie doszło.

Dokąd rząd Rosji miał być ewakuowany?

Do bunkra w Swierdłowsku, dzisiaj Jekaterynburgu. Miasta, w którym na świat przyszedł Jelcyn, i w którym w przeszłości pełnił funkcję sekretarza partii [w 1918 r. w Jekaterynburgu został zamordowany car Mikołaj II z rodziną. Jelcyn już jako prezydent Rosji udzielił zezwolenia na ekshumację ciała – red.].

Wiadomo, jaka część Rosjan opowiedziała się za puczem? Historię piszą zwycięzcy, ale zapewne byli tacy, którzy w tych dniach poparli zamach stanu.

Tak, byli i zwolennicy puczu. Ale najważniejsi gracze, tacy jak demokraci, inteligencja czy władze miejskie Moskwy i Leningradu, poparli Jelcyna.

Dlaczego pucz się nie powiódł?

Wśród puczystów byli premier, minister obrony i szef KGB, poparli ich m.in. Chiny czy Francja. Mieli niby wszystkie karty w ręce.

Zadawaliśmy sobie wówczas w Moskwie to pytanie i śmialiśmy się, że gdyby puczyści skorzystali z doświadczenia Jaruzelskiego, wiedzieliby, jak wprowadza się stan wyjątkowy. Popelnili wiele błędów. Nie wykorzystali elementu zaskoczenia i na początku nie podjęli zdecydowanych działań. Ich ruchy były spóźnione, a między nimi nie było zgody. Okazało się poza tym, że władza sowiecka nie sięga już dalej niż do granic Moskwy. Republiki po prostu zignorowały stan wyjątkowy. Wydarzenia tych dni rozgrywały się tylko w Moskwie i Leningradzie.

Puczystom brakowało przywództwa, Janajew w tych dniach był ciągle pijany.

On stał się twarzą puczu, bo był po Gorbaczowie drugą osobą w państwie,



SŁAWOMIR POPOWSKI (ur. 1948) jest dziennikarzem, znawcą tematyki wschodniej. W latach 1985-90 moskiewski korespondent PAP, a w latach 1991-95 korespondent „Rzeczpospolita”. Członek redakcji dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”.

ale nie był liderem przewrotu – o tym, że taki jest przygotowywany, dowiedział się na dzień przed jego przeprowadzeniem. Niechętnie, ale przyłączył się do spisku. Byłem na konferencji prasowej, na której puczyści tłumaczyli, że zdecydowali się przejąć władzę ze względu na rzekomo zły stan zdrowia Gorbaczowa. Pamiętam trzęsące się przez alkohol ręce Janajewa. Telewizja pokazała je w zbliżeniu, stały się symbolem.

Nocą z 20 na 21 sierpnia zaczął się szturm Białego Domu. Co było dalej?

Padły pierwsze ofiary, ale część oddziałów odmówiła wzięcia udziału w walce, a po jakimś czasie minister obrony Dmitrij Jazow najpierw nakazał wstrzymać szturm, a następnego dnia rano – wycofać wojsko z Moskwy. Bał się, że ofiar będzie za dużo, a wojsko zostanie kozłem ofiarnym. Budynku nie zdobyto i nawet nie podjęto bezpośredniego ataku. W tym momencie było wiadomo, że pucz upadł. Gdy rano poszedłem do Białego Domu, panowała atmosfera triumfu. Spierano się już tylko o to, kto poleci na Krym uwolnić Gorbiego.

Pucz przesądził o upadku Związku Sowieckiego?

Nie przesądził o tym sam pucz, lecz to, co nastąpiło bezpośrednio po nim. W Moskwie rozpoczęła się rewolucja, przez niektórych doradców Gorbaczowa nazywana kontrpuczem. Pamiętam to. Ludzie

ciągną pod Łubiankę, siedzibę KGB. Budynek jest obsadzony przez snajperów, tłum chce go zdobyć. Pojawia się widmo scenariusza rumuńskiego. Ale władze Moskwy przekonują ludzi, że może poleć się krew, i wzywają, by zamiast tego obalić pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, co też uczyniono. Następnego dnia tłum otacza budynek komitetu centralnego partii, atmosfera jest groźna. Przedstawiciele miejskich władz wchodzą do budynku i informują władze partyjne, że Gorbaczow postanowił zawiesić działalność Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego na terenie Rosji – zrobił to pod naciskiem Jelcyna – i że oni muszą oddać klucze i się wynieść. Klucze oddaje główny finansista partii, Nikołaj Kruczina, który wkrótce popełni samobójstwo. Wyobraźmy to sobie: pracownicy KC wychodzą przez szpaler wściekłych ludzi, ścieżkę hańby, są obrzucani wyzwiskami. Ten kontrpucz trwał trzy dni. Jelcyn rozumiał znaczenie ulicy i grał jej nastrojami. Inaczej Gorbaczow, który po uwolnieniu popełnił swój największy błąd.

Po powrocie do Moskwy nie udał się do ludzi zebranych pod Białym Domem, lecz zamknął się w domu.

Gdy wracał, po uwolnieniu z Krymu, był bohaterem. Miał szansę przejąć kontrolę, pójść do tłumy, na nowo zostać liderem. Zamiast tego stał się nikim. Mało tego: następnego dnia w starym sowieckim stylu zajął się obsadzaniem stanowisk zwolnionych przez puczystów. Tych bowiem aresztowano, a szef MSW Pugo odebrał sobie życie. Jelcyn nie zgodził się na część nominacji Gorbaczowa i wręcz zażądał ich odwołania, choć agencja TASS oficjalnie już o nich poinformowała. Gorbi musiał się wycofać. Tego samego dnia, 23 sierpnia, Gorbaczow spotkał się wreszcie z deputowanymi rosyjskiej Rady Najwyższej. Pamiętam ten żenujący widok i jego wystąpienie, chyba najgorsze w całej karierze politycznej. I tę bezradność, gdy na jego oczach Jelcyn demonstracyjnie podpisywał dekret o zawieszeniu działalności Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego na terenie rosyjskiej republiki. Gorbaczow nie rozumiał, że nie ma już państwa, którego formalnie wciąż był prezydentem. Jak napisał potem historyk Serhij Płochij: oto Rosja buntowała się przeciw własnemu imperium.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

IMIGRANCY W KRAJNIE NAUKI

Ze zdrowym rozsądkiem
wiąże się pewien paradoks.
Wszyscy go mają, ale nie każdy ma taki sam.
Każdemu jego rozsądek jawi się
jako oczywiście prawdziwy,
dlatego tak bardzo nas on dzieli.
Nie tylko w pandemii.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

MAM NADZIEJĘ, ŻE ISTNIEJE GDZIEŚ lepszy, równoległy wszechświat, w którym Jacob Bronowski współtworzył polskie życie naukowe. Jest też w nim klasykiem polskiej literatury i telewizji.

W naszym wszechświecie Bronowski urodził się w 1908 r. w Łodzi, ale jako dziecko wyemigrował z rodziną najpierw do Niemiec, a później do Anglii. Jako dwunastolatek znalazł się w dalekim kraju, wśród obcych ludzi, otoczony językiem, w którym – jak sam później przyznawał – znał zaledwie dwa słowa. To doświadczenie wyobcowania na początku lat 30. było dla niego kluczowym wspomnieniem. Uczony wielokrotnie wracał do niego w książkach i wystąpieniach publicznych.

Pół wieku później Bronowski żegnany był jako jeden z tytanów nie tylko brytyjskiej nauki, lecz także anglojęzycznej literatury i kultury. Przekraczając granice między światami „humanistów” i „ścisłowców”, wniósł istotny wkład w rozwój matematyki, fizyki, biologii, ale zasłynął także jako uznany specjalista od poezji Williama Blake’a i wybitny po-

pularyzator nauki. Największy rozgłos Bronowski zdobył jako twórca popularnego serialu „Powstawanie człowieka”. Dzieło to przeddefiniowało nowoczesną naukową telewizję, inspirując produkcje takie jak „Kosmos” Carla Sagana czy jego kontynuację, której gospodarzem był Neil deGrasse Tyson. Jeżeli lubicie te serialowe naukowe superprodukcyjne, podziękujcie Bronowskiemu – ich poetyka, sposoby narracji, przede wszystkim zaś język zostały stworzone przez tego niepozornego, niziutkiego imigranta, który przyплыł do Anglii z dwoma słowami w kieszeni.

Przez całe życie Bronowskiego fascynował zdrowy rozsądek i jego skomplikowane relacje z nauką. W książce „The Common Sense of Science” nasz bohater przygląda się roli zdrowego rozsądku w nowoczesnym świecie ukształtowanym przez technologię. W laikach próbujących zrozumieć naukę dostrzega powidok dawnego siebie – chłopca wrzuconego nagle w świat obcego sobie języka i niezrozumiałych reguł. Nauka może działać wiele – podkreśla Bronowski – ale na dłuższą metę nie będzie funkcjonować skutecznie w oderwaniu od spo-

łeczeństwa, czy wręcz wbrew niemu. Jak zatem nauczyć społeczeństwo języka matematyki, fizyki czy biologii? Jak przerzucić most między systemem nauki a zdrowym rozsądkiem? Oto kluczowe wyzwania nowoczesności, od którego zależeć może nasz los.

Czas pandemii sprawia, że problem ten powraca z nową mocą. W walce z globalnymi wyzwaniami jak nigdy potrzebujemy naukowych rozwiązań. Zarazem to zdrowy rozsądek okazuje się niespodziewanie jedną z kluczowych kart, którą z równą chęcią zagrywają wszystkie strony konfliktu.



Zgrana karta

Grupa starszych mężczyzn gra w karty przy stoliku na świeżym powietrzu. Czterech siedzi spokojnie, w skupieniu oglądając swoje figury, podczas gdy piąty przesadnie zamaszystym gestem wyklada na stół pojedynczą kartę. Jak gdyby potężnym ciosem zamierzał rozgnieść swych oponentów (albo zabić natrętą muchę). To jeden z najcelniejszych memów przewijających się w ostatnich miesiącach przez wszystkie internetowe dyskusje o nauce i pseudonauce. Siedzący spo-

kojnie podpisani są „prawa fizyki”, „mierzalne zjawiska”, „badania naukowców”, „raport IPCC”. Triumfujący gracz ma nad sobą wielki napis „chłopski rozum”.

Dowcipów obrazkowych w żadnym wypadku nie należy opowiadać. Tym bardziej jeśli obraz, jak w tym przypadku, naprawdę znaczy więcej niż tysiąc słów. Zarzykowałem jednak złamanie tej złotej

zasady, ponieważ memy są dziś ważnym świadectwem zdrowego rozsądku, stanowią więc świetny punkt wyjścia w refleksji nad nim. Popularne internetowe obrazki podsumowują wątki i zamykają rozmowę. „Nie ma co gadać”. „Tak jest, przecież widać”. „W punkt”. „Zaorano”. A zdrowy rozsądek to właśnie to, co „każdy rozsądny” widzi.

W dyskusji towarzyszącej pandemii odwołania do zdrowego rozsądku pojawiają się niezwykle często. „Tego wymaga dzisiaj zdrowy rozsądek” – mówił prezydent Andrzej Duda, informując że się zaszczepi. Ministerstwo Zdrowia prowadziło kampanię pod hasłem: „Noś maseczkę. Zdrowy rozsądek nic nie kosztuje”. Ci, którzy wprawdzie nie uważają szczepień za zbrodnię przeciw ludzkości, ale są za „prawem do wyboru”, sprzeciwiają się „ideologii sanitaryzmu” właśnie pod sztandarem zdrowego rozsądku: „Wiele zaszczepionych osób wcale nie boi się i nie dyskryminuje niezaszczepionych, a nawet stanowczo sprzeciwia się sanitaryzmowi. Wiedzą, że groźniejszy od covid jest wirus totalitaryzmu, który szybko zainfekuje inne dziedziny życia. Liczę na zaszczepionych, na ich zdrowy rozsądek” – przekonuje jedna z użytkowników Twittera. Do zdrowego rozsądku odwołują się również ci, którzy w żadną epidemię w ogóle nie wierzą, a w COVID-19 widzą globalny spisek ciemnych sił: „Covid jest naprawdę zabójczy, bo zabił grypę, nowotwory i choroby układu krążenia i zabił też umiejętność myślenia, logikę i zdrowy rozsądek” – czytamy w popularnym tweecie powielanym przez dziesiątki użytkowników.

Jak widać, debatujący, niezależnie od reprezentowanego stanowiska, chętnie odwołują się do zdrowego rozsądku. Wszyscy popełniają przy tym ten sam błąd. Zakładają bowiem, że zdrowy rozsądek jest wspólny, że jest tym, co nas łączy. Tymczasem badania antropologiczne sugerują coś dokładnie przeciwnego! Otóż zdrowy rozsądek jest właśnie tym, co nas szczególnie wyraźnie dzieli. Wszyscy mają zdrowy rozsądek. Ale nie każdy ma taki sam.

Wśród tubylców

Zdrowy rozsądek jest głównym tematem „Wiedzy lokalnej” Clifforda Geertza – jednej z najważniejszych książek wyznaczających tzw. zwrot interpretacyjny w antropologii. Punktem wyjścia była



→ dla Geertza publikacja osobistego dziennika Bronisława Malinowskiego – kolejnego naszego rodaka, który jako emigrant został współtwórcą brytyjskiej nauki i literatury. Otóż Malinowski, który w swoich książkach antropologicznych jawi się jako ideał rozumiejącego, współczującego badacza terenowego utożsamiającego się z badanymi ludami, w prywatnym dzienniku ujawnia się jako człowiek nękany wątpliwościami, zmęczony, zirykowany swymi tubylczymi rozmówcami, a czasem wręcz ich nienawidzący. Niby zwykła sprawa – kto z nas czasem się w pracy nie irytuje? Jednak dla wielu antropologów było to zakwestionowanie najważniejszych reguł ich dziedziny: wtopić się w teren, spojrzeć na świat oczyma Innego, na chwilę zawiesić swoje własne ja...

Geertz pisze wprost, że nie da się spojrzeć na świat oczyma Innego. Maksimum tego, na co stać antropologa, to spróbować jakoś zrozumieć i opisać, jak ten Inny widzi świat. I tu właśnie na scenę wkracza zdrowy rozsądek. Bo wyzwanie, przed którym stoi badacz pracujący na egzotycznej wyspie, to właśnie zderzenie z innym systemem zdrowego rozsądku. To odmienność zdrowego rozsądku tubylców tak strasznie irytowała Malinowskiego. A to dlatego, że każdy zdrowy rozsądek jawi się sam sobie jako ten jedyny – prawdziwy i oczywisty.

Jak z punktu widzenia antropologii działają zdrowe rozsądki? Geertz, jak zwykle zainteresowany historią swej dyscypliny, tłumaczy to na przykładzie słynnych badań Edwarda Evansa-Pritcharda nad ludem Zande zamieszkującym Afrykę Środkową. Można powiedzieć, że Zande to prawdziwi tropiciele spisków. Za każdym razem, gdy jednemu z nich przydarzy się jakiś niefortunny wypadek – zranienie, niepowodzenie, pękający wciąż garnek – winne okazują się czary. Trzeba jednak zauważyć – twierdzi Geertz – że nie chodzi tu wcale o metafizykę. „Czary nie są celebrowaniem jakiegoś niewidzialnego porządku, lecz potwierdzeniem porządku widzialnego”. Czary to dla Zande po prostu dodatkowa zmienna wprowadzana do równania zawsze wtedy, gdy wynik odbiega od oczekiwań. Każdy wie, że aby garnek nie pękł przy wypiekaniu, należy przed uformowaniem go starannie usunąć wszystkie kamyki. Jeżeli natomiast nie udaje się mimo przestrzegania właściwych procedur, nie unieważnia to

zdroworozsądkowego przepisu na sukces, lecz tylko świadczy o rzuconej na garnca kłątwe. W ten sposób czary stają się wentylem bezpieczeństwa, który umożliwia funkcjonowanie pozostałych (skutecznych) zasad i podtrzymuje w garnca rzu pocucie panowania nad rzeczywistością. I to właśnie klucz do zrozumienia zdrowego rozsądku. Wśród Zande wiara w czary po prostu się sprawdza – częściej prowadzi do sukcesu niż do błędu. Można więc powiedzieć, że w sercu Afryki rozsądniej jest wierzyć w czary, niż nie wierzyć w nie.

Podsumowując swe rozważania, Geertz wymienia pięć kluczowych cech, które kształtują zdroworozsądkową wiedzę potoczną. Jest ona, po pierwsze, *n a t u r a l n a* – a więc oczywista, mamy wrażenie, że zawsze trafia w sedno zjawisk. „Zdrowy rozsądek nie potrzebuje żadnych dowodów – pisze Geertz – ot, po prostu życie. Świat jest swoim własnym autorytetem”. Po drugie, *p r a k t y c z n a* – służy do działania, a nie rozważania. Jak ujmie to Bronowski: „Świat uchwycić można działając, nie kontemplując. Ręka jest ostrzem rozumu”. Po trzecie, *p r z e ż r o c z y s t a* – tak oczywista, że aż niewidoczna dla tych, którzy ją podziwiają. Po czwarte, *n i e m e t o d y c z n a* – wiedza lokalna jest tworzona „bezwstydnie *ad hoc*” – składają się na nią rozproszone przysłowia, dowcipy, anegdota (dziś także memy). Po piąte, *d o s t ę p n a*. „Myśl potoczna nie ma uznanych specjalistów – pisze Geertz. – Każdy ma się za eksperta. Myśl potoczna, jako potoczna, jest dostępna wszystkim, jest powszechną własnością, przynajmniej – jak moglibyśmy to ująć – wszystkich poważnych obywateli”. Doskonale rozumieją to geniusze ludowej polityki, jak np. Lech Wałęsa w swym złotym okresie.

Warto mieć tę listę w pamięci. Powrócimy jeszcze do niej, ponieważ jej relacja z nauką okazuje się zaskakująca. A tymczasem podsumujmy, co wynika z takiego spojrzenia na zdrowy rozsądek, posługując się bardzo zdroworozsądkowym obrazem owocu – np. soczystej brzoskwini (zdrowy rozsądek zawsze wybiera zmysłowe konkrety zamiast abstrakcji).

Skórka, nie pestka

Wszystkie przywoływane argumenty z debaty wokół pandemii przyjmowały (zdroworozsądkowe!) założenie, że zdrowy rozsądek jest czymś: (1) stałym,

(2) wewnętrznym i (3) wspólnym wszystkim ludziom. Zdrowy rozsądek otrzymamy „obierając owoc”, a więc gdy usuniemy wszystkie wypaczające go przeświadczenia, uprzedzenia itp.

Tymczasem badania antropologiczne pokazują, że jest odwrotnie. Zdrowy rozsądek jest: (1) zmienny, (2) zewnętrzny i (3) różny dla różnych grup społecznych. Geertz ujmie to w ten sposób: „Myśl potoczna nie jest tym, co wolny od frazesów umysł spontanicznie wychwytyuje, ale tym, do czego umysł pełen z góry przyjętych założeń dochodzi”. Jeżeli zatem nasze działanie w świecie porównać do owocu, to zdrowy rozsądek jest jego skórka, a nie pestka.

Nie znaczy to, że zdrowy rozsądek jest czymś złym. Ludzie kierują się zdrowym rozsądkiem właśnie dlatego, że częściej się sprawdza, niż nie sprawdza. Takie rozumienie zdrowego rozsądku nie oznacza też, że jest czymś dobrym – czasem wiedzie nas na manowce. Zdrowy rozsądek jest po prostu jednym z wielu narzędzi, za pośrednictwem których radzimy sobie z otaczającym nas światem. Podobnie jak młotek czy pług świetnie nadaje się do pewnych zadań, nie sprawdza się zaś w innych.

Z punktu widzenia antropologii zdrowy rozsądek nie jest więc właściwością umysłu, lecz systemem kulturowym. Jak sugeruje jego łacińska nazwa *sensus communis*, a więc „rozsądek wspólny” – tworzy ramy plemiennej wspólnoty. Przekład między takimi systemami – tłumaczenie z jednego zdrowego rozsądku na inny – okazuje się wielkim wyzwaniem, o czym boleśnie przekonał się Bronisław Malinowski, całymi miesiącami tkwiący wśród obcych sobie wyspiarzy na Trobriandach.

Ten problem wielości zdrowych rozsądków staje się szczególnie palący w nowoczesnym społeczeństwie – globalnym i niezwykle zróżnicowanym. Zdrowy rozsądek – jako kulturowe narzędzie oswojania rzeczywistości – zakładał, że wszyscy wokół nas myślą tak samo. Dlatego odwoływanie się do zdrowego rozsądku było tak wygodne i skuteczne w jednorodnym społeczeństwie przednowoczesnym, którego wszyscy członkowie podzielali mniej więcej tę samą wiedzę na temat czarów, garnków czy wypasu bydła. Wiele problemów współczesnego świata – zderzenie cywilizacji, przepaść między pokoleniami czy konflikty na-

uki i pseudonauki – zrozumieć i opisać można właśnie jako zderzenia różnych systemów zdrowego rozsądku.

To jakieś czary!

W kraju nauki wszyscy jesteśmy imigrantami. To kluczowa myśl inspirująca Jacoba Bronowskiego. Żyjemy w świecie silników odrzutowych, antybiotyków i szerokopasmowego internetu, ale nie rozumiemy, jak one działają. Nie możemy zrozumieć, bo tej wiedzy po prostu jest za dużo, zbyt szybko się zmienia, za bardzo jest wyspecjalizowana. Dlatego właśnie wokół nauki wytwarzają się natychmiast systemy zdrowego rozsądku osławiające rzeczywistość. Te systemy opowiadają o zdobyczach nauki i pozwalają z nich na co dzień korzystać, ale same nie są naukowe. Żyjemy w świecie ukształtowanym przez naukę i na każdym kroku napotykamy jej wytwory, tak jak wyspiarze z odległych krain napotykali gwiazdy, kamienie i wspaniałe upierzone ptaki. Ale to w żadnym razie nie czyni nas wszystkich plemieniem naukowców!

Często nauka jest dla nas dokładnie tym, czym dla Zande były czary. Słowo „nauka” jest zaklęciem. Kiedy świat wykracza poza nasze rozumienie, gdy informacje w cudowny sposób pojawiają się na naszym ekranie, choroba znika, a góry plastiku rosną, mówimy: „nauka”. Rację miał zatem Arthur C. Clarke powiadając, że zaawansowana technologia staje się nieodróżnialna od magii. Stąd właśnie bierze się zachwyt nauką i naiwny technooptymizm, zakładający, że nauka i technologia w czarodziejski sposób rozwiążą wszystkie nasze problemy. Z tego samego źródła wypływają także współczesne lęki przed nauką, kształtujące społeczną percepcję energii atomowej, szczepionek czy modyfikacji genetycznych.

Niezdrowy rozsądek nauki

Inny wybitny popularyzator nauki – biolog Lewis Wolpert, autor książki „Nienaturalna natura nauki. Dlaczego nauka jest pozbawiona zdrowego rozsądku” – pisze wprost: „jeżeli to jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem, to zapewne nie jest nauką”. Zaskakujące?

Wolpert zwraca uwagę, że idee naukowe są – poza nielicznymi wyjątkami – sprzeczne z intuicją. A przynajmniej były takie, gdy po raz pierwszy je wprowadzano. Kulista planeta mknąca przez niezmierzoną pustkę z niewyobra-

Słowo „nauka” jest zaklęciem. Kiedy świat wykracza poza nasze rozumienie, gdy informacje w cudowny sposób pojawiają się na naszym ekranie, choroba znika, mówimy: „nauka”.

żalną prędkością i jeszcze w dodatku kręcąca się wokół własnej osi niczym gigantyczny bąk? Organizmy tak małe, że niedostrzegalne gołym okiem, a jednak zdolne powalić człowieka, a nawet tygrysa czy słonia? To nie są wnioski, do których dojść można po prostu przyglądając się rzeczywistości tak, jak jawi się nam ona w codziennym doświadczeniu. Co więcej – uprawianie nauki wymaga zdania sobie sprawy z pułapek i niedoskonałości zdrowego rozsądku.

Gdy zestawić w całość charakterystykę nauki sporządzoną przez Wolperta, układa się ona w przeciwieństwo zdrowego rozsądku scharakteryzowanego przez Geertza! Nauka jest, po pierwsze, *n i e n a t u r a l n a* (jak sugeruje sam tytuł książki) – nie przychodzi z łatwością, wymaga wysiłku, a nierzadko podążania wbrew intuicjom i stałej gotowości do weryfikacji przyjętych założeń. Po drugie, *n i e p r a k t y c z n a* – w przeciwieństwie do samej technologii zakłada też komponent czysto teoretyczny. Po trzecie, *n i e p r z e ż r o c z y s t a* – świadoma swej natury. Po czwarte, *m e t o d y c z n a* – opiera się na rozbudowanych proce-

durach, poszczególne jej elementy odnoszą się do siebie wzajem. Po piąte, *n i e d l a w s z y s t k i c h d o s t ę p n a* – ze względu na coraz węższą specjalizację i hermetyczny język poszczególnych dyscyplin.

Zdrowy rozsądek ludzkości

Żyjemy w świecie globalnych wyzwań, kształtowanym przez globalną naukę. Ale w swym codziennym myśleniu pozostajemy ukształtowani przez plemienny zdrowy rozsądek, który doskonale radzi sobie z wyzwaniami stwarzanymi przez krokodyle i pękające garnki, znacznie gorzej z niebezpieczeństwami o charakterze globalnym i rozproszonym. W szczególności zaś z tymi, które sami na siebie sprowadziliśmy nazbyt zafascynowani możliwościami, jakie daje nam technologia.

Bronowski, imigrant zafascynowany językami nauki i sztuki, rozumiał to jak nikt. Uważał, że zagadnienie przekładu między nauką i zdrowym rozsądkiem jest najważniejszym wyzwaniem stojącym dziś przed ludzkością. Miał powody, żeby tak sądzić. Był jednym z ekspertów badających skutki zrzuconych w Japonii bomb atomowych. W artykule opublikowanym w 1960 r., w samym szczycie zimnej wojny, w ten sposób opowiadał o tym wyzwaniu: „Gdy ujrzałem nieludzkie spustoszenie w Hiroszynie i Nagasaki, zrozumiałem, że rozwój broni jądrowej może doprowadzić do zniszczenia ludzkości”. Potrzebujemy więc nowego, uniwersalnego systemu, który pozwoliłby nam się porozumieć ponad podziałami i odkryć to, co dla nas wspólne. Potrzebujemy zdrowego rozsądku, który nadążyłby za technologią.

Disponujemy dziś, jako ludzkość, fantastycznymi narzędziami zmieniania świata. Niestety, te same wynalazki używane niewłaściwie mogą go zniszczyć. Jaki więc będzie następny krok na drabinie rozwoju człowieka? Jakie są dostępne dla nas granice solidarności? Ile z podziałów odgraniczających od siebie różne plemiona jesteśmy w stanie przezwyciężyć? Pandemia czy katastrofa klimatyczna uświadamiają nam to w nowy sposób. Wyzwania, przed którymi stoimy, przekraczają wszelkie plemienne podziały. Zdrowy rozsądek im nie sprostą. Chyba że w nowej, globalnej rzeczywistości zacznie powstawać nowy, globalny zdrowy rozsądek.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Zostań

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PATRONKĄ PODKASTU POWSZECHNEGO

od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na:

Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

Ciesz się nagrodami i słuchaj podkastów
tworzonych z myślą o Tobie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻANA MAKARA



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zapraszam!

Katarzyna Kubisiowska

**LITERACKI
SOPOT**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 33/2021

Valeria Parrella
Domenico Starnone
Antonio Talia
Helena Janeczek
Donato Carrisi
Nicola Lagioia
Antonio Scurati
Bernardine Evaristo
Patrick Radden Keefe
Zyta Rudzka
Jakub Małecki
Joanna Ostrowska
Jarosław Mikołajewski
i wiele innych
autorek i autorów

EDYCJA WŁOSKA

10

**19–22
sierpnia
2021**

offline w Sopocie,
online na
www.literackisopot.pl

10. Festiwal Literacki Sopot

W DNIACH 19–22 SIERPNIA

Sopot już po raz dziesiąty stanie się letnią stolicą literatury. Tym razem festiwal organizowany przez Goyki 3 Art Inkubator poświęcony będzie literaturze i kulturze Włoch. Podczas spotkań autorskich online i offline czytelniczki i czytelnicy będą mieli okazję lepiej poznać takich pisarzy, jak: Domenico Starnone, Valeria Parrella, Antonio Talia, Nicola Lagioia, Antonio Scurati, Helena Janeczek, Donato Carrisi, Francesco Matteo Cataluccio i Marco Filoni. Nie zabraknie także polskich autorek i autorów, osobne pasmo poświęcone będzie również debiutantom.

Do Sopotu można przyjechać z książkami festiwalowych gości. „Dom Głosów” Donata Carrisiego w przekładzie Anny Osmólskiej-Mętrak ukazał się właśnie nakładem wydawnictwa Albatros, a „Wyznanie” Domenica Starnonego i „Za otrzymane łaski” Valerii Parrelli w tłumaczeniu Katarzyny Skórskiej znajdziemy w ofercie wydawnictwa Pauza.

Wszystkie spotkania zostaną nagrane, aby do rozmów z pisarkami i pisarzami mogli Państwo wrócić w dowolnym momencie. Co ważne, będą one tłumaczone także na język migowy.

Program festiwalu oraz opis wszystkich wydarzeń towarzyszących dostępny jest na stronie literackisopot.pl

Literatura na skrzyżowaniu

LEONARDO MASI

Panorama młodej włoskiej prozy jest niezwykle urozmaicona. Jedni pisarze tworzą na granicy powieści i reportażu, inni opowiadają się za literaturą „czystą”. Jedni trzymają się z dala od faktów historycznych, inni zaś wchodzą z nimi w dialog.

Z ZASADY NIE CZYTAM PISARZY MŁODSZYCH Zode mnie” – wyznał mi kiedyś pewien profesor. Oczywiście był to tylko żart. Są na szczęście krytycy, którzy nie boją się sugerować nowych kanonów. Chcąc zrozumieć, jakie kierunki obiera w ostatnich latach literatura włoska, muszę jako czytelnik zaufać wybitnym badaczom zajmującym się tymi zjawiskami pełnoetatowo. Takimi specjalistami są między innymi Alfonso Belardinelli i Andrea Cortellessa, od nich zatem zacznijmy.

Pożegnanie z powieścią

W artykule zatytułowanym bez litości „Non incoraggiate il romanzo” („Nie zachęcajcie do pisania powieści”, 1997) Belardinelli określił współczesną powieść jako „gatunek bardziej wydawniczy i handlowy niż literacki”, jednocześnie zachęcając, by więcej go nie uprawiać właśnie po to, by przetrwał w dobrym stanie. To prawda, zredukowanie literatury do towaru prowadzi do obniżenia jej lotów. Prawdą jest także, że książki mają dzisiaj istnieć jeden sezon (sprzęt gospodarstwa domowego ma dłuższą gwarancję). Ale trzeba też przyznać, że włoska proza bez względu na wszystko wykazuje wyraźną skłonność do opisywania otaczającego świata, a refleksje nad sposobem

przedstawienia „prawdy” towarzyszą jej od czasu neorealizmu. Dowiódł tego choćby Cortellessa, który w obszernej antologii pod tytułem „La terra della prosa” („Ziemia prozy”, 2014) przedstawił wybór trzydziestu najważniejszych włoskich autorów debiutujących po 1999 r. – i ta panorama młodej prozy okazała się niezwykle urozmaicona.

Znajdziemy w niej nazwiska trojga powieściopisarzy tłumaczonych już na język polski – są to Roberto Saviano, Ornella Vorpsi i Nicola Lagioia. Życie i twórczość tego ostatniego, urodzonego w 1973 r., jest dobrym przykładem tendencji charakterystycznych dla ostatnich dwudziestu lat. Lagioia zaczynał jako ghostwriter, potem był redaktorem w wydawnictwie mającym dobre rozeznanie i wpływ w kręgach młodych pisarzy, w końcu stał się wpływowym krytykiem oraz laureatem najbardziej prestiżowej nagrody literackiej, Premio Strega, a później – dyrektorem Międzynarodowych Targów Książki w Turynie i jurorem Festiwalu Filmowego w Wenecji.

Rozwój jego twórczości dzieli na etapy pięć wydawanych kolejno powieści. Debiut „Tre sistemi per sbarazzarsi di Tolstoj” („Trzy systemy pozbycia się Tołstoja”) pozostaje w nurcie amerykańskiego postmodernizmu, oscylując

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 33/2021 www.TygodnikPowszechny.pl

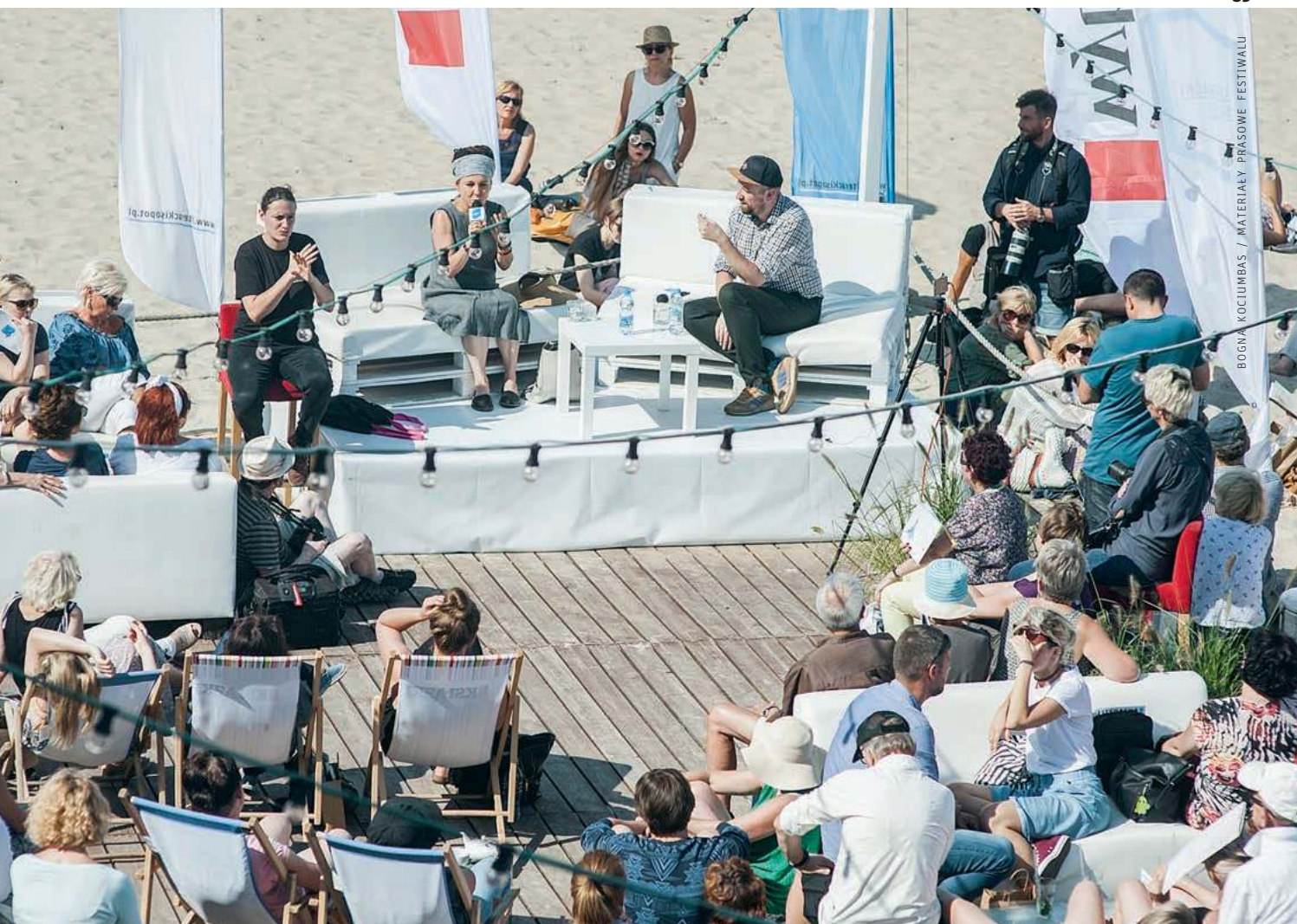
REDAKCJA: Monika Ochędowska | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczińska, Anna Pietrzykowska | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | OKŁADKA: Literacki Sopot, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu
KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow

PARTNER:



PARTNERZY FESTIWALU / WYDARZENIA:





Spotkanie z Olgą Tokarczuk podczas Festiwalu Literacki Sopot, 16 sierpnia 2018 r.

między podziwem dla dziewiętnastowiecznej powieści a młodzieżową chęcią, by jej reguły obalić. „Occidente per principianti” („Zachód dla początkujących”) to postmodernistyczna przeróbka motywu podróży do Włoch, który powraca we włoskiej literaturze i kinie powojennym, u twórców takich jak Rossellini, Piovone, Arbasino. Potem autor zwrócił się ku formie i opowieściom ujętym bardziej tradycyjnie, pisząc o dojrzewaniu w Bari w latach 80. w książce „Riportando tutto a casa” („Przynosząc wszystko do domu”).

W dwóch ostatnich książkach Lagioia powrócił do wirtuozerii narracyjnej i w oryginalnej formie zmierzył się z problemem zła. Najpierw zrobił to w „La ferocia” (książka wydana po polsku w 2018 r. jako „Dzikość” przeszła niestety niezauważona), a potem w „La città dei vivi” („Mieście żywych”), gdzie rekonstrukcja jednej z najokrutniejszych zbrodni dokonanych we Włoszech w ostatnich latach

miesza ze sobą gatunki, style, punkty widzenia, przeplata głosy, wykorzystując autentyczne dokumenty i świadectwa, takie jak posty na Facebooku, wiadomości na WhatsAppie, telewizyjne dowcipy, listy, protokoły przesłuchań. Rozpatrywana przez pryzmat wczesnych książek, w których autor czuł się świetnie jako wodzirej „danse macabre rzeczywistości, która stała się nierealna, jakby była tylko zwiastunem czegoś, przedstawieniem, dziennikarską kaczką” (Belardinelli), ta pozycja proponuje czytelnikowi o wiele poważniejszą refleksję.

Jednocześnie pisząc „La città dei vivi” Lagioia zwrócił się do publiczności czytającej prozę *noir*, która poza wyrafinowanym stylem dostarcza także silnych emocji. Ten gatunek miał w ostatnim dwudziestolecu znamienitych przedstawicieli. Najsłynniejszy z nich to oczywiście Andrea Camilleri, którego ponad dwadzieścia tytułów przełożono już na polski. Nie

chodzi tylko o fakt, że telewizyjny serial zwiłokrotnił sukces przygód komisarza Montalbana. Camilleri jest ceniony za kapitalną inwencję lingwistyczną, miesza język włoski i dialekty sycylijskie (warto przy tej okazji wspomnieć, że zwiastunem literatury postmodernistycznej we Włoszech była właśnie powieść kryminalna pełna eksperymentów językowych, czyli brawurowo przetłumaczony na polski „Nieżyły pasztet na via Merulana” Carla Emilia Gaddy). Obok Camilleriego są też inni, znani polskiemu czytelnikowi przedstawiciele tego gatunku – Gianrico Carofiglio, Massimo Carlotto, Marco Malvaldi, Donato Carrisi, Antonio Manzini, a także czekający wciąż na tłumaczenia Carlo Lucarelli.

Kraj, którego nie pokochasz

Na skrzyżowaniu powieści i reportażu, gdzieś pomiędzy *fiction* i *non-fiction* i na przecięciu wielu innych współrzędnych →

⇒ lokuje się wielki sukces literacki ostatnich lat, czyli „Gomorra” Roberta Saviana. Rzecz jasna Włochy znają przypadki udanych spotkań dziennikarstwa i literatury – od Curzia Malapartego, przez Orianę Fallaci aż po Tiziana Terzani. Ale tworzący już po doświadczeniach postmodernistycznych Saviano dokonuje, jak to określił krytyk Raffaele Donnarumma, radykalnego kroku: „o ile postmoderniści grali z fikcją, odsyłając rzeczywistość w krainę cieni i fałszywych mitów, Saviano działa na poważnie, wykorzystuje instrumentalnie fikcję, bo to pozwala rzeczywistości wejść głęboko do świadomości i pod jej próg. Na tym polega skandal: odrzuca się autonomię estetyczną i poddaje literaturę celom praktycznym, etycznym, obywatelskim”.

Znamienny jest początek książki – w pamiętnej scenie, rozgrywającej się w porcie w Neapolu, nakładają się na siebie rzeczywistość i powieściowa materia. „Kontener kołysał się w powietrzu, zawieszony wysoko na żurawiu, który przynosił go na statek. Spreader, urządzenie sprzęgające zaczepy skrzyni z dźwigiem, nie był w stanie zamortyzować wahadłowego ruchu. Niedokładnie zamknięte drzwi otworzyły się i z kontenera zaczęły się sypać dziesiątki ciał. Wyglądały jak manekiny. Ale przy uderzeniu o beton głowy rozbiły się jak ludzkie czaszki. To były ludzkie czaszki. Z kontenera wysypywały się ciała kobiet i mężczyzn. Wśród nich także kilkoro dzieci. Martwe. Zamrożone, ułożone jedne na drugich. Rzędami, ciasno jak sardynki w puszcze” (przeł. Alina Pawłowska-Zampino).

Czy to się komu podoba, czy nie, każdy pisarz-reporter musi dzisiaj skonfrontować się z „Gomorrą”. Także retroaktywnie, jak w przypadku pięknej książki Antonia Pascalego „Questo è il paese che non amo” („To jest kraj, którego nie kocham”), która ukazała się dwa razy – przed publikacją „Gomorri”, a następnie już po niej, w zmienionej wersji. Albo jak w wydanej dwa lata temu książce „Droga krajowa numer 106. Na tajnych szlakach kalabryjskiej mafii” Antonia Talii, który bada zjawisko ‘ndranghety, organizacji przestępczej zdolnej do prowadzenia przemytu na skalę międzykontynentalną, a jednocześnie pielęgnującej pradawne rytuały na cześć Matki Boskiej ukrytej w górach dalekiego regionu Południa. To historia, która na pewno będzie miała ciągi dalsze.

Roberto Saviano, z początku zmuszony do wyjazdu z Włoch, a potem do poruszania się z obstawą z powodu wyroku wydanego nań przez klan Casalesich, w pewnym momencie wybrał strategię maksymalnej obecności w mediach. Odbłyło się to kosztem jego pisarstwa, które stało się zależne od występów w telewizji i medialnego obrazu osoby autora. Literatura staje się więc performatywem, a rytym słowa pisanego coraz bardziej przypomina wypowiedzi w programach telewizyjnych. Pudło rezonansowe i aparat promocyjny, jaki zapewniają telewizja i media społecznościowe, tworzą zgiełk, który ma mało wspólnego z literaturą jako taką.

Saviano był postacią opiniotwórczą, potem zamienił się w ikonę popkultury i nie ma tego ciężaru gatunkowego co na przykład Pier Paolo Pasolini. Ekspozycja medialna z pewnością przyniosła korzyści ekonomiczne i rozpoznawalność także postaciom takim jak Michela Murgia, autorka powieści „Acabadora”, ale nie przysłużyła się wcale twórczości.

Literatura czysta

O pułapkach literatury, która roztopia się w pedagogice moralnej i przyjmuje rolę służebną wobec propagandy, pisał niedawno Walter Siti, kustosz literatury „czystej”, która na szczęście we Włoszech nie zanikła. Siti, wraz z Antoniem Morem i Michele Marim należą do tego kręgu autorów, którzy mają tyłu oddanych czytelników oraz taką klasę artystyczną, że możemy być spokojni, iż w przyszłości świat akademicki oraz – miejmy nadzieję, także polscy wydawcy – coraz chętniej będą po nich sięgać.

Jeśli chodzi o Marię, polski czytelnik może sięgnąć po jeden z numerów „Literatury na Świecie” (7-8/2019), w którym znajdzie kilka opowiadań i początkowy fragment książki „Całe żelastwo wieży Eiffla”. W tym samym numerze opublikowano wywiad, w którym Maria tłumaczy swoją wrodzoną staroświeckość i niechęć, jaką budzą w nim „książki znajdujące się w pół drogi między narracyjnością a dziennikarstwem”, antyliterackie „niezależnie od tego, że mogą być świetne i dobrze napisane”. „Nie potrafię sobie wyobrazić literatury bez literackości” – dodaje Maria. Bez silnego poczucia tradycji – tej tradycji, która nie musi koniecznie równać się erudycji, ale która chętnie sięga (czuć w tym pokrewieństwo z Umberto

Eco) do książek przygodowych, horrorów, kryminałów.

„Czytałem »Rękopis znaleziony w Saragossie«, a potem »Pustelnię parmeńską«, i rozkosz, jaką dawał mi »Rękopis«, pięćdziesięciokrotnie przewyższała przyjemność czerpaną z »Pustelni« – wspomina Mari. – Z przyjemnością czytałem Stendhala, Flauberta, Tolstoja, ale nigdy z podobnym uniesieniem, jakie zapewniali mi Bioy Casares, Borges, Poe, Stevenson, Conrad czy Melville”. Polskiemu czytelnikowi przyjemność sprawić może informacja, że w 2021 r. Maria współpracował przy nowym tłumaczeniu „Ferdynand” jego ukochanego Witolda Gombrowicza. Postaciami w książkach Marię mogą być Pink Floydzi („Rosso Floyd”), a także Walter Benjamin, Marc Bloch i Erich Auerbach, jak w „Całym żelastwie wieży Eiffla”. Warto przeczytać początkowy fragment poświęcony sławnej magdalenie wystawionej w muzeum Prousta w Combray. Kiedyś, opowiada Maria, była z prawdziwego ciasta biszkoptowego, potem, z powodu rewindykacji praw pracowniczych strażnika muzeum, zamieniono ją na plastikową imitację.

Dyktator w czasach pokoju

Jedni pisarze trzymają się z dala od faktów historycznych, inni zaś bez przerwy wchodzą z nimi w dialog. Można wręcz stwierdzić, że ciekawość włoskich czytelników pobudza ostatnio książki na temat powszechnie znanych postaci i zdarzeń, szczególnie z okresu faszyzmu i nazizmu. Nagrodę Strega w 2010 i w 2019 r. zdobyły dwie książki z włoskim dyktatorem w tytule – „Canale Mussolini” Antonia Pennacchiego i „M. Syn Stulecia” Antonia Scuratiego. Giuseppe Genna napisał książkę „Hitler”, a dwunastolatka Margherita Nani „Anatomie doktora Mengele”, zaskakującą analizę psychologiczną nazistowskiego lekarza po jego ucieczce do Brazylii.

Ale najważniejszą powieścią historyczną o XX w. jest według wielu krytyków „La vita in tempo di pace” („Życie w czasach pokoju”) Francesca Pecorara, w której autor opowiada dzieje Włoch, wychodząc od 2015 i kończąc na 1946 r. Tytułowy „pokój” musimy traktować ironicznie: autor opowiada wojnę naszych czasów, walkę wszystkich ze wszystkimi w zrujnowanym kraju, gdzie – jak mówi pisarz-krytyk Andrea Bajani – królują „samowola budowlana, arogancja,



CHIARA PASQUALINI / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Powieściopisarz Nicola Lagioia będzie gościem tegorocznego Festiwalu Literacki Sopot

chamstwo, ignorancja, a także zniechęcenie, bezsila, podłość, cichy płacz". Nie są to z pewnością pocztówkowe Włochy, jakie sobie wyobrażamy.

Przyjaciele z Neapolu

Nie dziwi zatem, że więcej eksportowych sukcesów odnotowują inne Włochy, utożsamiane z Neapolem. Już parędziesiąt lat temu Ermanno Rea skarżył się, że to neapolitańczycy jako pierwsi buntują się przeciw przedstawieniom odbiegającym od stereotypu. Trzeba jednak przyznać, że za granicą już dość dobrze wiadomo, jak różne mogą być oblicza tego miasta (starczy wspomnieć o piekle „Gomorry”). I choć fenomen Eleny Ferrante narodził się w Stanach Zjednoczonych, nie można wcale powiedzieć, że Neapol pod piórem tej tajemniczej pisarki jest niczym innym niż pocztówką na użytek cudzoziemców.

Ciekawe, że w prozie ostatnich lat miało to stóp Wezuwiusza stanowi częste tło dla historii rodzinnych lub historii dojrzewania. Widać to na przykładzie „Montedidio” Erriego de Lukiego w dobrym przekładzie Marcina Wyrembelskiego. To pasjonujący dziennik trzynastoletniego sieroty, który uczy się zawodu stolarza, a za razem odkrywa życie dorosłych. Ostatnie

trzy książki Domenica Starnonego, które przypieczętowały jego sukces międzynarodowy, a więc „Sznurówki”, „Psikus” i „Wyznanie” – to wariacje na temat stosunków rodzinnych, które autor znakomicie rozwijał już we wcześniejszej „Via Gemito”.

Do grona autorek i autorów z Neapolu, którzy odnoszą sukcesy za granicą, dołączyła ostatnio także Valeria Parrella. Jej druga książka składająca się z czterech opowiadań wyjdzie wkrótce po polsku pod tytułem „Za otrzymane łaski”. Byłoby dobrze, aby oprócz Rzymu, Neapolu i Sycylii świat poznał też inne „literackie” regiony Włoch. Fascynującym miastem jest Triest, jego silne związki z literaturą umacniały się przez cały XX wiek, o czym dobrze wiedzą czytelnicy Claudia Magrisa. Ale warto odwiedzenia, także za pośrednictwem młodszej literatury, są choćby Wenecja Euganejska Vitaliana Trevisana i Francesca Permuniana, Emilia-Romania Paola Noriego albo Sardynia Micheli Murgii i Paoli Sorigi.

Mięso dystopii

Na koniec parę słów o dwóch pisarzach idących pod prąd, szukających w tych dziwnych czasach innych dróg, nie tylko zresztą literackich. Laura Pugno już raz poraziła

czytelników w 2007 r. książką „Sirene” opowiadającą o niedalekiej przyszłości, w której strażnik pilnujący stawu z hodowanymi w nim syrenami przeznaczonymi na „morskie mięso”, łączy się z syreną-samicą. „Przekazanie pałeczki innemu gatunkowi, któremu powierza się troskę o świat, to droga wyjścia poza wymiar ludzki, poza impas cywilizacyjny, przekroczenie będące wejściem na wyższy poziom, samounicestwienie, które jest paradoksalnym wyba-wieniem” – pisał Tiziano Scarpa.

Uwagę krytyki przyciągnęła także inna dystopia, tetralogia Giovanniego Agnolonego „Internet. Cronache della fine” („Internet. Kroniki końca”). W świecie Agnolonego ludzie po upadku internetu muszą wybrać, czy pozostać w białej mgłę, symbolizującej ich nieświadomość, czy też odnaleźć w sobie, w naturze i w zestrojeniu się z pokrewnymi duszami impuls do odrodzenia. Jeśli chcielibyśmy znaleźć nić łączącą wszystkie te nurty, możemy stwierdzić, że spora część współczesnej literatury włoskiej stara się właśnie w ten sposób zebrać, poskładać i odnaleźć sens w odłamkach rozbitego świata.

©LEONARDO MASI

TŁUMACZYŁ PAWEŁ BRAVO



WIECZNE SAFARI

Przez cały XX wiek kino przyrodnicze było przede wszystkim rodzinną rozrywką, szansą na zobaczenie dzikich zwierząt z bliska i na wielkim ekranie. Ten model opowiadania właśnie się kończy.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

NIGDY NIE BYŁEM W AFRYCE, ALE PODRÓŻOWAŁEM DO niej w wyobraźni jako dzieciak. Głównie czytając książki Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim, ale też dzięki albumowi „Kenya” fotografa Tomasza Gudzwatego, wydanemu w 1997 r. To masywna publikacja, której ośmiolatek sam nie udźwignie. Można ją wertować bez końca, a kolejne stronicie układają się w spektakularną opowieść o kenijskiej megafaunie: słoniach, nosorożcach, strusiach, krokodylach i różowych flamingach. Na okładkę trafił ryczący lew ze złotą grzywą. Tekstu nie ma prawie wcale, za to zdjęcia zapierają dech.

Jeśli wierzyć wizji Gudzwatego, Afryka musi być najwspanialszym miejscem na Ziemi. Ludzi prawie w niej nie ma – a jeśli już są, to mieszkają w lepiankach, noszą kolorowe szaty i zwisającą do pasa biżuterię. Czas zatrzymał się tam tysiące lat temu. To kraina nieskalana i dziewicza, rządzi w niej matka natura współ z żywiołami.

Piękne, atrakcyjne kłamstwo, jakie serwują nam fotografowie i filmowcy podtrzymujący mit dzikiej przyrody, jest niemal tak stare jak pierwsze aparaty do robienia zdjęć i wynalazek kina. U źródeł XIX-wiecznej rewolucji naukowej i estetycznej, jaką było uwiecznienie odbicia widzialnego świata, a potem uchwycenie go w ruchu, leżała fascynacja zwierzętami. Dynamiką ich ciał, sposobami poruszania się – i tajemnicą, jaką skrywa ich

fizjologia. Dwie wielkie figury prehistorii kina, Étienne-Jules Marey i Eadweard Muybridge, konstruowali wyrafinowane urządzenia fotograficzne, które rozkładały lot ptaków i bieg zwierząt, w tym ludzi, na serię zdjęć robionych co ułamek sekundy. Od początku więc w podglądanie innych gatunków wpisany był paradoks: aby zobaczyć, jak żyją istoty znajdujące się „poza cywilizacją”, trzeba było uzbroić się w najnowocześniejszy sprzęt i zaproponować pionierskie technicznie rozwiązania, które poszerzą nasze możliwości widzenia.

Z kamerą wśród zwierząt

Pierwsze dokumentalne filmy przyrodnicze wyewoluowały z kronik informacyjnych, krótkich reportaży i filmów naukowych. Powstawały na styku etnografii, kolonialnych podróży, ciekawostek z dalekich krajów oraz eksperymentów i awangardy. Od początku wpisana była w nie także przemoc. Zwierzęta stanowiły nie tylko obiekt ludzkiego spojrzenia, ale też przedmiot, który można zranić, uśmiercić lub wykorzystać w celu zainscenizowania mrozących krew w żyłach walk.

Ten eksploatacyjny aspekt kina o zwierzętach powraca czasem niczym wyrzut sumienia. Jeden z najsłynniejszych wczesnych filmów, przywrócony do publicznej świadomości po latach zapomnienia, pokazuje egzekucję słonicy Topsy, rażonej prądem na Coney Island za rzekome

→ złe zachowanie. Wyprodukowany w 1903 r. przez wytwórnię Edisona, stawia pytania o miejsce i rolę kamery w rejestrowaniu okrucieństwa człowieka wobec braci mniejszych. Jak daleko jesteśmy w stanie się posunąć, żeby zdobyć szokujący materiał? I na odwrót: czy drastyczne obrazy wystarczą, żebyśmy zmienili nasz stosunek do zwierząt i zadbali o ich dobrobyt?

Popularne kino przyrodnicze nie zachęca do zadawania takich pytań. Przepis na opowieści o dzikich zwierzętach dla całej rodziny jest prosty, choć na początku lat 40. minionego wieku wcale nie był czymś oczywistym. Współczesna widownia wie, że najważniejszy jest narrator, który wprowadzi nas w tajniki świata natury. To on decyduje o wymowie każdej sceny, tłumaczy obrazy, dodaje do narracji garść biologicznych ciekawostek. W tradycji anglosaskiej jest to najczęściej mężczyzna, w Polsce natomiast absolutne mistrzostwo w tej dziedzinie osiągnęła Krystyna Czubówna, a właściwie jej głos. Jej kariera to fascynujący wyjątek, raczej potwierdzający regułę niż podważający *status quo*: w Ameryce i Wielkiej Brytanii opowiadanie o florze i faunie, wyjaśnianie, jak działa natura, to zdecydowanie męska czynność, która wspiera patriarchalną, na pozór stabilną wizję rzeczywistości.

Taką serię dokumentów przyrodniczych – prowadzących nas za rękę, dorbających anegdotę do nakręconych w terenie obrazów i skupiających się na życiu wielkich zwierząt – wyprodukował Walt Disney w przełomowej serii „True-Life Adventures”, która w latach 1948–1960 zgarnęła osiem Oscarów. Kilka lat wcześniej wysłani przez producenta operatorzy zaczęli filmować żyjące na wolności zwierzęta, by animatorzy ze studia mogli lepiej odtworzyć ich ruch w słynnych animacjach, na czele z „Bambim” z 1942 r. „True-Life Adventures”, dzisiaj raczej zapomniane, stworzyły tak silny i wyrazisty wzorzec, że stały się na wiele lat punktem odniesienia dla innych twórców. W serii eskapistycznych i spektakularnych dzieł, takich jak „Żyjąca pustynia” i „Lwy afrykańskie”, ekipa Disneya przybliżała „egzotyczne” ekosystemy, opakowując dokumentalne zdjęcia w awanturnicze srebko.

Zwierzęta walczą tu o przetrwanie, dbają o dobrobyt własnych rodzin, przeżywają przygody i wydają się działać po-

Zamiast pełnić funkcję edukacyjną lub stanowić mniej szkodliwą alternatywę dla zoo, filmy przyrodnicze w swej telewizyjnej odmianie **stały się kolejnym parkiem rozrywki.**

dług – a jakże – kanonu amerykańskich wartości. Był w tym bez wątpienia element zimnowojennej polityki lat 50., na czele z charakterystyczną dla całej serii apologią rodziny nuklearnej. „True-Life Adventures”, choć podkreślały na przykład, że „opowieść należy do samej natury”, były też nieznosnie antropomorfizujące – przypisywały zwierzętom ludzkie cechy. Kreśliły portret mitycznej przyrody, znajdującej się poza konkretnym czasem i przestrzenią, ale zamieszkujące te środowiska istoty miały nasze przywary, śmieszności i potrzeby, podobne życie miłosne i skłonność do kłótni. Infantylny niekiedy antropomorfizm do dzisiaj określa kino przyrodnicze głównego nurtu, choć mało który film pozwala sobie na tak rubaszne żarty – sugerujące chociażby rozwiązłość Pani Tarrantuli – jak dokumenty Disneya sprzed 70 lat.

Prawdziwy problem leży gdzie indziej – w kontynuacji przez te filmy niechlubnej tradycji znęcania się nad zwierzętami, aby osiągnąć lepszy, bardziej ekscytujący materiał. Chris Palmer, producent dokumentów przyrodniczych i autor książki o kulisach branży, wspomina, że pierwszym filmem z tego gatunku, jaki zobaczył w wieku 11 lat, były „Białe pustkowia” wyprodukowane przez Disneya w 1958 r. To najbardziej osławiona odsłona serii. Kluczowa scena pokazuje miśgrację lemingów, które jakoby w samobójczym szale spadają z klifu na pewną śmierć. Dochodzenie kanadyjskiego dziennikarza z początku lat 80. udowodniło, że lemingi były spychane przez członków ekipy. Palmer wymienia więcej scen, w których wysoce prawdopodobna interwencja realizatorów – straszenie lub spychanie zwierząt, podkładanie ładun-

ków wybuchowych w celu wywołania lawiny – przekroczyła etyczne granice.

Francuzi: co w trawie piszczy

W ślady Disneya, imitując jego formułę narracyjną i skłonność do widowiskowej prezentacji dzikich zwierząt, poszli następni filmowcy. Brytyjskie kino przyrodnicze, którego symbolem pozostaje sir David Attenborough, wywodzi się z innych, *stricte* imperialnych tradycji, ale również nie ucieka od sensacji i wykorzystuje kosztowną technologię realizacji. Przez dokumenty wyspiarzy przebiega inny typ poczucia humoru i większe wyuczulenie na kwestie klasowe.

W „Life Story” z 2014 r. znajdziemy zdumiewającą scenę: tzw. kraby pustelniki przygotowują się do zamiany mieszkań. Pojawiła się duża, wolna muszla, a więc ustawiają się posłusznie w rzędzie, od największego do najmniejszego, i – by przytoczyć słowa Attenborough – „uruchamiają reakcję łańcuchową”, w ramach której każdy pustelnik dostaje muszlę o rozmiar większą od poprzedniej. Stratyfikacja społeczna i wielowiekowa hierarchia zastępują w tym fragmencie jankeskiego ducha podboju i indywidualizmu, który mógłby pojawić się w amerykańskiej wersji tej opowieści.

Zarówno Brytyjczycy, jak i Amerykanie nie potrafią – lub nie chcą – uciec jednak od tyranii słowa. Choć na pierwszy rzut oka w filmach przyrodniczych najważniejszy jest obraz, to warunki dyktuje zazwyczaj zawłaszczająca sferę wizualną komentarz zza kadru. Jeśli uznamy, że dokumenty o zwierzętach są odpowiednikiem safari dla mas, zabierającego nas na przejażdżkę po dzikich terenach pełnych groźnej, dumnej zwierzyny, to narrator jest w tym układzie odpowiednikiem namolnego przewodnika, który nie pozwoli turystce cieszyć się krajobrazem, zamiast tego bombardując ją masą zbędnych historyjek.

Safari to odpowiednia analogia także dlatego, że zamiast pełnić funkcję edukacyjną lub stanowić mniej szkodliwą alternatywę dla zoo (gdzie warunki życia zwierząt są często kiepskie, a stres wywołany codziennie odwiedzającymi ich ludźmi ogromny), filmy przyrodnicze w swej telewizyjnej, krzykliwej odmianie stały się kolejnym parkiem rozrywki. Możliwość porozumienia się ze zwierzętami i poznania ich życia, także wewnętrzne, to w pierwszym rzędzie za-

gadnienia filozoficzne i badawcze, ale powinniśmy myśleć o nich także w kontekście sztuki i popkultury. Czy dynamiczne, efektowne obrazy z życia zwierząt przybliżają nas w jakiś sposób do ich codzienności i pozwalają poznać lepiej rytmy ich funkcjonowania? Czy opresyjna narracja zza kadru, nawet ta czytana niepodrabialnym, melancholijno-ironicznym głosem Krystyny Zubówny, to odpowiedni sposób na ekranowe obcowanie ze zwierzętami pozaludzkimi?

Częściowo na te pytania odpowiada francuska tradycja kina przyrodniczego, bliższa poezji, surrealizmowi, artystycznej stylizacji. Jej założycielem jest wielki Jean Painlevé, który od lat 20. do 70. zrealizował jedno z najbardziej zdumiewających krótkich filmów o życiu podwodnej fauny. Czułość i pomysłowość, z jaką przedstawiał życie koników morskich, ośmiornic i mięczaków, nie miała sobie równych. Badacz, awangardzista i wizjoner, Painlevé celebrował zwierzęcą inność, fascynowało go nie to, co zbliża je do ludzi, ale w jaki sposób się od nas różnią. Po nim był Jacques Cousteau, laureat Złotej Palmy za wyreżyserowany wspólnie z Louisem Malle'em „Świat milczenia” z 1956 r. Jeśli Amerykanie i Brytyjczycy królują z kamerą na powierzchni, to Francuzi opanowali do perfekcji eksplorację morskich głębin.

U Painlevé narracja zza kadru nie była najważniejsza. Nie ma jej też w przełomowym „Mikrokosmosie” Claude’a Nuridsany’ego i Marie Pérennou z 1996 r. Ten

film jak żaden inny wcześniej zerwał ze schematem safari dla mieszczuchów. Twórców nie interesują dzikie terytoria i tygrysy przechadzające się po swoich włościach w poszukiwaniu kolacji. „Mikrokosmos” wykorzystuje najnowszą dostępną technologię, by zanurkować w trawie i podglądać ślimaki, modliszki, pająki, żaby, komary, pasikoniki.

To świat oglądany z nie-ludzkiej perspektywy, który do końca pozostaje tajemniczy. Żaden męski głos nie powie nam, co właśnie się dzieje na ekranie i kto myje swoje czułki, albo – komu myje. Zostajemy sam na sam z plejadą fascynujących żyjętek, zdumiewająco wyczułoną na detale ścieżką dźwiękową i liryczną muzyką. Trochę nokturn, a trochę ławkowa kołysanka, „Mikrokosmos” został zrealizowany w dużej mierze w warunkach studyjnych: na odtworzonych przez filmowców, oświetlonych fragmentach łąki, po której sunie perfekcyjnie prowadzona kamera.

Od pustyni do własnej zagrody

Spektakularne, przegadane dokumenty anglosaskie; wyciszone, subtelne, choć celowo uciekające się do sztuczności filmy Francuzów – która z tych tradycji może przybliżyć nas do „zwierzęcego punktu widzenia”? Ta ostatnia fraza posłużyła za tytuł książki historyka Érica Barataya, wpisującej się w coraz ważniejsze na uniwersytetach studia nad zwierzętami.

Zwrot zwierzęcy w humanistyce każe nam usunąć ludzki podmiot z centrum

uwagi i oddać pole innym gatunkom – zastanowić się nad ich sprawczością, osobnością, potrzebami, kulturą i duchowością. W tym względzie kino przyrodnicze, choć pomagało budować empatię względem innych istot oraz dostrzegało specyfikę ich życia i środowiska, przez dekady pozostawało w tyle. Zasklepione w schemacie permanentnego safari, poszukujące obrazów wywołujących dreszczyk emocji, zepchnęło refleksję i troskę o przyszłość planety na drugi plan.

Popularne dokumenty o zwierzętach długo unikały dwóch fundamentalnych kwestii. Po pierwsze, ekosystemy, które z taką lubością i wysiłkiem filmowcy ukazywali szerokiej widowni, kurczą się, znikają, ulegają zniszczeniu i degradacji. Po drugie, romantyczne opowieści o mieszkających na innym kontynencie dzikich zwierzętach (ang. *wildlife*) przesłaniają palący problem, z którym mamy do czynienia w sąsiedztwie – przemysłowa hodowla zwierząt to proceder tak okrutny, że na wszelki wypadek usuwamy go poza horyzont naszego spojrzenia. Rewolucja w kinie przyrodniczym, z jaką mamy do czynienia w ostatnich latach, udowadnia, że nie można już dłużej odwracać wzroku.

Nawet David Attenborough musi zrezygnować z quasi-kolonialnych zachwytów nad bogactwem przyrody rozwijającej się bez wiedzy i udziału człowieka. W „Naszej planecie”, ośmioodcinkowej superprodukcji Netfliksa z 2019 r., Anglik mówi o suszach i kryzysach ➔

Kadr z filmu „Gunda” Wiktora Kossakowskiego



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

→ ekologicznych oraz podkreśla, że musimy działać, żeby bioróżnorodność nie zanikła, a zwierzęta mogły dalej żyć w swoich habitatach. Puenta jest przewrotna, optymistyczna i lekko złowieszcza: różnym gatunkom dobrze jest tam, gdzie nie ma człowieka – na przykład na terenie tzw. zony czarnobylskiej, gdzie życie kwitnie na przekór ludzkiej skłonności do samozniszczenia.

Drogę od odległej pustyni do swojej zagrody przemierza też wybitna „Gunda” Wiktora Kossakowskiego (film można będzie teraz zobaczyć na kilku letnich festiwalach; do kin ma trafić w październiku). To czarno-biała opowieść o kilku tygodniach z życia tytułowej świni i jej małych, a także o grupie kur i krów. Kossakowski w serii wystylizowanych, zaskakująco malowniczych scen afirmuje prawo zwierząt do życia w humanitarnych warunkach, dostrzegając piękno tam, gdzie zwykle widzimy tylko zwierzęce ciała, które za chwilę skonsumujemy. „Gunda” zanurza nas w pejzażu dźwiękowym małej farmy, zniża kamerę do poziomu niezgrabnych prosiąt i podchodzi z szacunkiem do miejsca, które zamieszkują. Kunsztownie operując formą i unikając zgrzebnej rejestracji, film robi coś jeszcze: niejako zwraca świniom życie „estetyczne”, pokazując je jako istoty nie tylko czujące, ale też twórcze, pełne godności i kreatywne. Reżyser nie zdecydował się jednak na przedstawienie koszmara masowej hodowli. Zdjęcia odbywały się tylko na ekologicznych farmach i w zwierzęcych sanktuariach.

„Gunda” może posłużyć za kierunkowskaz i manifest – dbajmy o zwierzęta żyjące blisko nas tak, jak potrafimy czasem zadbać o sąsiadów, którzy potrzebują naszego wsparcia. To dopiero początek rewolucji (mającej swój wyraźny, wegetariańsko-wegański posmak), która zmienia i kino, i nasze codzienne nawyki. Kolejnym krokiem może być ponowne odkrycie polskiego kina przyrodniczego, płynącego szlachetnym nurtem od filmów Włodzimierza Puchalskiego po współczesne produkcje Jana i Bożeny Walencików. Zamiast marzyć o wakacyjnym safari, spójrzmy za miedzę, a dostrzeżemy tam mikrokosmos, o jakim nie śniło się nawet filmowcom.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Menuet z pogrzebaczem

WALDEMAR BAWOŁEK, PISARZ:

Zawsze mi się wydawało, że praca fizyczna jest bezwartościowa. Ponieważ pisanie wydaje mi się często zajęciem równie jałowym, to połączenie obu tych beznadziejnych robót musi już, chyba na przekór, dawać jakąś wartość.

MONIKA OCHĘDOWSKA

PARKUJĘ PRZY RYNKU. BUDKA Z ŁODAMI wabi pastelową słodyczą. Łapiący kawałek cienia stragan ustępuje pod ciężarem wiotczej w upale kapusty i kalafiorów. Usadzony na odłamek z brązu ławeczce Paderewski jakby zrywał się po sprawunki, ale ponoć nie o jarzynkę mu chodzi, a o dawny kasyno-klub, który tu zakładał. Południe.

Głos w słuchawce kieruje mnie na drugą stronę ratusza, w popielnicze już trzy zimne pety. Jest robota. Sasiadująca z kawiarnią biblioteka weszła w posiadanie okazałego księgozbioru po zmarłym niedawno tarnowianinie, musimy przejrzeć. Po kwadransie przeczucia wyłożonych na dziedzińcu kartonów myślę o tej scenie „Furtki przy dozorczy”, w której Waldi, jej bohater, znajduje podobny skarb w jednej z piwnic bloku na Azorach. Tytuł książki, z którą ucieka, jest zmyślną puentą historii.

Tarnowianin okazuje się kimś, kto na przełomie lat 70. i 80. nie odpuścił chyba żadnej publikacji krytycznoliterackiej. Jest tu cała żółta seria WL-u: Błoński, Kwiatkowski, Bugajski, eseje o zapomnianych poetach, recenzje niemodnych już prozaików, powieści przygodowe nieistniejących wydawnictw (nie zgadzamy się w ocenie okładek, mnie się podobają), sporo klasyków, literatura japońska. Waldemar zna na pamięć wszystkie, wybrał jedną – cieniutką, o Gombrowiczu. W domu zajmuje już honorowe miejsce przy tapczanie.

Nie ma w jego wspomnieniach dziecięcych zachwyty lekturami. Nie przyjęli go na biologię, czymś trzeba było wypełnić czas. Zamiast podręczników botaniki zaczyna studiować Schulza i Kafkę. Pierwsze teksty wysłał Bohdanowi Zadurze. „Waldemar Bawolek z Ciężkowic to brzmi jak Zbyszko z Bogdańca” – napisze po jego debiucie w połowie lat 90. „Bawolek – czy to jest w ogóle nazwisko dla pisarza. Nie Bawół, nie Bawolski. Bawolek. Nie Tur, nie Żubr, nie Bizon”. Wiele lat szuka wydawców, pisze na przekór modom.

Rozgłos zyskuje za sprawą nominacji do Nagrody Literackiej Gdynia za książkę „To co obok” z 2014 r. oraz wydanego trzy lata później nakładem wydawnictwa Czarne „Echa słońca”. Czy istnieje mniej koniunkturalny temat niż opowieść starszego mężczyzny o starszych, samotnych mężczyznach rozpieszczających swoje matki? A jednak na okładce ukazującego się niedługo później tomu opowiadań Jerzy Jarniewicz napisze, że „nadchodzi czas, kiedy wstyd będzie przyznać, że nie czytało się Bawółka”. Być może powodzenie przyniosła mu dopiero rosnąca postromantyczna literacka fala, na której wznoszą się dziś historie ludowe. Bez wątpienia jest jednym z najciekawszych, na pewno – najbardziej tkliwym w polskiej prozie majstrem rozgardiaszu.

Chwytam „Pozy prozy” Bugajskiego, opuszczamy ratusz, wspinamy się pod górę ulicą Grunwaldzką. Ławeczka zaczyna odtwarzać starego menueta.



WALDEMAR BAWOŁEK: No popatrz, Grunwaldzka to jest ulica pomarłych. Wkrótce nikt tu nie będzie mieszkał.

MONIKA OCHĘDOWSKA: A ten dom?

Widać przecież, że przyjezdnych. Ze starych mieszkańców zostałem już tylko ja i kilka sąsiadek.

Chatupy jota w jotę.

Jeden cieśla chodził po tej ulicy i takie domy robił, stoi ich jeszcze z pięć. Ten też postawił, a mój ojciec, jako chłopiec, pomagał.

I został murarzem.

Przede wszystkim był niespełnionym artystą – grał na pianinie, akordeonie. Ale jego nie ma od dawna, a ta ulica jest w agonii, świat mojego dzieciństwa odchodzi.

A Ty się boisz śmierci?

Umierania się boję, bólu. Ale jeśli miałbym umrzeć tak, jak moja mama, to bardzo proszę.

Szybko?

Przyniosłem mamie zakupy, nowego harlequina. Ucieszyła się, a potem przyjrzała okładce i mówi, że czytała. Zdziwiłem się trochę, bo zamówiłem dla niej u Sobolowej zupełnie nową serię. Poszedłem do siebie na jakieś dziesięć minut, a jak wróciłem, leżała obok łóżka. Pstryk i już jej nie było. Całą reklamówkę tych harlequinów po niej rozdałem.

→

WALDEMAR BAWOŁEK (ur. 1962) jest prozaikiem. Debiutował w 1996 r. zbiorem opowiadań „Delectatio morosa”, następnie opublikował „Raz dokota”, „Humoreskę”, „To co obok”, „Echo słońca”, „La petite mort”, „Bimetal” i „Pomarłych”. Niedawno nakładem wydawnictwa Nisza ukazała się jego „Furtka przy dozorczy”. Trzykrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia, w tym roku otrzymał także nominację do Nagrody Literackiej Nike. Mieszka w małopolskich Ciężkowicach.

→ Twoje ostatnie książki są głównie o śmierci.

Nie da się tu nie myśleć o śmierci, dlatego o niej piszę. Siedzę w tym domu w Ciężkowicach i nie potrafię robić nic innego. Momenty pisania rozgrzeszają mnie właśnie z tego, że nic innego nie robię. A w życiu trzeba się przecież o coś starać.

I co jest jeszcze warte starania?

Ludzie. Czas, który z nimi spędzam. Każde spotkanie zostawia we mnie niedosyt, poczucie, że można było zrobić i powiedzieć coś więcej, ugościć, uśmieszyć się, dotknąć, położyć rękę na ramieniu. Ja jestem czasem zbyt zasadniczy. Zawsze można po prostu żyć lepiej.

A nagrody literackie? Warto się o nie starać?

Potwierdzają, że istnieją. Ale nie mają wpływu na to, dlaczego i o czym piszę. Pisanie jest czynnością fizjologiczną. Jest konieczne jak jedzenie śniadań. Nierozrwalne z życiem. Cokolwiek robię, kogośkolwiek spotykam, cokolwiek czytam, to wszystko podlega potem analizie i obróbce. Staram się codziennie między jedzeniem a trzynastą usiąść, odtwarzać, zapisać.

Piszesz teraz o pisarzu.

Piszę o Waldku mieszkającym w Ciężkowicach, który nie spełnia oczekiwań swoich sąsiadów. Wiesz, pisarz w takiej miejscowości nie mieści się w żadnej hierarchii. Mężczyzna ma tutaj określone zadania – powinien dbać o dom, rodzinę, obojście. Ale mój Waldek się zawziął i pisze, wobec czego spotyka go seria przeróżnych przygód i przeszkód.

Wychodzi z nich zwycięsko?

Dzięki nagrodom literackim (*śmiech*). Sąsiedzi inaczej na niego patrzą, inaczej się do niego uśmiechają, kłaniają się. Wi-

Bo mnie nie interesuje porządkowanie,

ja tylko pomagam majstrom utrzymywać chaos.

Czytelnik-lokator powinien być czujny i sobie sam po naszej wizycie wszystko poskładać i poskręcać.

dzą go na ulicy i mówią: „O, to ten pisarz!”. W wieku 60 lat dzięki nominacjom do nagród i artykułom w gazetach wreszcie zdobywa godną pozycję w swojej społeczności i czuje, że dalej może już spokojnie grać swoją rolę.

Mucha nie siada.

Za to na tobie siadają co chwila. Nie zamykam drzwi, bo się robi duszno, a potem mam tu cały rój. Czeka, pacnę ją.

Mówiłeś, że boisz się umierania. Ja się boję utraty pamięci.

Pamięć jest akurat przeszkodą w pisaniu. Gdybym doskonale zapamiętywał wszystko, co chcę opisać, nie miałoby to żadnej wartości. Ale ponieważ moja pamięć jest zawodna, mogę robić literaturę.

A jak się robi literaturę?

Jak wystawę w muzeum. Moja ostatnia książka to jest w gruncie rzeczy muzeum awangardy.

I teraz powiesz, że zainspirował Cię mural Jaremiarki na krakowskich Azorach. Bo to tam, nie w Ciężkowicach, rozgrywa się akcja „Furtki przy dozorczy”.

Napisałem tę książkę kilkanaście lat temu. Łapałem taką nudną, wakacyjną pracę w ekipie remontowej, przez pół roku obskoczyliśmy pięć albo sześć bloków na Azorach. Reperowałem instalację wodno-kanalizacyjną i mieszkowałem w węźle ciepłowniczym – takie małe pomieszczenie jak ten pokój, śpiwór na podłodze, no „ruskie” warunki. Potem zostałem szefem tej brygady i przenieśli mnie do piwnic, miałem swoje biuro, mnóstwo takiej pracy papierkowej, administracyjnej. Ale że nie szło mi to zarządzanie najlepiej, to w końcu mnie wy-

lali. Nie umiałem tych gości wszystkich ujarzmić, pili i robili, co im się podobało.

Na zimę wróciłem do Ciężkowic i pomyślałem, że opiszę takie blokowe życie. Zajrzałem do tyłu mieszkań naraz, że nie mogłem odpuścić. No bo komu się coś takiego przydarza? Pamiętałem coraz mniej, mogłem powszczepiać w tę książkę wszystko, co się wtedy działo – recenzje, opisy obrazów, sprawozdania z wydarzeń kulturalnych. Jestem pasjonatem takich tekstów. Nie chodzę na wystawy i koncerty, jestem tu odcięty od wszystkiego, ale lubię o nich czytać. Muzyki słucham w domu.

Jedno z pustych mieszkań opisanych w książce wytapetowane jest nutami: „Winterreise”, „Kzesany”, „Cudowny mandaryn”, „Orfeusz i Eurydyka”. Na regale za Tobą stoi sporo równiutko ułożonych płyt.

Teraz słucham głównie współczesnej polskiej muzyki – Pawła Mykietyna na przykład.

Co Cię pociąga w Mykietynie?

Pociąga? Ja w muzyce nie szukam uczuć. Jestem racjonalistą. Chcę rozumieć to, co słyszę, ale nie mam zamiaru się angażować emocjonalnie. To dotyczy także relacji z ludźmi.

Dlaczego?

Drugi człowiek jest tak ogromną, otchłanną tajemnicą, że zbliżenie się do niego tworzy przestrzeń niemożliwą do ogarnięcia.

A miłość?

Nie umiałbym o niej pisać. Jak się kocha, niczego się nie widzi. Więcej: jak się zakochasz, to nie istniejesz, nie ma cię. To zresztą bardzo przyjemne.

I w ogóle nie fascynujące? „Do dzieła, uchył furtkę wielkiej tajemnicy, prowadź mnie do środka!”. Tak się zaczyna Twoja książka.

Emocje zawężają pole widzenia, nie pozostawiają wyboru, zatrzaskują tę furtkę.

To jak ją uchylić?

Kiedy wycofasz emocje, zostaje prześwit dla sztuki. Tylko pisząc w odosobnieniu mogę sobie wszystko poukładać. Wiesz, ten dom, ja, cała ta doczesność – to przecież wszystko zniknie. Jeśli co-



Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

kolwiek przetrwa, to sztuka. I ja chcę tworzyć dzieła sztuki.

Bohater Twojej książki „zawsze chciał być czymś więcej, niż był naprawdę”. Niby „nie trzeba być od razu wielkim mistrzem”, ale jemu się wydaje, że jest.

Od dziecka byłem postacią literacką. Nigdy nigdzie nie pasowałem, do żadnego systemu, żadnej konwencji. Posługiwanie się językiem było dla mnie udręką, bo nie potrafiłem naśladować żargonu żadnej grupy, wtopić się w tłum – w szkole, z kumplami przy winie, z dziewczynami. Nawet wspólny śpiew był problemem. Po moich puentach zwykle zapadało w towarzystwie milczenie, zmieniało się temat. Mówiłem po swojemu, chciałem mieć zdanie odrębne, ciągnęło mnie na marginesy.

A mój bohater przede wszystkim obserwuje, wszystko chce zobaczyć i zrozumieć, wszystkiego musi dotknąć. Współczuję mu, bo jest z tego powodu wiecznie zmęczony, dostaje za dużo i musi nieustannie redukować, wycinać, wyrzucać. Co tu dużo gadać, życie tego gościa nie jest lekkie.

To taki majster-klepka, kombinuje, i w zaworach, i w słowach.

Zawsze mi się wydawało, że praca fizyczna jest bezwartościowa. Ponieważ pisanie wydaje mi się często zajęciem równie jałowym, to połączenie obu tych beznadziejnych robót musi już, chyba na przekór, dawać jakąś wartość.

Ale ta Twoja książkowa ekipa remontowa niczego nie naprawia. To jakaś destrukcyjna siła, która odwiedza lokatorów w przebraniach roboczych, by rozmontować świat od środka. We wszystkich mieszkaniach zaczyna coś nagle przeciekać, sączyć się, babrać i psuć.

Bo mnie nie interesuje porządkowanie, pomagam majstrom utrzymywać chaos. Czytelnik-lokator powinien być czujny i sobie sam po tej wizycie wszystko poskładać i poskręcać, za każdym razem w inną całość. Nie może ode mnie oczekiwać pomocy.

Literatura służy do utrudniania życia? Tak twierdził Gombrowicz, którego masz tutaj, jak widzę, dzieła wszystkie.

W muzyce nie szukam uczuć.

Jestem racjonalistą,
chcę rozumieć to, co słyszę,
ale nie mam zamiaru się
angażować emocjonalnie.
To dotyczy także
relacji z ludźmi.

Zależy mi na tym, by czytelnik zaczął wątpić. W strukturze moich tekstów jest porządek, ale w języku może się wydawać wszystko, pełno tam schulzowskich zakamarków. Od Gombrowicza pożyczam problemy.

**Azory to takie „złe osiedle”,
a jednocześnie najodleglejszy
z europejskich archipelagów. Samo
to miejsce zapowiada rozsypkę
i rozproszenie.**

Pisanie trochę na tym polega, że starasz się chwycić jakiegoś pomysłu i go realizować, ale to się prędko wymyka, odpływa, przecieka, pewnych rzeczy nie jesteś w stanie opanować. Jak wtedy, gdy jesteś robotnikiem włączającym całymi dniami ludziom do mieszkań. Nigdy nie wiadomo, co czeka za kolejnymi drzwiami. Wiadomo tyle, że jak się otworzą, to będzie tam jakaś przestrzeń i ciało, ale pozostałe rzeczy, które się przydarzają, są wizyjne. Zdanie tworzy kolejne zdanie. Jedne drzwi otwierają następne.

Jak we śnie.

Większość moich książek to sny. Albo inaczej: każdy swój sen staram się urzeczywistnić.

**Co to znaczy urzeczywistnić sen?
Zapisać?**

Można zapisywać sny, ale to dość bezdurne zajęcie. Ja staram się je w taki sposób przerobić, dodając atrybutów nawiązujących do codzienności, by można było uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Kiedyś na Facebooku opisałem w ten sposób swój sen o pobycie w szpitalu – w komentarzach wszyscy życzyli mi powrotu do zdrowia (*śmiech*). Uprawiam takie drobne oszustwa, w ten sposób robię literaturę.

Powiedziałeś, że bym czytała Twoją książkę na chybił trafił, otwierając losowo wybrane rozdziały-drzwi. I to było chyba jedno z tych oszustw, bo jej akcja rozwija się linearnie. Bohater jedzie do Krakowa w poszukiwaniu kobiety, a zatem miłości, następnie wędruje przez piekielne piwnice aż na ostatnie piętra wieżowca, gdzie rozbrzmiewa majestatyczne *largo* szlifierok i *adagio* gwintownic. „Furtka” to wariacja na temat „Boskiej komedii”?

Nie oczekuj tu ode mnie rozstrzygnięć. Nie lubię przedmiotów jednorazowego użytku. Moje książki zbudowane są z fragmentów, do których można wielokrotnie powracać. Czytelnik może wejść przez wybrane drzwi i zobaczyć, co się za nimi wydarza, pomiędzy lokatorami nie ma żadnych zależności i powiązań, ale tak – podczas lektury wznosimy się ku jakiejś ostateczności.

Z drugiej strony w połowie książki lądujemy w piwnicach, nie ma od tych piwnic ucieczki. Każdemu mieszkaniu w bloku odpowiada komórka. Każdy mieszkaniowiec coś tam trzyma, coś przechowuje, zamyka. Te komórki łączy labirynt korytarzy, stamtąd też zarządza się ekipą majstrów, którzy łążą po piętrach, przekazują sobie informacje, klucze do lokali.

**Dopóki „kierownik Górka”
wszystkich nie odwoła... Słuchaj,
a tę „Willę pod Gwiazdą Wieczorną”,
która stoi tu na półce, to naprawdę
zwinąłeś z piwnicy na Azorach?**

Książek Roberta Walsera to można dzisiaj szukać już tylko po piwnicach.

I ten piwniczny Walser to taki Twój Wergiliusz?

Chciałbym pisać jak on. Podoba mi się, że nie stabilizuje czytelników, tylko pozostawia ich w niepewności i ciągle prowokuje, mówiąc, że to, co się wydarzyło, mogło się nie wydarzyć i odwrotnie. Jak ja ci teraz opowiadam o książce, którą pisałem w 2007 roku, to też już nie wiem, czy nie zmyślam. Zresztą nie będziemy więcej filozofować, bo ty sobie zaraz pojedziesz, a ja tu zostanę sam i będę rozmyślał o tym, co powiedziałem. Czy to ma w ogóle jakiś sens? Muszę wyjść zapalić.

© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Król Baratarii powraca

JAN BŁASZCZAK

Wprowadzenie absurdu do twórczości, która w żadnym wypadku nie jest prześmiewcza czy parodystyczna, sprawia, że staje się ona wyjątkowa w swojej nieprzewidywalności.

PRZY OKAZJI WYDANIA PŁYTY „H.A.U.” mówi, że czuje się, jakby zdawał egzamin na prawo jazdy po dziesięciu latach jeżdżenia tirem. W dodatku przez ten czas nie poruszał się raczej po prostych drogach. Tytus Szyluk, raper występujący obecnie pod pseudonimem Belmondawg (wcześniej: Belmondo) wspomina:

– Przez lata byłem partyzantem społecznym, którego największym marzeniem było, aby nikt nie wiedział o jego istnieniu. Czytałem książki o tym, jak zniknąć z rejestrów. Nie chciałem być na świeczniku, na widoku. No ale się nie udało. I oto jestem na drugim biegunie. I żyję tu bezpowrotnie, bo ludziom ciężko będzie zapomnieć. Kości zostały rzucone.

Czy chodzi mu o jego kości? Rzeczywiście, w ostatnich latach towarzyskie i środowiskowe burze z udziałem Szyluka przetaczały się przez internet niemal tak często, jak przez lipcowe niebo nad Polską. Dawni kompani zarzucali mu finansowe przekręty i publikowali groźby pod jego adresem, kluby informowały o odwołanych przez niego koncertach, a fani zastanawiali się, czy to nie koniec dobrze zapowiadającej się kariery. Sam od osób pracujących nad pełnometrażową fabułą usłyszałem kiedyś o nieudanej współpracy z raperem. Filmowcy chcieli sięgnąć po jeden z jego utworów, ale po dziwnym spotkaniu z twórcą dali sobie spokój.



KACPER DUDZIAK

Tytus Szyluk „Belmondawg”

Ostatecznie jesienią 2019 r. Szyluk opublikował nagranie, w którym przeproszał członków swojego byłego zespołu, przestrzegał przed zgubnymi skutkami narkotyków i sugerował, że to koniec jego artystycznej drogi. Kilka dni później za pośrednictwem mediów społecznościowych prosił fanów o namiary na sprawdzony ośrodek leczenia uzależnień.

Zapewne nikt spoza hiphopowego środowiska nie śledziłby tej sagi z uwagą,

gdyby nie dotyczyła twórcy o tak nieprzeciętnym talencie. Rapera, którego pozasceniczna aktywność może być powodem do ciągłych dyskusji, ale nie umiejętności – te są bezsprzeczne. Szyluk dysponuje niskim tembrem oraz nienaganną dykcją, która pozwala mu bez ryzyka za tytułować jeden z utworów „Pappardelle all’arrabiata”.

Fenomen Belmondawg nie zasadza się jednak na walorach czysto technicz-

nych, lecz na ogromnej kreatywności w operowaniu słowem i układaniu ich w zaskakujące, wielowymiarowe ciągi skojarzeń. Z tego powodu jego utwory mają w sieci liczne, nierzadko absurdalne przetworzenia. Pod klipami – zarówno tymi oficjalnymi, jak i oddolnymi remiksami – mnożą się komentarze, w których fani starają się „pisać Belmondem”. Nie tylko oni są pod wrażeniem.

– Nie mam wątpliwości, że na tej scenie słuchają go wszyscy – twierdzi Wojtek Nosowski, nagrywający jako Dizkret w kultowej, działającej na przełomie wieków warszawskiej grupie Stare Miasto. – To jest prawdopodobnie ulubiony raper twojego ulubionego rapera.

On sam jest najlepszym dowodem na prawdziwość tej tezy. Po niemal dwudziestu latach nieobecności na rynku fonograficznym Dizkret przystał na zaproszenie Szyluka, a jego zwrotkę można usłyszeć na wydanej właśnie epce „H.A.U.”. Płytcie, która jest dowodem na to, że koniec artystycznej drogi Belmonda ostatecznie okazał się jedynie ostrym zakrętem.

Z jedną nogą w kuluarach

Jeśli Szyluk twierdzi, że nie chciał być na świeczniku, to swojej decyzji nie opierał jedynie na popkulturowych wyobrażeniach i medialnych doniesieniach na temat świata show-biznesu. Jego mamą jest Wiganna Papina – znana stylistka, a także jedna z gwiazd telewizyjnego programu „Lalamido” emitowanego w Telewizji Polskiej przez niemal całe lata 90.

– Zawsze miałem świadomość, że pochodzę z drugiej strony telewizora – przyznaje Szyluk. – Od drugiego czy trzeciego roku życia występowałem w „Lalamido” w różnych rolach: jako dziecko jaskiniowca, dziecko pary rycerskiej... Byłem odbiorcą z jedną nogą w kuluarach. Na skraju dwóch światów.

Przepełniony totartowskim [Tranzytoryjna Formacja Totart – grupa artystyczna powstała w 1986 r. w Gdańsku – red.] humorem program odcisnął piętno na wrażliwości Szyluka. Przejawia się ono w sięganiu do estetyki lat 90. i jej bohaterów, ale także w zamiłowaniu do absurdalnych sformułowań i gier słownych. Zwroty takie jak „uorobos sport” czy „twoi ludzie dzięcioły” mogły paść w rozmowie Tymona Tymańskiego i Pau-

lusa Mazura na planie programu „Dzinyldyldy”. Ten totartowski sznyt nie ogranicza się do warstwy językowej. Kilka lat temu Szyluk podczas warszawskiego koncertu Małpy cisnął w rapera bananem.

– Teraz bym tego nie zrobił, ale młodość rządzi się swoim bezprawiem. To było chuligańskie, durnowate zachowanie, aczkolwiek pamiętajmy, że rzuciłem w Małpę podczas utworu „Miałem to rzucić”. I chodziło o całą tę opowieść. O pewien mem. Ciężko też powiedzieć, żebym tego żałował. Przez lata czekałem natomiast, by ktoś rzucił we mnie kopytkami w trakcie utworu „Gnocchi”. Byłby to dowód na to, że karma wraca. Dosłownie.

Najpełniejszy hołd latom 90. raper złożył w utworze „Kto by pomyślał?”, nagrany w duecie z Liroyem. Estetyka zrealizowanego do niego teledysku to bezpośrednie nawiązanie do stylu Yacha Paszkiewicza, kultowego twórcy polskiego wideoklipu, a także programu „Lalamido”.

– Drugim punktem odniesienia był dla mnie klip PM Cool Lee, pod którą to ksywką zaczynał Liroy, zanim jeszcze rapował po polsku. Tak się składa, że w tamtym teledysku występowała moja mama. Jej udział w klipie „Kto by pomyślał?” jest więc nawiązaniem zarówno do „Lalamido”, jak i do tamtego utworu – wspomina.

Nostalgiczną wyprawą do czasów dzieciństwa spędzonego w Gdyni są również „Te tereny”. Pełen emocji, a jednocześnie surowy, oldskulowy utwór przypominający „Swinoujście” Synów – inny rapowany powrót nad Bałtyk lat dziecięcych. Minimalistyczny, czarno-biały teledysk pozwala lepiej skoncentrować się na kolejnych wersach podawanych głębkim głosem Szyluka: „Wychowały mnie te tereny / kontenery, elewatory, opuszczone tory oraz torfy”. W innym miejscu raper romantyzuje industrialny krajobraz Trójmiasta w duchu – *nomen omen* – „Duchologii” Olgi Drendy: „Szyld Polferries nad nim księżyc / transport ciężarowy prze myśl ciężki”. Nagrania takie jak to nadają ton tegorocznej epce Szyluka, która zawiera najpoważniejsze utwory w jego dorobku.

Strzały znikąd

„Te tereny” to nie tylko nostalgia, ale także komentarz na temat współczesno-

ści. Dokładniej – sprzeciw wobec zmian, które według Szyluka dotyczą miasta:

– Niestety to już nie jest ta Gdynia, którą opuszczałem. Mówię głośno o tym, że to miasto zostało sprzedane deweloperom i strach pomyśleć, jak będzie wyglądało za dziesięć lat.

Wers, który wskazuje na postępujące zmiany w tkance miejskiej Gdyni („dźwigi widzi z okna”) stanowi dobry przykład lirycznej biegłości i świetnego ucha artysty.

– Belmondziak jest ciekawy lingwistycznie na kilku poziomach – twierdzi Dizkret. – W hip-hopie funkcjonują punchline’y – puenty w formie błyskotliwych porównań często opartych na grze słów lub ich podwójnym znaczeniu. To jest podstawa i Tytus to robi („ponad wszystkim jak apostrof”), ale robi też wiele więcej. Zestawia słowa, które świetnie ze sobą brzmią („dźwigi widzi z okna”). Zespoły takie jak Kaliber 44 były kiedyś chwalone za podobne zabiegi, ale ich wersy, choć językowo plastyczne, nie miały często żadnego sensu.

Do obracania słowami, wyszukiwania między nimi nieoczywistych relacji i niezwyczajności brzmieniowych służy Szylukowi jakiś szósty zmysł. Rapując o swojej wielkości, rzuca nagle: „nie do rozjebania, jak dom kombatanta” – taki adres w hip-hopowej zwrotce może zaskakiwać, ale samo słowo brzmi potężnie, jak wystrzał z armaty. A że to niespodziewane porównanie? Tym lepiej.

– Jest jeszcze jeden element, za który należą mu się ukłony – dodaje Dizkret. – Razem ze swoim niegdysiejszym kolegą Kazem Bałagane poszerzył pole słów, pojęć i punktów odniesienia, jakich można użyć w tekście hiphopowym. Kiedyś mniej więcej wiedziało się, jakie raperzy mają zainteresowania, co przeczytali, co obejrżeli. Może to efekt wychowania na Wikipedii i kulturze memowej, ale u Belmonda i Kaza znikąd pojawia się wers typu: „jadę se nad wodę przez Nieporęt”. To jest takie „*what the fuck??*”, albo jak określa się to w teorii komedii: *non sequitur*. Nagle trafia cię coś, czego zupełnie się nie spodziewałeś.

Zdaniem Dizkreta właśnie wprowadzenie absurdu do twórczości, która w żadnym wypadku nie jest prześmiewczą czy parodystyczną, sprawia, że staje się ona wyjątkowa w swojej nieprzewidywalności. Tę oryginalność doceniają również

→ twórcy działający poza środowiskiem hiphopowym.

– Moją uwagę przykuła śmiałość, z jaką wprowadza do rapu słowa pochodzące z innych porządków i z odległych czasów – mówi artysta wizualny, reżyser filmów animowanych i muzyk Wojciech Bąkowski. – Nikt by się nie spodziewał „*paszoł won*” w rapowym kawałku. Rodzimi hiphopowcy są dla mnie nudni i odtwórczy. Belmondo, Hewra i Malik potrafią nagle obudzić.

Pomnik i poletko

Najpewniej ze względu na tę językową wyrazistość i niepodrabialny humor twórczość Szyluka doczekała się w sieci licznych przeróbek. Oddolnych wariacji, których pomysłowość wykazuje pokrewieństwo z niespokojnym duchem oryginałów. Wczesne, utrzymane w duchu gangsta-rapu utwory Belmondo z Kazem Bałagane doczekały się wielu amatorskich teledysków złożonych z archiwalnych programów Roberta Makłowicza i Wojciecha Cejrowskiego. Zbliżające się na YouTube do 3,5 milionów wyświetleń „Dzień dobry” Belmonda zostało natomiast nagrane przez fanów w różnych wersjach językowych – począwszy od angielskiej, na chińskiej i śląskiej skończywszy.

– Można powiedzieć, że to jest jakiś *open-source* – przyznaje Szyluk. – Każdy, kto tego słucha, żyje tym i daje temu nowe życie. Stąd ta nieskończoność. Nie wiem, może opatrność tak chciała, że bym pełnił taką funkcję społeczną. Takiego poletka na kulturowe modyfikacje.

W przypadku płyty „H.A.U.” będzie o nie trudniej. Wcześniej Szyluk nie nagrywał raczej utworów, które byłyby tak osobiste. Oryginalne językowo, błyskotliwe, a momentami wręcz erudycyjne, kręciły się głównie wokół przechwałek, sprośnych porównań i wulgarnych obrazków z życia wielkomiejskiego *bon vivanta*.

– Jakoś w liceum zafascynowałem się anarchokapitalizmem – wspomina raper. – Wpływ na to mogła mieć fascynacja publicystyką Janusza Korwin-Mikkego. Dlatego Belmondziak jest niejako pomnikiem tej doktryny.

Na tegorocznej płycie ten pomnik szybko spada z cokołu. Szyluk detronizuje sam siebie już na początku płyty. Dwuminutowa „Captcha” to utwór, który niesie więcej treści niż niejedna

Zbliżające się na YouTube do 3,5 milionów wyświetleń

„Dzień dobry” Belmonda zostało nagrane przez fanów w różnych wersjach językowych – począwszy od angielskiej, na chińskiej i śląskiej skończywszy.



rapowa płyta. Powszechnie używana w sieci metoda zabezpieczania kont czy formularzy przed botami staje się tu metaforą zmagania o zachowanie człowieczeństwa. Kontekstem są wspomniane zakręty na życiowej drodze autora przeplatane dyskretnymi nawiązaniem do klasyki polskiego hip-hopu. W najmocniejszym fragmencie refrenu Szyluk rapuje: „Uwierzyłem w żart tak jak Sancho Pansa / To mój rap, to moja Barataria”, brawurowo żeniąc Cervantesa z Peją.

– W „Don Kichocie” jakiś władca mówi Sancho Pansie, że od dzisiaj jest królem Baratarii. Sancho bardzo się cieszy z tej nominacji, a potem się okazuje, że po pierwsze chodzi o inne miejsce, a po drugie on wcale nie został władcą. Rap to jest trochę sport, pełen wewnętrznej arogancji, dążenia do hegemonii. I to jest w nim jak najbardziej na miejscu, bo daje energię, moc, dobrze się tego słucha. Gorzej to się sprawdza w życiu. Zwłaszcza w relacjach międzyludzkich. A one są najważniejsze.

To rozróżnienie pomiędzy światem przedstawionym a rzeczywistością po-

wraca w najbardziej ponurym momencie płyty, utworze „Wte i Wewte”. Tutaj zrozumienie tej różnicy daje siłę, poczucie sprawczości. Słyszymy: „Chciałem sobie strzelić w łeb, ale nie – to by było błędem / Przecież jestem Goethe, a nie Werter”.

– To jest klasyczny motyw jakiegokolwiek sceniczności – tłumaczy Szyluk. – Bela Lugosi pozwolił, by rola przejęła jego egzystencję i na zawsze został Draculą. Może to jest ten moment w historii ludzkości, w którym rola jeszcze szybciej wymyka się spod kontroli? Bo łatwiej stworzyć sobie jakąś autokreację za pomocą nowych, technokratycznych narzędzi typu social media. To jest nagminne na naszej scenie.

Winni i inni

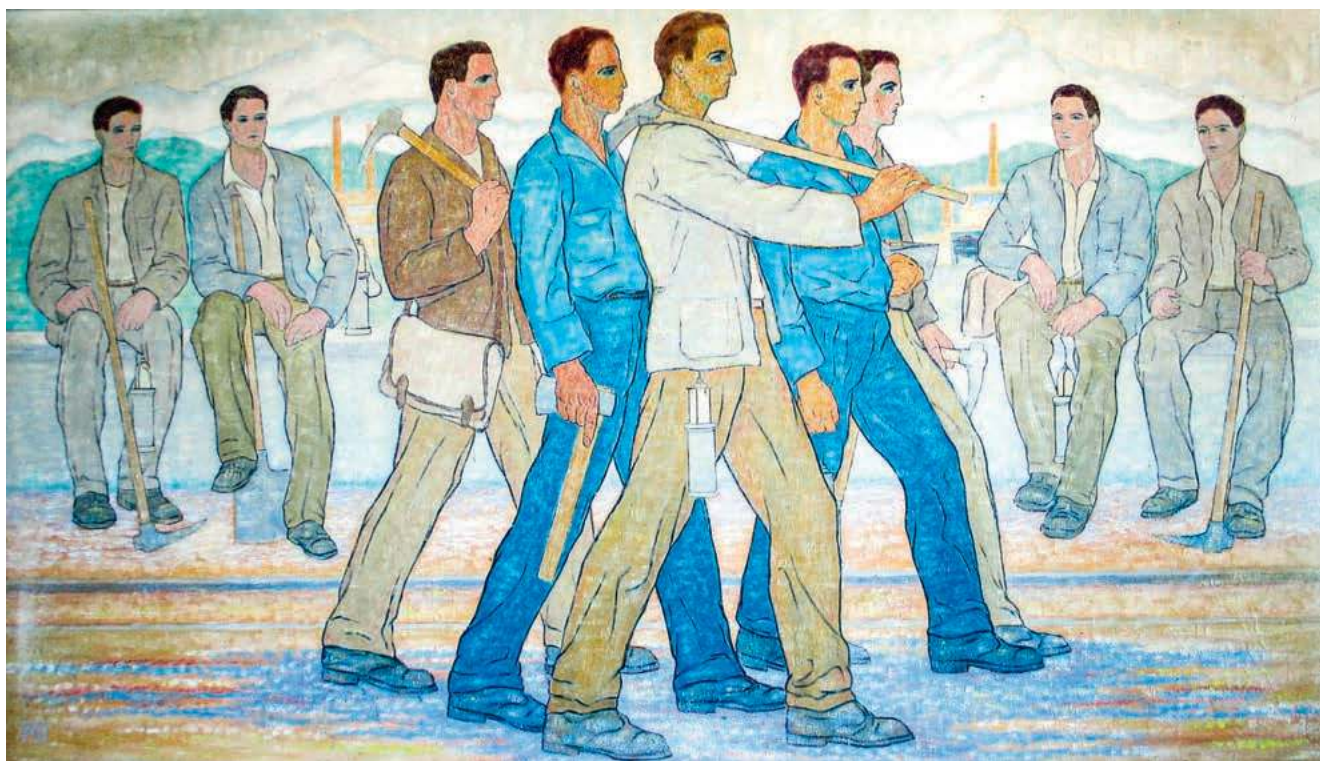
Wspominając ostatnie lata, Szyluk zastanawia się, czy spośród bohaterów, którzy wyszli spod pióra Goethego, Faust nie oddawałby najlepiej jego życiowych doświadczeń. Kiedy wraca do nich pamięcią, myśli o tym, że wysokie niebiosa mają hazardowe zacięcie. Przy czym na płycie „H.A.U.” raper mówi jednak o swoich problemach z przeszłości w sposób ogólnikowy. Nie oskarża nikogo z nazwiska, nie prostuje medialnych doniesień. Krąży wokół tematów winy i zdrady, ale poprzestaje na poetyckich uogólnieniach („nie szukam winnych w innych”, „niektóre mosty muszą płonąć”).

– Bardzo chciałem uniknąć publicznego prania brudów – tłumaczy – nawet jeśli moje trzymanie języka za zębami i nieprostowanie fałszywych oskarżeń doprowadziło do powstania dziwnej, zakrzywionej rzeczywistości, w której zarzuca mi się dziś totalne bzdury.

Tak jak w studio, tak podczas rozmowy nie chce rozmawiać o tych „bzdurach”. I rzeczywiście nie warto, by odciągały one uwagę od tego, że raper, który dwa lata temu poważnie rozważał zakończenie kariery, właśnie wydał płytę – fakt, krótką, ale utrzymującą poziom nieosiągalny dla hiphopowej konkurencji. Belmondawg wrócił na właściwy tor. Mądrzejszy o rozmowę na temat Beli Lugosiego wiem jednak, że najważniejsze, by trafił na niego również Szyluk. Dlatego na koniec zadaje Dizkretowi jeszcze jedno, zakulisowe pytanie.

Słyszę: – Z kontaktów z Tytusem wnioskuję, że jest u niego dobrze, stabilnie. Mam nadzieję, że ta płyta to początek dobrej passy.

© JAN BŁASZCZAK



Hans Mattis-Teutsch, „Na przodku” (Abataj), niedatowany (ok. 1950 r.), olej, płótno, 140 x 246 cm, dzięki uprzejmości Muzeul de Artă Braşov

Soc codzienny

PIOTR KOSIEWSKI

Czy komunizm w naszej części Europy został jedynie czymś zewnętrznym i narzuconym, czy też mógł być uznany – przynajmniej przez niektórych jej mieszkańców – za odpowiedź na realne problemy społeczne i polityczne?

ZIMNA REWOLUCJA” W WARSZAWSKIEJ Zachęcie opowiada poprzez sztukę o społeczeństwach Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1948–1959. W Polsce socrealizm długo pozostawał tabu. Przez dekady milczano o nim lub tylko zdawkowo wspomniano, jakby chciano wyprzeć pamięć o tym okresie.

Na wystawie znalazły się prace z sześciu ówczesnych państw. We wszystkich doszło już wtedy – przy wsparciu ZSRS – do pełnego przejścia władzy przez partię komunistyczną, do nacjonalizacji przemysłu i reformy rolnej, a także do wielkiej fali przesiedleń. Zaczynają się procesy urbanizacji i industrializacji oraz kolektywizacji rolnictwa, przychodzą fale kolejnych represji politycznych

i oporu. Działają obozy pracy przymusowej. Przeciwnicy ustroju zapelniają więzienia.

Wobec socrealizmu

Wystawa, jak podkreślają jej kuratorzy, stawia pytania o stosunek żyjących w XXI wieku do dyktatury stalinowskiej i poststalinowskiej. O pamięć i niepamięć tamtego czasu. Na ile ówczesne doświadczenia wpływają na nasz stosunek do demokracji, wolności obywatelskich, ale też do postaw autorytarnych? A słowo „zimny/a” użyte w jej tytule odnosi się do klimatu zamrożenia politycznego, do strachu i przemocy, ale też prowokuje do „pytania o stopień zaangażowania całego społeczeństwa w rewolu-

cję lat 50. i temperaturę rewolucyjnego zapалу, z jakim przystępowano do budowania nowego świata”. O to, czy komunizm w tej części Europy został jedynie czymś zewnętrznym i narzuconym, czy też mógł być uznany – przynajmniej przez niektórych jej mieszkańców – za odpowiedź na realne problemy społeczne i polityczne.

W Zachęcie udało się zebrać prace (ponad czterysta!) w większości nieopatrzone, niejednokrotnie nieznane, od dawna spoczywające w magazynach. Ciekawsze od prób przewartościowania części twórczości tego czasu jest pytanie o poszukiwanie formuły nowego realizmu, sztuki zaangażowanej w budowę socjalistycznego państwa. Wbrew obiegowym opiniom socrealizm nie był jedynie sowieckim importem, zaś granice między nim i awangardowymi poszukiwaniami bywały płynne.

Trauma lat 1939–1945 sprawiła też, że bardzo istotne stało się pytanie o rolę i znaczenie sztuki. O to, jak znaleźć język adekwatny do ówczesnej rzeczywistości i niedawnych tragicznych doświadczeń. Niełatwe, bo jak w 1946 r. pisał historyk sztuki Tadeusz Dobrowolski: „Osamotnienie sztuki (...) nigdy nie było tak zupełne jak dzisiaj”. Ostatecznie szeroko rozumiany realizm dla wielu artystów →

→ okazał się najbardziej odpowiedni do mówienia o kwestiach społecznych i politycznych. A decyzje polityczne sprawiły, że pole poszukiwań artystycznych w każdym z krajów zostało radykalnie ograniczone.

Nowe elity

Ekspozycję otwierają prace poświęcone zmianom społecznym i cywilizacyjnym (jak walka z analfabetyzmem), a jednocześnie przypominające o traumatycznych wydarzeniach II wojny i okresu tuż-powojennego. „Zimna rewolucja” pokazuje rolę, jaką odgrywały kultura i sztuka w tworzeniu socjalistycznego ładu społecznego. Miały kreować „nowe elity” i deprecjonować „stare”. Jednak ekspozycja skupia się przede wszystkim na robotnikach, grupie szczególnie ważnej w nowym ustroju.

W Zachęcie niemalże nie ma ikonografii komunistycznej, z którą często jest utożsamiany socrealizm, portretów przywódców partyjnych i rewolucyjnych bohaterów. Niewiele miejsca poświęcono wsi, a przecież chłopci – przy całej ambivalencji stosunku komunistycznych władz do tej klasy – także mieli odgrywać ważną rolę w demokracji ludowej.



Gabriele Mucchi, „Śmierć robotnika”, 1950 r., olej, płótno, Muzeum Narodowe w Warszawie;
Jenny Mucchi-Wiegmann, „Przestuchanie w Algierii”, 1958–1959, brąz, Neue Nationalgalerie, Berlin;
Giuseppe Zigaina, „Robotnicy rolni”, 1951 r., olej, płótno, Muzeum Narodowe w Warszawie



Mieczysław Berman, „Lynch”, 1952 r., fotomontaż, 38 x 26 cm, Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Ograniczenie się do jednej klasy społecznej pozwoliło stworzyć bardziej skomplikowany i nieoczywisty obraz tamtego czasu – świetnym dopełnieniem jest publikacja towarzysząca wystawie. Można nawet odnieść wrażenie, że artyści nieustannie towarzyszą robotnikom, przedstawiają ich losy – w tym migracje ze wsi do miasta, naukę zawodu, osiągnięcia w pracy. Heroizują poszczególne zawody, przede wszystkim związane z tworzeniem wielkiego przemysłu i industrializacją – hutników, górników czy budowlańców. Na zdjęciu Gerharda Kieslinga nagi górnik rozbijający kamienny blok przypomina postać z przedstawień kuźni mitycznego boga Wulkana, „Hutnik” autorstwa Józsefa Somogyi to raczej antyczny atleta, nie zaś węgierski robotnik.

W tym czasie – co też pokazuje wystawa – zmieniają się, często radykalnie, warunki życia. Powstaje masowe





JOANNA RUJNIAŃSKA

budownictwo mieszkaniowe. Ważny staje się – także w wymiarze propagandowym – dostęp do dóbr, w tym przemysłowych. I tworzona jest cała infrastruktura – domy kultury, kina, baseny – służąca wypełnieniu wolnego czasu. Tu zresztą ujawnia się jeden z paradoksów doby socrealizmu.

Projektanci, w tym związani z założonym przez Wandę Telakowską Instytutem Wzornictwa Przemysłowego, dążyli do tworzenia przedmiotów estetycznych i użytecznych. Bardzo ważny był też nurt projektowania ergonomicznych i bezpiecznych urządzeń, które jak pisał autor ciekawych projektów Zdeněk Kovář, miały być „sztucznym przedłużeniem czy też dodatkowym wyposażeniem na rzecz konkretnej pracy”. I rzeczywiście wiele ówczesnych przedmiotów nawiązuje do najlepszych wzorów Bauhausu. Jednocześnie w architekturze silny jest nurt historyzujący. Sale kinowe, świetlice czy stacje metra zaczynają przypominać pomieszczenia pałacowe. Jakby przepych miał potwierdzić zmianę statusu społecznego klasy robotniczej.

Pozornie nieobecne

W przypadku socrealizmu narzuca się pytanie o to, co było pomijane, przemil-

czane, tabuizowane. Na pewno bieda, a także przemoc, z którymi musieli mierzyć się robotnicy. Adam Ważyk pisał w opublikowanym w 1955 r. „Poemacie dla dorosłych”: „Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą / zbudować hutę, wyczarować miasto, / wykopać z ziemi nowe Eldorado, / armia pionierską, zbieraną hałastą / tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, / człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach”. I dalej: „(...) Polska nieczłowiecza / wyjąca z nudy w grudniowe wieczory... / W koszach od śmieci na zwieszonym sznurze / chłopcy latają kotami po murze, / żeńskie hotele, te świeckie klasztory, / trzeszczą od tarła, a potem grafinie / miotu pozbędą się – Wisła tu płynie”.

Okazuje się, że sztuka tworzona pod patronatem państwa ujawnia czasem coś więcej. Poprzez szczeliny przedziera się ówczesna rzeczywistość. „Zimna rewolucja” pokazuje chociażby skomplikowanie sytuacji kobiet w tym czasie: oficjalna emancypacja i zrównanie praw przy jednoczesnym spychaniu na margines. Grup wypychanych z centrum było zresztą więcej, w tym mniejszości narodowe. Z kolei szybkiej industrializacji towarzyszyła degradacja środowiska naturalnego, o czym przypominają obrazy i zdjęcia przemysłowych miast. Można

wreszcie dostrzec to, co kryło się za oficjalnym, propagandowym obrazem, manifestacjami i urzędowymi uroczystościami – alienację, obcość. Dla części społeczeństwa był to spektakl, którego byli, z przymusu, przede wszystkim widzami.

Najbardziej jednak uderzające jest coś innego: strach, wręcz namacalny. Uderzająco pokazany we wschodnioniemieckim filmie „Most” (Die Brücke) z 1949 r. w reżyserii Arthura Pohla. Przemarszowi przez miasto niemieckich przesiedleńców z Europy Środkowej towarzyszy lęk jego mieszkańców, połączony z niechęcią, a nawet pogardą. Nie widzą w tłumie kobiet, dzieci i starców bliskich sobie językowo czy kulturowo, lecz obcych, innych, niemalże nie-ludzi.

Strach przed wojną połączony z niepewnością był nie tylko wszechobecny, ale też nieustannie podsycany przez oficjalną propagandę wskazującą na wroga – wewnętrznego, ale przede wszystkim zewnętrznego: na „Zachód”, „imperialistów”, NATO. Strach miał konsolidować nowe, ludowe państwa, tworzyć komunistyczną wspólnotę pod przywództwem ZSRS. Lecz to był jedynie pozór. Na wystawie przytoczono prywatny list wysłany na początku listopada 1956 r., czyli w czasie powstania na Węgrzech. Obywatelka ➔

→ Czechosłowacji pisze do męża: „Węgrzy chcą odzyskać Słowację, żeby odtworzyć Wielkie Węgry. Tak się o Ciebie boję, boję się, że zaraz wyślą Cię na wojnę i nas rozdzieli, może na zawsze. Nawet jeśli mamy tu wiele problemów, wiele niedociągnięć, to przecież żyje się nam całkiem dobrze i nie chcę, byśmy wdali się w bratobójczą wojnę jak na Węgrzech. Mama też mi mówi, że najgorzej byłoby, gdybyśmy zaczęli walczyć między sobą”.

Obok strachu jest na wystawie bunt, też przede wszystkim robotniczy. W maju 1953 r. doszło do niego w bułgarskim mieście Płowdiw. W czerwcu tego samego roku wybuchło powstanie w NRD. Strajki i protesty ogarnęły m.in. Berlin wschodni, Halle, Lipsk i Jenę. Poznańscy robotnicy wychodzą na ulicę w czerwcu 1956 r., a w październiku wybucha powstanie na Węgrzech. I paradoksalnie obrazy i fotografie – wpisujące się często w socrealistyczną poetykę i zgodne z oficjalnym ideologicznym przekazem, jak w przypadku niezwykłego, podszytego groteską „Białego terroru na Węgrzech” Wernera Tübke, w którym scena z powieszonym funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa może kojarzyć się z motywem z Młeki Pańskiej – oddają tragizm tamtych czasów.

Wystawa w Zachęcie jest ważna, bo pozwala lepiej zrozumieć trudności, jakie mamy ze stosunkiem do czasów komunizmu w naszej części Europy. Z napięciem między przekazem rodzimym a kolektywną narracją, między indywidualną nostalgią a oczywistym potępieniem komunistycznych dyktatur (wspartym polityką państwa). Bowiem, jak pisze rumuński historyk Constantin Iordachi, w pamięć o tym czasie wpisana jest dychotomia: „z jednej strony kojarzy się on z »doświadczeniem codziennego życia«, z drugiej z totalitarnym reżimem okupacyjnym, z represjami i kryminalizacją życia politycznego”.

© PIOTR KOSIEWSKI

ZIMNA REWOLUCJA. SPOŁECZEŃSTWA EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ WOBEC SOCREALIZMU, 1948–1959,

Warszawa, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, wystawa czynna do 19 września.
Kuratorzy: Jérôme Bazin, Joanna Kordjak.

Czuły pulsometr

ANITA PIOTROWSKA

Twardy orzech do zgryzienia będzie mieć Olga Tokarczuk, szefująca konkursowemu jury na tegorocznych Nowych Horyzontach.

TOWARZYSZYĆ JEJ BĘDĄ BURHAN QURBANI („Berlin Alexanderplatz”), Catarina Vasconcelos („Metamorfoza ptaków”), Jagoda Szela („Wieża. Jasny dzień”) i Adina Pintilie („Touch Me Not”), czyli twórcy znani z poprzednich edycji. I zarazem autorzy filmowych „opowieści bizarnych”, jakie raz jeszcze wypełnią program wrocławskiego konkursu. To w nich, przywołując słowa noblistki, często bije puls dzisiejszego świata. Aż chciałoby się dodać: mocniej niż kiedykolwiek.

„Kino od nowa” – wbrew pandemicznemu uśpieniu flagowa sekcja festiwalu, liczącego w sumie ponad 230 tytułów, pomyślana została w duchu przemiany, buntu, tęsknoty za jakimś nowym początkiem i porządkiem. Do czego może prowadzić przywiązanie do starego, bierne trwanie i zawieranie obietnicom bez pokrycia, świetnie pokazuje irańska „Ziemia jałowa” Ahmada Bahramiego. Kilka rodzin zatrudnionych w prymitywnej cegielni gdzieś w środku pustyni zapętała się w kieracie, próżno dopytując o zaległe wypłaty. Zamiast zjednoczyć się przeciw niesprawiedliwemu traktowaniu, bohaterowie pokornie czekają na cud albo wdają się w etniczne i obyczajowe spory. Co najgorsze, przypisani do miejsca, skazani na podły los, nie bardzo mają dokąd pójść. W statycznych czarno-białych ujęciach, w cieniu kolumny, który wygląda jak minaret, rozgrywa się dramat tyleż egzystencjalny, co polityczny w swej wymowie.

Za to w innych filmach z Bliskiego Wschodu czy w kinie Maghrebu ciągle czuje się ostry powiew Arabskiej Wiosny. „Śmierć niewinności i grzech nieistnienia” George’a Petera Barbariego z Libanu rozbebesza tamtejszy mit męskiej inicjacji seksualnej. Chłopcy szykujący się, by przeżyć z prostytutką swój pierwszy raz, sfilmowani zostali niejako od środka, na przekór swoim maczystow-

skim tekstom i pozom. Youssef Chebbi wraz z artystą wizualnym o pseudonimie ismaël proponują w „Czarnej Meduzie” tunezyjski wariant kina kobiecej zemsty. Niby widzieliśmy już takich filmów sporo, ale tu lokalny kontekst i wyśmakowana forma tworzą nową jakość. Przez dziewięć nocy błądzymy po hipnotycznym Tunisie, gdzie tytułowa bohaterka poluje na męskie ofiary, próbując odreagować domyslną dla nas traumę. Jej przeciwieństwem zdaje się zahukana kobieta z egipskiego filmu „Pióra” Omara El Zohairy, której życie defini tywnie odmienia się w dniu, kiedy autorytarny mąż... zamienia się w kurczaka. Surrealistyczny koncept wpisany w brutalne realia społeczno-ekonomiczne przynosi brawurowy i bardzo nieoczywisty obraz odzyskiwania podmiotowości w patriarchalnej kulturze.

A jeśli już o emancypacji mowa, to najsilniej brzmiały w konkursie synowskie oskarżenia wobec ojców. Czyżby był to kolejny znak czasu? Filmy takie jak amerykańska „Kryjówka Johna” Pascuala Sisto, francuski „Theo i jego metamorfozy” Damiena Odoula czy austriackie „Rodzinne ustawienia” Roberta Cambrinusa kompromitują dotychczasowe urządzenie świata. U Sisto trzynastolatek z bliżej niewiadomych powodów więzi swoją rodzinę w podziemnym bunkrze, obserwując z góry jej codzienną walkę o przetrwanie. U Odoula bohater z trisomią i nadobecnym ojcem próbuje różnych, czasem bardzo osobliwych wcieleń, które pozwolą mu stworzyć siebie na własnych warunkach. Cambrinus sięga po Nietzschego, a może nawet i po Bernharda, żeby rozliczyć z podwójnej moralności pewnego europośla żyjącego z rodziną w alpejskiej willi.

Symboliczne i rzeczywiste ojcobójstwa dokonują się w tych filmach za pomocą różnych artystycznie środków: bezlitośnie chłodnym okiem na modłę



MATERIAŁ PRASOWE FESTIWALU NOWE HORYZONTY

Kadr z filmu „Pióra”

Michaela Hanekego, pośród rozbuchanych wizji natury i kultury, to znów – jak w przypadku „Ustawień” – z udziałem sklepowych manekinów zamiast aktorów, co przynosi ekscentryczny i zarazem niepokojący efekt. Filmowi synowie sięgają po przemoc, kiedy buntują się przeciwko terrorowi wydajności i konsumpcji, gdy nie pasują do sztywnych ojcowskich oczekiwań na temat bycia dzieckiem czy dorosłym.

To ostatnie słowo domaga się zresztą przededefiniowania w wielu nowohoryzontowych filmach. Również w przypadku fabularnego debiutu dokumentalisty Piotra Stasika, czyli jedynego tytułu polskiego w tym zestawie. W „Ćmach” dzieci uciekają z dorosłego świata dwukrotnie: raz w gry komputerowe, po wtórnie zaś wtedy, gdy na obozie dla graczy wychowawcy odcinają im dostęp do internetu, co powoduje nielegalne opuszczenie ośrodka. Wówczas to, pod wpływem nagłego zderzenia z realiem, w chłopcach dokonuje się rodzaj głębokiego regresu, a wraz z nim obnażenie skrywanych dotąd instynktów i emocji. Film z muzyką Pawła Mykietyna i nadpobudliwą kamerą ma postać eksperymentu, w którym szczątkowa fabuła sąsiaduje z dokumentalnym wyznaniem, performansem czy warsztatem arteterapii.

Bo filmy z konkursowej dwunastki na samych diagnozach nie poprzestają. Wspomniany „Theo...” w obrazie i słownym komentarzu przyjmuje jedyny w swoim rodzaju punkt widzenia osoby z zespołem Downa, równocześnie będąc jak najdalszym od poczciwej przypowieści o inności. W hiszpańskich „9 fugach” Fona Cortizo zapętlona fabuła

krąży wokół motywu kobiecej ucieczki tudzież wokół historycznej i jednostkowej pamięci, lecz przede wszystkim podporządkowana została muzyce zespołu Orquesta Fugaz de Improvisación Industrial, wykonywanej bezpośrednio przed kamerą i zbierającej dźwięki z ulic, portów czy sklepowych półek.

Z kolei „Smak” w reżyserii Lê Bão to słow *cinema* w najczystszej i najbardziej zmysłowej postaci. Oto nigeryjski imigrant w Wietnamie doznawszy kontuzji traci szansę na karierę piłkarską i aby przeżyć, zamieszkuje w sajońskich slumsach, pośród starszych kobiet pracujących w tamtejszych bieda-warsztatach. Tak rozpoczyna się niezwykle seans uważności i bliskości, rozegrany poza werbalnym językiem. Poprzez codzienne krzątactwo i różnie wyrażany kontakt cielesny tworzy się na ekranie przedziwna wspólnota (ludzi, zwierząt, rzeczy), a dla nas – intensywna odtrutka na ponad roczny dystans społeczny.

W „Rodzinnych ustawieniach” słowami Zaratustry zadawane są tyleż kuszące, co niebezpieczne pytania o zakres i dynamikę zmiany, która miałaby ruszyć z posad bryłę tego świata. Kim miałby być dzisiaj ten „nowy człowiek”? Być może jedyną sensowną odpowiedź przynoszą właśnie filmy w rodzaju „Smaku” albo grecki „Księżyc, 66 pytań” Jacqueline Lentzou, gdzie młoda bohaterka zajmuje się sparaliżowanym i obcym jej dotychczas ojcem. Poszukują recepty niekoniecznie we współczesnych utopiach, lecz także w czułych gestach. ©

21. Międzynarodowy Festiwal Filmowy
Nowe Horyzonty, Wrocław 12–22 sierpnia,
online 12–29 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. CODA



Dramat, reż. Sian Heder, Francja/USA 2021, Apple TV, od 12 VIII
Najlepszy film, reżyseria i obsada plus nagroda

publiczności – oto plony tegorocznego festiwalu Sundance. Tytuł filmu oznacza w skrócie słyszące dziecko głuchych rodziców, a jest nim utalentowana wokalnie nastolatka, rozdarta między własnymi aspiracjami a powinnością wobec bliskich. Coś ku pokrzepieniu serc.

2. Jak Solidarność zmieniła Europę



Dokumentalny, reż. Anna Szczepańska, Niemcy 2019, Canal+ Dokument, 14 VIII, 20.00, Canal+ Premium, 16 VIII, 21.30, Canal+ 1, 16 VIII, 22.30

Na tytułowe pytanie próbują odpowiedzieć Agnieszka Holland, Barbara Labuda czy Jacek Petrycki, ale także rozmówcy zza granicy. Przypomnieniu wydarzeń znanych polskiemu widzowi towarzyszy refleksja na temat sposobu ich utrwalenia w pamięci zbiorowej. „Kto sprawuje kontrolę nad przeszłością, kontroluje także przyszłość” – mówi w filmie Basil Kerski.

3. Obama: Ku doskonalszej unii



Serial dokumentalny, reż. Peter Kunhardt, USA 2021, odc. 1-3, HBO GO
Stał się żywym symbolem zmian, które zaszły

w XXI wieku za oceanem. Ale dwie kadencje jego prezydentury pokazały także, jak wiele jest jeszcze do zrobienia w walce z systemowym rasizmem i zwykłymi uprzedzeniami. Serial śledzi biografię Obamy od czasów dzieciństwa aż do dzisiaj, oddając głos nie tylko jego zwolennikom.

4. Do zobaczenia w zaświatach



Dramat, reż. Albert Dupontel, Francja 2017, vod.pl, mojeekino.pl, CDA Premium
Adaptacja książki

Pierre'a Le Maître'a, uhonorowanej osiem lat temu Nagrodą Goncourtów, w oryginalny sposób rozlicza się z traumą I wojny światowej. Jest tu smród okopów, morfina i trwale okaleczone ciała, ale także surrealistyczna, chwilami nawet komiczna aura, którą próbuje się rozbrajać ponurą diagnozę natury ludzkiej.

JAN

Klata:

Do szczęcianu



KRAJ ZLEWA SIĘ DESZCZEM, A NASZ NAD-
wiślański Naczelnik'2021 wydaje kolejne
orędzie, tym razem w formie „wywiadu”
dla PAP-u. Dobrze się czyta przy dżdżystej
pogodzie, całe szczęście, że nie ma upału
– wtedy obcowanie byłoby bolesniejsze.

Oprócz przenikliwych refleksji typu: „musimy osiągnąć od-
porną zbiorową” oraz erudycyjnego opisu słowem „kogni-
cja”, z lekka się wycofał w sprawie demolki sądów (*pecunia
non olet*). Mała rzecz, a cieszy, wakacje stały się łżejsze, po pro-
stu. Pojawił się również na wicepremierowskich wargach
neologizm „narkobiznes” – oczywiście w kontekście TVN.
Jarosław K. pragnie TVN ochronić przed baronami narkoty-
kowymi, którzy chcieliby ewentualnie wsadzić w TVN swoje

brudne pieniądze. Stąd pomysł na „lex TVN”. Altruizm do
kwadratu, to się chwali.

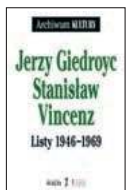
W orędziu poruszony został także palący problem wyna-
grożeń polityków: „Obecny system wynagrodzeń w sferze
publicznej jest absurdalny i musimy z niego wyjść”. Amen.
Zgadzam się w całej rozciągłości. Jest. Absurdalny. Musimy.
Wyjść. A obniżał wynagrodzenia polityków pod hasłem: „Tu-
taj nie idzie się dla pieniędzy”. Czyżby Złotousty padł ofiarą
swojej demagogii? Wpadł we własne sidła? Czy ujdzie mu
plazem? Czy mu się upieczą? Ileż razy obywatele zadawali so-
bie te ważne pytania? Wiele. Dożywotni Przywódca te aku-
rat pytania przemilcza, gracko ujeżdżając kucyka hipokryzji
Tuska. Postawę przeciwnika zwie „hipokryzją do szczęcianu”.
Toż to już wyższa matematyka, dlaczego nie do kwadratu?
Fatalne zauroczenie? Robi się nerwowo na Nowogrodzkiej.

Oprócz tego Naczelnik przygroził moruska Gowinowi,
nihil novi. Nie trzeba daru szczególnej prekognicji, żeby się
tego spodziewać. Normalka. Mały Jarosław versus Duży Ja-
rosław. Obóz zjednoczonej prawicy jest dla nich zbyt mały,
oboźny może być tylko jeden.

Na koniec może pozastrzykowe zwierzenie Jarosława K.,
adresowane nie tylko do antyszczepionkowców: „Niektórych
boli ręka, mnie nie bolała”. Nie bolała, i nie zaboli, jakby co. ©

Lektor:

Niewidzialna redakcja



■ Jerzy Giedroyc, Stanisław Vincenz
LISTY 1946-1969

Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Rafał
Habielski. Instytut Dokumentacji i Studiów nad
Literaturą Polską, Association Institut Littéraire
„Kultura”, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2021,
ss. 556. Archiwum „Kultury”, tom 23.

BYŁ WIELKIM PISARZEM
i umysłem absolutnie
niepodległym, wolnym
od narodowych
uprzedzeń. Był też
niezwykłym terapeutą,
który Czesławowi
Miłoszowi pomógł
przezwyciężyć duchową
zapaść. Stanisław Vincenz
(1888–1971), autor epopei
huculskiej „Na wysokiej
połoninie”, wybitny
eseista, niebawym
erudyta, i człowiek,
u którego powinniśmy
pobierać lekcje
wrażliwości na inne

kultury i po prostu – na
bliźniego.
Poznali się z Giedroyciem
przed wojną. „Bardzo
dobrze mam w pamięci
nie tylko ujmującą postać
Pana, ale także wielkie
zalety Pańskie jako
wydawcy, inspiratora
i umysłu politycznego”
– pisze Vincenz w grudniu
1946 r. Chętnie więc
przystępuje do – jak to sam
nazwie – „niewidzialnej
redakcji”, podsuwa tematy,
pomysły, nazwiska
autorów, no i sam
pisze. Plan wznowienia

„Połoniny” przez Instytut
Literacki nie doczeka
się jednak realizacji,
ogromniejące dzieło
opublikuje londyńska
Oficina Poetów i Malarzy,
Giedroyc wyda (w 1965 r.)
jedną książkę Vincenza
– „Po stronie pamięci”.
Rozległa forma szkiców
Vincenza i ich objętość,
z reguły większa od
zamierzonej, sprawia
kłopoty redaktorowi;
„wszystko rozrasta się
jak baobab” – skarży się
Gombrowiczowi.
Równocześnie Giedroyc
otwarcie pisze Vincenzowi
o swoich kryzysach
psychicznych i trosce
o przyszłość „Kultury”.
Wspólnie przeżywają
„sprawę Miłosa”,
atakowanego po
pozostaniu na Zachodzie
zarówno w kraju, jak
przez „nieprzejednanych”
emigrantów; sam poeta,
niepewny słuszności
swojej decyzji, daje
się nieźle we znaki

gospodarzom Maisons-
Laffitte. Giedroyc
i Vincenz traktują go
trochę jak niesforne
dziecko, które szkodzi
zarówno opiekunom, jak
i sobie samemu... Kilka
lat później zbuntowany
marksista Andrzej Stawar,
śmiertelnie już chory,
poszuka pomocy właśnie
u nich; wydanie jego
pism przez Giedroycia
stanie się wydarzeniem
politycznym, ale
w korespondencji
widzimy czysto ludzką
stronę tego dramatu.
Lista zaś podopiecznych
redaktora i Vincenza
w kraju jest długa.
W aneksie znajdziemy
listy Teodora Parnickiego
i Józefa Wittlina, które
nie trafiły do właściwych
tomów korespondencji
Giedroycia, bo przesłał
je Vincenzowi. To listy
o polskim antysemityzmie,
który obaj pisarze odczuli
na własnej skórze.
Ważne!

Pod usprawiedliwioną nieobecność autora rubryki Smaki, który z wakacji przywiezie Państwu z pewnością kolejne nietuzinkowe obserwacje i receptury, oddajemy głos członkom grupy „TP Smaki” na naszym profilu na Facebooku.



Kiszony arbuż

Z tego mdłego owocu można zrobić coś bardzo charakternego, w sam raz na lato. Bazowy przepis to „tak jak kiszone ogórki, ale zamiast ogórków dać arbuż”. Ja robię mniej więcej tak: 1. do litrowego słoika wkładam dość grubo skrojone kawałki arbuza – ile wejdzie; 2. posypuję 1/2 łyżeczki soli, na to odchlorowana woda (zimna zagotowana albo z filtra); 3. kawałek zielska: może być rozmaryn, bazylija, estragon – mnie przypadła do gustu kolendra. Nie wszystko naraz i ostrożnie z pieprzem; 4. zakręcam, odstawiam, już po 2-3 dniach czuć kwas i można schować słoje do lodówki. Jak wyjdzie za słońce – zlewam (spijam) trochę wody i dolewam świeżej. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy można zostawić na dłużej, bo za szybko zjadam.

OLLA B'RAK

Krewetki w soli kantońskiej

Lubicie krewetki? Jeśli tak, to polecam w soli kantońskiej. Sól ta jest szeroko stosowana w chińskich restauracjach, to mieszanina soli i pieprzu sycuańskiego (można też użyć czarnego lub białego, lub kombinacji wszystkich). Wsypać pieprz i sól na suchą patelnię i podgrzewać na sucho, aż pieprz uwolni swój aromat.

Po ochłodzeniu uciera się razem ziarna pieprzu i sól w moździerzu. W chińskich restauracjach danie poniższe przygotowuje się z całych krewetek (w pancerzach i z głową) i smaży się w lekkiej panierce. Ja bioram i podaję bez panierki.

Składniki:

(mł – mała łyżeczka)
0,5 kg krewetek królewskich (15-18 sztuk); 1 mała cebula;
3-4 ząbki czosnku; 3 cm imbiru;
2 papryczki chili; 3-4 dymki;
1 mł cukru brązowego;
sól prażona: 1 mł soli,
1 mł pieprzu sycuańskiego.



Przygotowanie:

1. przygotować prażoną sól. Na małą patelnię wysypać sól i pieprz sycuański. Prażyć na średnim ogniu, aż pieprz uwolni swój aromat. Po ochłodzeniu przesypać do moździerza i utrzeć razem na drobny pył;
2. krewetki można obrać całkowicie, można też usunąć tylko głowę i odnóża, pozostawiając pancerz i ogon. Umyć pod bieżącą wodą i osuszyć papierowym ręcznikiem;
3. cebulę posiekać drobno, czosnek zgnieść i posiekać, imbir zetrzeć na tarce lub drobno posiekać. Z papryczek chili usunąć nasiona i pokroić drobno w poprzek;
4. Do woka wlać dużo oleju i podgrzać do temperatury ok. 190 stopni C°;
5. smażyć krewetki minutę w kilku partiach.

Odkładać do misy włożonej papierowym ręcznikiem, odsączyć olej;
6. rozgrzać wok, wlać 2 łyżki oleju. Dodać cebulę, czosnek, imbir, chili, cukier i sól prażoną. Smażyć ok. 1 min, cały czas mieszając;
7. dorzucić krewetki i smażyć kolejną minutę, dokładnie mieszając. Dodać pokrojoną dymkę (ja posypałem pietruszką). Jest to rodzaj dania, które należy jeść rękoma. Można podać z chrupkim i ciepłym pieczywem z tostera.

PIOTR SZCZEPANOWSKI

Spaghetti alla vodka

Zrobiłem wczoraj niby zwykły makaron z sosem pomidorowym, ale znalazłem przepis z ciekawym twistem: *pasta alla vodka*. Przyrządziłem tak:

1. na osolonej wodzie ugotowałem *al dente* makaron penne (500 g);
2. w sporym rondlu rozgrzałem olej, na którym przez około 4 min smażyłem pancettę – 125 g kawałków boczku;
3. dodałem pokrojoną w kosteczkę średnią cebulę, 2 ząbki czosnku (tak samo pokrojone) i posypałem szczyptą płatków chili. Smażyłem to około 3 min, po czym lekko ściszyłem ogień;
4. i teraz twist: do boczku i cebuli wlałem ok. 200 g wódki. Ma ona rozpuścić to, co w płynie się nie rozpuściło, lepiej roznosząc smak. Gotowałem wszystko około 4-5 min, by płyn zredukował się o połowę;
5. dodałem 2 puszki krojonych pomidorów. Całość gotowałem ok. 15 min, by sos się zagęścił, po czym dosypałem soli oraz pieprzu;
6. zmniejszyłem ogień i wlałem ok. 150 ml śmietany kremowej 30 proc., gotowałem, mieszając przez ok. 2 min, aż sos przybrał równomierny, różowawy odcień;
7. do sosu dodałem ugotowany makaron oraz

ok. 50-70 g tartego sera Grana Padano, po czym porządnie wszystko wymieszałem, doprawiając odrobiną soli i pieprzu. Podawałem, posypując jeszcze trochę serem Grana Padano, a na wierzch dodając sporą ilość niedbale pokrojonej pietruszki – nie lubiący jej mogą oczywiście zrezygnować. Jak twierdzi autor przepisu, można zrezygnować też z pancetty, podobno bez wielkiej straty smaku. Niektórzy radzą pominąć też śmietanę.

PS



Biszkoptowe placuszki z lipą

Narwałam lipy w ostatniej chwili. Tuż przed deszczem i przekwitnięciem. Część kwiatów ususzyłam i zamknęłam w słojach, z części zrobiłam syrop. Biszkoptowe placuszki z owocami zyskały nowy, lipowy wymiar. Ubiłam 4 białka, 4 żółtka utarłam porządnie z 2 łyżkami ksylitolu (można z cukrem). Połączyłam obie jajeczne masy i dosypałam 8 łyżek mąki pszennej, 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia i szczyptę soli. Po delikatnym wymieszaniu dosypałam mnóstwo owoców. Wykorzystałam resztki porzeczek, jeżyn, malin i borówek. Smażyłam na patelni naleśnikowej z dwóch stron, polałam syropem lipowym i posypałam suszonymi kwiatami.

OLGA LANY

Przepis na syrop lipowy znajduje Państwo w grupie dyskusyjnej Smaki, skąd pochodzą powyższe przepisy: [facebook.com/groups/TPsmaki](https://www.facebook.com/groups/TPsmaki)

CAŁOŚĆ WIĘKSZA NIŻ SUMA

W sztafecie każdy niesie taką samą odpowiedzialność za wynik, o którym nie decydują indywidualności, lecz wspólnota.

KRZYSZTOF STORY

JEŚLI PROFESJONALNY SPORT, DZIŚ TAK SKOMERCJALIZOWANY, ma jeszcze moc stworzenia przemawiającej do nas opowieści, to musi być to opowieść o niespodziankach. O czarnych koniach, zaskakujących zwrotach akcji i tym, że wszystko jest możliwe, „dopóki piłka w grze”. Sens sportu ujawnia się wtedy, gdy zdarza się coś, co nie miało prawa się wydarzyć. Redakcyjni koledzy w takich dyskusjach przywołują historię Leicester City, klubu z mikroskopijnym w porównaniu z gigantami angielskiej piłki budżetem, który w 2016 r. wygrał Premier League.

Mnie zaś stają przed oczami głównie starty, zmiany i finisze polskich sztafet na 400 metrów. Bo oto mały kraj bez żadnych prawie indywidualnych sukcesów w sprintach staje się potęgą w biegach zespołowych. Oto nasza męska sztafeta w 2018 r. dobiega na metę halowych mistrzostw świata w Birmingham z czasem 3:01,77, nie tylko wyprzedzając faworytów z USA, ale jednocześnie bijąc rekord świata. Oto Justyna Święty-Ersetic na ostatniej prostej ostatniej zmiany wyprzedza Jamajkę Sherikę Jackson, choć ta ma o prawie sekundę lepszy rekord życiowy, i daje nam srebro mistrzostw świata w Dausze w 2019 r. Łącznie polskie sztafety na 400 metrów w ciągu sześciu lat zdobyły czternaście medali na najważniejszych imprezach: dwa brązowe, pięć srebrnych i siedem złotych.

By oddać sprawiedliwość indywidualnym startom naszych zawodników i zawodniczek: mieliśmy w ostatnich latach powody do radości podczas mistrzostw Europy. Choćby

ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER



złote biegi Ewy Swobody na 60 metrów w hali i 400-metrowe okrążenie berlińskiego stadionu Justyny Święty-Ersetic podczas mistrzostw w 2018 r. Srebrny medal z Belgradu przywiózł Rafał Omelko. Ale na arenie światowej nie istniejemy, może poza srebrem Swobody na 100 metrów na mistrzostwach świata juniorów. Złoto sztafety mieszanej na 400 metrów w Tokio 2020 to pierwszy olimpijski medal polskich biegów od igrzysk w Moskwie w 1980 r. Tam było złoto na 3000 metrów z przeszkodami, srebro w sprinterskiej sztafecie 4x100 metrów i brąz dla Lucyny Langer na 100 metrów przez płotki. Jeszcze cztery lata wcześniej Irena Szewińska zdobyła złoto na 400 metrów podczas igrzysk w Montrealu. Na kolejne czekaliśmy 45 lat.



Sztafeta kobiet 4x400 metrów. Natalia Kaczmarek, Iga Baumgart-Witan, Małgorzata Hołub-Kowalik i Justyna Święty-Ersetic. Tokio, 7 sierpnia 2021 r.

Przekazanie pałeczki

Nie ma wątpliwości: biegi rozstawnie – antyczny przodek współczesnej sztafety – musiały być ulubionym sportem Arystotelesa. Nigdzie indziej nie widać bowiem tak wyraźnie, że „całość jest czymś więcej niż sumą części”. Tutaj cztery razy jeden daje znacznie więcej niż cztery, a dobry wynik zależy od współpracy całego zespołu. To także inny, trudniejszy model współpracy od tego, który znamy z gier zespołowych. Sztafety nie da się zwyciężyć indywidualnym geniuszem jednej czy dwóch gwiazd w składzie. W sztafecie nie można pobiec „na alibi”, co często zdarza się piłkarzom. Albo uratować sytuacji zmianami, wysyłając gorzej dysponowanego zawodnika czy zawodniczkę na ławkę.

Oczywiście na poziomie profesjonalnym każdy sport, nawet indywidualny, jest dziś grą zespołową. Nie bez powodu oszczepniczka Maria Andrejczyk za srebrny medal najdłużej dziękowała fizjoterapeutom, do końca walczącym, by kontuzja barku nie wyeliminowała jej z rywalizacji. Ale w sztafetach słowo „drużyna” znaczy więcej niż w innym sporcie. Dwie, trzy sekundy straty na jednej zmianie, czasem jedno złe przekazanie pałeczki kończy wszystkie nadzieje i w ostatnich polskich sukcesach doskonale to widać. Podczas złotego biegu sztafety mieszanej indywidualnie nie wygraliśmy ani jednej zmiany. Karol Zalewski i Justyna Święty-Ersetic byli na swoich okrążeniach trzeci, Natalia Kaczmarek i Kajetan Duszyński – drudzy.



→ Na końcowy efekt zapracowali zresztą nie tylko ci, których oglądaliśmy na podium. Dwie polskie sztafety łącznie odebrały nie osiem, a dwanaście medali. Cztery dodatkowe przywiozą z Tokio Anna Kielbaśńska, Dariusz Kowaluk, Iga Baumgart-Witan i Małgorzata Hołub-Kowalik. To ci, którzy biegli w półfinałach, odcinając resztę zespołu przed najważniejszym rozstrzygnięciem. Tylko nieludzką decyzją organizatorów na podium podczas dekoracji za każdym razem mogła stanąć jedynie finałowa czwórka. Sztafeta w mikście planowała nawet na uroczystość zabrać ze sobą zdjęcia półfinałistów, ale to mogłoby się skończyć dyskwalifikacją. Kowaluk, Baumgart-Witan i Hołub-Kowalik obserwowali wręczenie medali z trybun, stojąc zaraz przy obsłudze stadionu, by być jak najbliżej. Swoje krążki odebrali dzień później w wiosce olimpijskiej, specjalnie dla nich odegrano „Mazurka Dąbrowskiego”. Zaś po srebrnym medalu pań Iga Baumgart-Witan dziękowała Kielbaśńskiej: „Gdyby to było pięć razy 400 metrów, miałybyśmy złoty medal”.

A więc zespół – tego uczy nas sztafeta. Kolektyw, w którym każdy niesie równą i olbrzymią odpowiedzialność za wynik wypracowany nie przez indywidualności, lecz wspólnotę. Najbardziej utytułowana polska biegaczka, Justyna Święty-Ersetic, na igrzyskach w Tokio miała najsłabsze czasy w obu biegach finałowych. Dała drużynie tyle, ile mogła – na igrzyska przyjechała z odzywającym się jeszcze urazem mięśnia czworogłowego, po przebytej infekcji koronawirusem, a mimo to biegnąc okrażenie poniżej 51 sekund. Przekazać pałeczkę, dowieźć zmianę – sztafety, jak rzadko która dyscyplina, wpisały się nawet w język, którego używamy na co dzień.

Wynaturzony dzisiaj profesjonalny sport w sferze psychologicznej kojarzy się głównie z osobistymi ambicjami i dążeniem do celu za wszelką cenę. Rzadkie chwile naiwnego i bezkrytycznego zachwyty ograniczają się w zasadzie do momentów, gdy na stadiony wraca poczucie wspólnoty właśnie. Takie jak to, kiedy Justyna Święty-Ersetic, indywidualna mistrzyni Europy, rezygnuje z samodzielnego startu, bo ewentualne odnowienie kontuzji mogłoby zaszkodzić sztafecie. Zespół ponad wszystko. Pewnie tylko zbiegiem okoliczności jest fakt, że finał mikstów wygrały Polska i Dominikana – jedyne dwie reprezentacje, które przed startem złapały się za ręce. A jednak pozwalam sobie ten fakt odnotować.

Sztafeta jak życie

Podczas przełożonych o rok, rodzących się w bólach i rozgrywanych bez publiczności igrzysk w Tokio rzadko mieliśmy luksus rozmawiania tylko o sporcie, bez przygnębiających pandemicznych dekoracji. Ale akurat o sztafetach rozmawiać w ten sposób warto – tyle w nich kryje się znaczeń, metafor i odniesień, a zwłaszcza w tej 400-metrowej. Nawet do całego życia można ją porównać. Zaczyna się przecież po torach, pierwsza zmiana to dzieciństwo, każda drużyna biegnie niezależnie, jak dzieci w swoich rodzinach. Trzeba samemu nadawać sobie tempo i spróbować zapewnić drużynie dobrą pozycję, bo druga zmiana to już konfrontacja, wejście w życie na poważnie. Po pierwszym jej łuku zawodnicy i zawodniczki zbiegają do krawędzi bieżni. Dopiero teraz widać, kto jest na którym miejscu, jaki start sobie wypracował. Trzecia – dorosłość. Uważać, nie stracić, utrzymać, a może zaatakować. I wreszcie czwarta – dojrzałość, w naszej kobiecej szta-

fecie obsługiwana przez Justynę Święty-Ersetic i jej słynne „dopuścić, a potem skontrolować”.

Sztafety to jedna z najmocniej wpisanych w igrzyska dyscyplin, być może najlepiej wyrażająca olimpijskiego ducha. Wszak dzisiaj każde igrzyska rozpoczynają się właśnie od sztafety. Ogień olimpijski jest co cztery lata rozpalany od promieni słonecznych w greckiej Olimpii. Ceremonię rozpalenia organizuje Grecki Komitet Olimpijski. Gospodarz igrzysk otrzymuje pierwszą pochodnię na Stadionie Panateńskim. Stamtąd ogień rusza w podróż, nierzadko przemierzając kilka tysięcy kilometrów, jest podawany z rąk do rąk, by na końcu zbudzić do życia kolejny znicz olimpijski.

Zwyczaj ten wcale nie pochodzi ze starożytności – choć zapewne wzorowano go na wspomnianym ateńskim biegu rozstawnym, w którym uczestnicy przekazywali sobie pochodnię, aż ostatni zawodnik zapalił płomień na ołtarzu przy Bramie Dipilońskiej. Pierwsze nowożytnie igrzyska były rozgrywane nie tylko bez sztafety, ale i bez znicza olimpijskiego. Ten po raz pierwszy zapłonął dopiero w 1928 r. w Amsterdamie, 32 lata po pierwszych nowożytnych igrzyskach w Atenach. Pomysł dostarczenia ognia z Olimpii powstał zaś w III Rzeszy na potrzeby berlińskiej olimpiady w 1936 r. i więcej w nim było propagandy niż szczytnych idei. Trasa tamtej podróży miała 3075 kilometrów i zaangażowała tyle samo osób. Znicz zapalił niemiecki atleta Fritz Schilgen.

Ala sztafeta nie tylko rozpoczyna igrzyska, ale także je kończy, i to właśnie ta „nasza”, 400-metrowa. Podczas każdego dużego zawodów lekkoatletycznych są to ostatnie konkurencje poza maratonem, jedyną dyscypliną, która może z nią wygrać w walce o tytuł „najbardziej olimpijskiego sportu”.

Tego nie pokazują kamery

400 metrów to uczciwy, szlachetny dystans – każdy zawodnik lub zawodniczka ma na swojej zmianie dokładnie jedno okrażenie stadionu, by zaprezentować się jak najlepiej. Zupełnie inaczej niż w niezwykle widowiskowej, ale też chaotycznej, sprinterskiej sztafecie na 4x100 metrów. Tam niezwykle dużo zależy od lotnych zmian w pełnym biegu, od podjętego ryzyka, które łatwo może skończyć się upadkiem lub zgubieniem pałeczki. Zdarza się to oczywiście także na dłuższym dystansie; finału mikstów w Tokio nie ukończyła reprezentacja Niemiec. Wystarczył ułamek sekundy, by kończąca drugą zmianę Corinna Schwab potknęła się i znalazła na ziemi wraz z bezcenną pałeczką.

Na ogół zmiany na 400 metrów nie są aż tak dynamiczne i w miarę bezpieczne. Następna zawodniczka sztafety ma doskonały widok na ostatnią prostą poprzedniej. Zawodnicy i zawodniczki stoją gotowi do biegu i wyciągają ręce w stronę kolegów lub koleżanek. Co czują w tamtym momencie, jeszcze zanim zaczną rozbieg, w trakcie którego przejmą pałeczkę? W wywiadach często podkreślają, że najważniejsze to nie zawieść drużyny. Czy to samo mają w głowach wtedy? Czy taka myśl może się przebić przez adrenalinę i automatyzmy pamięci mięśniowej? Czy pojawia się, gdy obserwuje partnera lub partnerkę, biegnącego do kresu sił, ściemnienia w oczach, które nie może zakłócić precyzyjnego przekazania pałeczki?

400 metrów to też dystans morderczy – najdłuższy bieg o tempie sprintu. Najlepsze panie biegną poniżej 50 sekund (rekord Polski, 49:28 z igrzysk w Montrealu w 1976 r., nadal

należy do Ireny Szewińskiej), panowie – poniżej 45. W obu przypadkach oznacza to średnią prędkość w okolicach 30 kilometrów na godzinę, co dla zwykłego człowieka nawet na rowerze jest dobrym wynikiem. Zawodnicy i zawodniczki za to płacą. Nasze biegaczki wiele razy opowiadały o tym, czego nie pokazują kamery. O tym, że kilka minut po biegu, kiedy schodzi z nich adrenalina i ewentualna radość zwycięstwa, zaczyna się ból. O zalewającej wszystkie mięśnie fali kwasu mlekowego, skurczach i zawrotach głowy. O tym, że ciało naturalnie broni się przed takim wysiłkiem. „Czujesz skurcze mięśni. Kobiety – skurcze macicy. Twoje ciało krzyczy, bo wykonało ekstremalny wysiłek. Zalał je kwas mlekowy. U mnie jego wyrzut następuje po czterech–sześciu minutach po zakończeniu biegu. Aby złapać równowagę i wrócić do żywych, potrzebuję pół godziny. Najpierw jednak staram się przetrwać. Leżę, bo na nic nie mam siły. I trochę jęczę” – tak relacjonowała w wywiadzie dla Gazeta.pl Anna Kielbasińska, jedna z „Aniołków Matusińskiego”.

Anielskie skrzydła

Media stworzyły to określenie drużyny polskich sprinterek prowadzonej przez trenera Aleksandra Matusińskiego i wypada się z tym pogodzić, zwłaszcza że same Aniołki swoją aniołkowatość zdają się bardzo lubić. Raz jeden tylko, po wygranych mistrzostwach Europy, Iga Baumgart-Witan zażądała zmiany na „Złotka”.

Tak jak piłkę nożną przez długie lata będziemy opowiadać sobie Dariuszem Szpakowskim, z jego „wyborami” i „ajjj, szansami”, tak lekkoatletykę niezmiennie będą sufłować nam Włodzimierz Szaranowicz i Przemysław Babiarz, choć ten pierwszy odłożył mikrofon już kilka lat temu. Nie umiem sobie tych biegów wyobrazić inaczej niż z ich głosami. Gdy przypominam sobie Małgorzatę Hołub-Kowalik uciekającą rywalkom na mistrzostwach Europy w Glasgow, słyszę, jak „Małgosia ucieka, znika gdzieś w brytyjskiej, szkockiej mgłę”, a „przewaga Polek jest ogromna”. Gdy sięgam do Dohy i rewelacyjnego finiszu Justyny Święty-Ersetic, z budki komentatorskiej wyraźnie dobiega do mnie, że „Tak się biega w Raciborzu! Tak się biega w Katowicach! Tak się biega w Polsce!”, a w tle łyż i urocze pociąganie nosem Sebastiana Chmary. I choć oczywiście wolałbym w tych komentarzach więcej „Justyn”, „Małgorzat”, a mniej „Justynek” i „Małgoś”, to z wdzięczności za te emocje jestem w stanie komentatorom wiele wybaczyć.

Panie to „Aniołki”, wśród mężczyzn mieliśmy pokolenie „Lisowczyków” (od nazwiska trenera Józefa Lisowskiego). Sztafeta mieszana dopiero pracuje na swój przydomek. Przejdzie do historii nie tylko z powodu polskiego złota, ale też dlatego, że na igrzyskach olimpijskich tę konkurencję rozegrano w Tokio po raz pierwszy. Dwa lata wcześniej zadebiutowała na lekkoatletycznych mistrzostwach świata w Dausze, tam zajęliśmy piąte miejsce. W Japonii oglądaliśmy nieprawdopodobny i zwycięski finisz Kajetana Duszyńskiego.

Miksty, z niezrozumiałych powodów, stały się dla wielu dyscypliną kontrowersyjną. Zarzucano im m.in. nachalną promocję poprawności politycznej, wciskanie na siłę parytetów, pisanie o wrodzonej słabości i niższości kobiet. Nie wiem, na czym ta promocja miałaby polegać, a odkrycie, że kobiety biegają wolniej (od najszybszych mężczyzn, bo na pewno nie od autorów takich komentarzy) nie wydaje się przesadnie rewolucyjne.

Zwłaszcza że zakończone właśnie zawody w Tokio były przede wszystkim igrzyskami kobiet. I nie mówię jedynie o wymiarze czysto sportowym, w którym Polki zdobyły 8,5 z 14 naszych medali (złoto sztafety mieszanej podzieliłem na pół), młociarka Anita Włodarczyk jako pierwsza lekkoatletka wygrała w tej samej konkurencji trzecie igrzyska z rzędu, a Aleksandra Mirosław pobiła rekord świata we wspinaczce na czas. Igrzyska w Tokio to również niedawna dymisja ich głównego organizatora Yoshiro Moriego, byłego premiera Japonii, który musiał pożegnać się ze stanowiskiem za seksistowskie wypowiedzi o tym, że „kobiety mają problem z zakończeniem wypowiedzi i mają silne poczucie rywalizacji” (o, ironio). To walka norweskich siatkarek plażowych o to, by pozwolono im ubrać się na zawody tak, jak chcą. To Naomi Osaka, japońska tenisistka, zapalająca znicz olimpijski, prawdopodobnie jako próba ratowania wizerunku po dymisji Moriego (Osaka w tej roli nie była rozważana w żadnym z początkowych scenariuszy otwarcia). Ale dla mnie, jak zwykle w sporcie, polityka i same wyniki ustępują miejsca emocjom. Z tych igrzysk chyba nic nie zapamiętam tak mocno, jak roześmianą kajarkarkę Katarzynę Zillman, przytulającą swoją dziewczynę po powrocie z Tokio. Jak widok psycholożki Darii Abramowicz, czuwającej kilka metrów za ławką naszej tenisistki i dającej Idzie Świątek wypłakać ból porażki z Paulą Badosą w II rundzie turnieju tenisowego. Wreszcie jak łyż Justyny Święty-Ersetic, która na przekór kontuzjom i koronawirusowi wyjeżdża z Tokio z dwoma medalami.

© © KRZYSZTOF STORY

Niemierzalne w mierzalnym

ZACZĄŁEM PISAĆ ten tekst rano 7 sierpnia, w oczekiwaniu na finałowe biegi dwóch polskich sztafet na 4x400 metrów: męskiej i żeńskiej, na dobiegających końca igrzyskach olimpijskich w Tokio. Nie wiedziałem jeszcze, że za parę godzin Natalia Kaczmarek, Iga

Baumgart-Witan, Małgorzata Hołub-Kowalik i Justyna Święty-Ersetic poprawią rekord Polski o prawie 1,5 sekundy i będą cieszyć się ze srebrnego medalu. Wiedziałem tylko, że pierwszy złoty medal w Tokio świętowaliśmy 31 lipca około 21:40 czasu polskie-

go. Karol Zalewski nosił po biegni płaczącą ze szczęścia Justynę Święty-Ersetic, Natalia Kaczmarek łapała się za głowę, nie mogąc uwierzyć, a Kajetan Duszyński po prostu ukląkł na bieżni i ukrył twarz w dłoniach. Chwilę wcześniej, po niesamowitym finiszu, wbiegł na metę wyścigu sztafet mieszanych 4x400 na

pierwszym miejscu, z rekordem olimpijskim i czasem 3:09,87. Drugie miejsce zajęła Dominikana, która o 0,01 sekundy wyprzedziła reprezentację Stanów Zjednoczonych. Lekkoatletyka – świat sportów o wynikach mierzalnych co do tysięcznej części sekundy i emocji, których nie policzy żadna fotokomórka. © © KS

STANISŁAW

Mancewicz:

Wczoraj a dziś



DZIŚ BĘDZIEMY SOBIE WSPOMINAĆ, ALE tylko przez chwilę, bowiem wspominki generalnie nas ani nie krzepią, ani nie bawią, ani nie przynoszą nam specjalnych korzyści finansowych. Bywają od tych utwardzonych przekonań wyjątki i rzecz trzeba, że dziś korzyść pisarsko-czytelniczą i także finansową widać. Oto bez żadnego wątplenia warto zawsze mieć w pamięci dawne, liczne, życiowe doświadczenia z propagandą i jej funkcjonariuszami.

Wspomnienia z obcowania z propagandą należą do zawsze przykrych, ale i najcenniejszych w życiu każdego człowieka, który mimo upływu lat ma nieustającą, dziecinną chęć posługiwania się rozumem. Zważyć też należy, i przyznać to wypada z niejakim bólem, że miejsce naszego – jak tu ponuro siedzimy – urodzenia i życia osobliwie sprzyja tego typu studiom, jak bodaj żadne inne na trzeciej planecie licząc od Słońca.

Oto – popatrzmy – w czasach najwcześniejszych, gdyśmy znali raptem naście słów, gdyśmy jeszcze nie składali tak mistrzowsko literek jak dzisiaj, bombardowano nasz delikatny rozum rychłym wybuchem III wojny światowej. Charakterystyka projektowanego w ówczesnych mediach przyszłego pola bitwy, a właściwie pola męczeństwa, była mieszana. Nuklearno-konwencjonalna. Z jednej strony tych projekcji widać było wielkie atomowe grzyby w Szczecinie i Wrocławiu oraz cieleta z dwiema głowami pasące się gdzieś w Dolnośląskiem, z drugiej zaś starych-nowych wesołych gestapowców, którzy w przymierzu z Amerykanami forsują sobie Odrę i Nysę Łużycką. Te realistyczne prezentacje robiły na

nas przejmujące wrażenie, a palące się miasta śniły się nam często. Zdecydowanie za często, by w dojrzałe życie wejść bez uszczerbku na zdrowym rozsądku.

Przynajmniej dwa pokolenia zostały zwichnięte w ten sposób. Co prawda, po latach wydawało się, że poradziły sobie one z traumą sprzedanej im sugestywnie rzeczywistości, zmontowanej w gabinetach partyjno-telewizyjnych. Że pokolenia te dziarsko wyluzowały i że trudno je będzie znów przerazić byle czym. Niestety, wypada dziś ze smutkiem i z mocą rzec, że to był pozór lub złudzenie.

Pokolenie nasze i do naszego zbliżone wiekiem mają te koszmarnie fantazje pod powiekami, a nasze i ich rozumy wyposażone są w warstwę gąbki silnie chłonejcej każdą ciecz o smaku i zapachu strachu. Gąbkę tego gatunku zaaplikowały do rozumów też nowym pokoleniom nowi propagandyści. Rzec trzeba, że wszystko to razem: i nowa gąbka chłonejca, i smak, i zapach to produkty ekspeerelewskie i bardzo brzydkie. Po dezaktualizacji starego świata grzyby nuklearne rosną teraz w Łomżyńskim i Podkarpackim, a enkawudziści, oczywiście tradycyjnie pod rękę ze starymi-nowymi gestapowcami, brodzą w pełnym rynsztunku na naszą stronę Bugu. Amerykanów raczej nie widać, ale przyjdą.

Strach – popatrzmy – jest podstawowym półproduktem, z którego zawsze przyrządza się chamską propagandę. Dziś wygląda ona identycznie jak kiedyś, choć trzeba powiedzieć, że homoseksualiści i szczepionki czy polityk mówiący po niemiecku dwa słowa, to zestaw najnowszy, nieco do panicznego bania się osobliwy, podważający logikę modelowaną od lat w podręcznikach i pravicowych mediach. Przykro ośmieszający figurę odważnego i bohaterskiego Polaka. Oto Polak zestrachany to widok przystający być może do wizerunku wiecznie i obsesyjnie przerażonego p. Gospodarza, otoczonego chmarami ochroniarzy, ale kto by przypuszczał, że w tym stanie jest połowa społeczeństwa? Połowa populacji herosów boi się zastrzyku, boi się kochających osoby tej samej płci oraz polityka, który zna języki obce. Warto tu postawić dwa pytania: Czy można się śmieszniej bać? Czy można mieć śmieszniejsze problemy? © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



ROK 2022. STRAŻ GRANICZNA I POLICJA UDAREMNIA PRZEMYT
PONAD DWÓCH TON CZYSTEGO TVNU DO POLSKI.

weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy gratis „TP Historia. Wiślna 12”!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele” oraz „Moc mózgu”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



S-Biznes internet symetryczny dla firm



 s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na  s-net.pl